

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/444

1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

REDAKCJA : **AMNESTIA I CIĄG DALSZY**
Cz. MIŁOSZ : **SZLACHETNOŚĆ, NIESTETY**
K. POMIAN : **MALARZ SPALONEJ ZIEMI**
SŁ. MROŻEK : **WRÓCIĆ, NIE WRÓCIĆ**
P. PRZEGORZAN : **WYWIAD Z NOW-q**

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Szlachetność, niestety</i>	7
Krzysztof Pomian:	<i>Malarz spalonej ziemi</i>	15
Anka Kowalska:	<i>Folklor dawnych czasów (dok.)</i>	25
Sławomir Mrozek:	<i>Wrócić, nie wrócić</i>	53
	WIERSZE	
Adam Bąkowski:	<i>Litania</i>	56
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Jan Nowicki:	<i>„Gwałt i perswazja”</i>	58
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (5)</i>	67
Janusz Mondry:	<i>Dialog: Europa Zachodnia — USA ..</i>	
	<i>Japonia</i>	72
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	75
	K R A J	
Piotr Przegorzan:	<i>Wywiad z NOW-ą</i>	80
Danek Turczyński:	<i>Egzotyczna ekonomia</i>	91
—	<i>Lista członków Komisji Charytatywnej</i>	
	<i>Episkopatu</i>	95
—	<i>Uwaga: Kolaboranci!</i>	95
—	<i>Postulat Adwokatury w sprawie sta-</i>	
	<i>tusu więźniów politycznych</i>	96
—	<i>Stanowisko Delegacji NSZZ „Solidar-</i>	
	<i>ność” w Szwajcarii w sprawie usta-</i>	
	<i>wy amnestyjnej</i>	96
	SPRAWY I TROSKI	
Benedykt Heydenkorn:	<i>Książka polska w Kanadzie</i>	98
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	103
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	108
	KRONIKA KULTURALNA	
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Pod znakiem knebla</i>	113
	KSIĄŻKI	
Marek Zieliński:	<i>Przypadek szczególny</i>	127
Michał Heller:	<i>Jeden w polu to też wojsko</i>	130
Antoni Pospieszalski:	<i>Tola Korian</i>	133
Radek Sikorski:	<i>Prymas Frank</i>	134
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	136
	WOLNA TRYBUNA	
Zbigniew Byrski:	<i>Od pozycji geopolitycznej do geostrate-</i>	
	<i>gicznej</i>	139
	Z PUSTYNI I Z PUSZCZY	
Jacek Bierezin:	<i>Kopciuszek</i>	143
	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki:</i>	
	<i>amerykańska, australijska i nowoze-</i>	
	<i>landzka, francuska, kanadyjska ..</i>	146
	LISTY DO REDAKCJI	
M. Abramowicz, J. Boniecki,		
A. Estryń, K. Karnkowski,		
P. Naimski, E. Puacz,		
B. Strumiński, E. Szczepa-		
nik, J. Trzebiński, P. Wan-		
dycz, K. Zamorski:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	164
	DOKUMENTY	
Rada Programowa KIK:	<i>Stan świadomości społecznej</i>	168

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1984

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

A.P. z Nowego Jorku — \$10,00	F. 87,00
Kajetan Bienkowski, Montréal, Qué., w 40-tą rocznicę „Burzy” zamiast kwiatów na groby Kolegów poległych w walkach partyzanckich Batalionu „Barbara” 16 p.p. AK i pomordowanych w więzieniach Gestapo i Bezpieki	F. 300,00
Seweryn Blumsztajn, Paryż — zamiast kwiatów na grób mojej Matki Sary Blumsztajn, zmarłej 11 sierpnia 1984 r. ..	F. 100,00
Dola i Jan Błaszczyna, Flushing, NY (USA) — dla uczczenia pamięci śp. inż. Jana Kalisza, zmarłego w Nowym Jorku 23 maja 1984 roku. — \$ 50,00	F. 435,00
Ewa M. Buch, Libertyville, IL (USA), po raz 7-my — \$ 74,00	F. 644,00
Danuta i Andrzej Cisek, Carmel, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci śp. dr. Janusza Osińskiego, w pierwszą rocznicę Jego śmierci, po raz 8-my i 9-ty à \$ 48,00 — \$ 96,00	F. 835,00
C. Czuchwiccy, Panorama, S.A. (Australia), po raz 15-ty ..	F. 440,00
Jacqueline Dyjas, Paryż — dla uczczenia pamięci prof. Stanisława M. Ulama, zmarłego niedawno w Santa Fe (USA) i pochowanego na cmentarzu paryskim Montparnasse	F.1.000,00
S. S. Fay, Nowy Jork, po raz 3-ci — \$ 48,00	F. 418,00
J. i A. Gombińscy — dla uczczenia pamięci dr. St. Gombińskiego, w pierwszą rocznicę Jego zgonu	F. 500,00
Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 72,89	F. 488,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 24-ty — \$ 12,00	F. 105,00
Andrzej Kawczak, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób prof. Chaima Perelmana, przyjaciela polskich filozofów	F. 300,00
Jacek Krzyżanowski, Kensington, CT (USA) — zamiast kwiatów na grób gen. Kordiana Zamorskiego, zmarłego w grudniu 1983 roku, przyjaciela mojego Ojca, Władysława Krzyżanowskiego — \$ 20,00	F. 174,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 8-my — DM 50,00	F. 150,20
Ewa i Stanley Marszewscy, Van Nuys, CA (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Jerzego Marszewskiego — \$ 20,00	F. 174,00
Inż. Z. S. Mikulski, St. Gallen (Szwajcaria)	F. 240,00
W.N., Spanga (Szwecja) — dla uczczenia pamięci śp. Ireny Patek, żony min. Wiesława Patka, twórcy Kongresu Polaków w Szwecji	F. 60,00
W. Szwed, Niddrie, Melbourne (Australia), po raz 3-ci	F. 146,53
Dr Roman Turowski, Caracas (Wenezuela) — \$ 36,00	F. 313,00
Anonimowo ze Stockholmu	F. 55,00
Bezimiennie z Edynburga (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób wiernego przyjaciela, Zygmunta Hertza	F. 220,00
Bezimiennie z Londynu, po raz 14-ty — £ 20,00	F. 232,00
Bezimiennie z Thonon-les-Bains (Francja)	F. 120,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ZEBY POLSKA BYŁA POLSKA

Bezimiennie z Houston, TX (USA) — na opozycję w Kraju — \$ 20,00	F. 174,00
--	-----------

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 165)

Obserwatorium

AMNESTIA I CIĄG DALSZY

Sytuacja jest tak płynna i zamazana, że można sobie pozwolić tylko na zwięzłe wypunktowanie tego co dostatecznie wyraźne i ważne na przyszłość.

1. Ustawa amnestyjna przedstawiana jest przez władzę jako akt wielkoduszności, podyktowany poczuciem odzyskanej siły i postęпами „normalizacji”. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Amnesticę wymogły następujące czynniki: postawa społeczeństwa; postawa oskarżonych i więzionych; przetrwanie ducha Solidarności i jej struktur podziemnych; i — *last but not least* — sankcje amerykańskie. Co potwierdza skuteczność broni nacisku.

2. Częściowe uchylenie sankcji amerykańskich pozostawia wyścigający margines dla wywierania dalszego nacisku. Powinien on iść w kierunku powrotu PRL do Międzynarodowego Biura Pracy, naturalnie po przedyskutowaniu raportu Biura, który spowodował wystąpienie PRL; powinien postulować przywrócenie pluralizmu związkowego w duchu Porozumień Gdańskich; oraz ustalenie statusu więźniów politycznych.

3. Amnestia jest warunkowa jednostronnie, tzn. stawia warunki ze strony władzy, ale ich przestrzeganie lub nie pozostawia w praktyce amnestionowanym, którzy się do niczego nie zobowiązali. Jest mało prawdopodobne by wśród amnestionowanych znaleźli się ludzie, gotowi do czasowego wycofania się z wszelkiej działalności politycznej. Należy się zatem liczyć z ponownymi aresztowaniami.

4. Ujawnianie się podziemnych działaczy Solidarności miałyby się odbywać za cenę donosicielstwa, czyli jest całkowicie niewy-

obraźliwe. Zresztą TKK już następnego dnia po ogłoszeniu amnestii podjęła decyzję utrzymania podziemia. Utrzymania i przypuszczalnie rozbudowy, co do której wolno nam tylko wysunąć pewne sugestie. Wydaje nam się, że — zachowując symboliczną i w jakiejś skromnie realistycznej mierze możliwą rolę koordynacyjną TKK — trzeba się pogodzić z procesami decentralizacji i rosnącej autonomii poszczególnych odcinków podziemia; innymi słowy, ze wzrostem i dojrzewaniem pluralizmu politycznego.

5. Jan Paweł II powiedział 25 lipca na audyencji generalnej: „Pragnę, aby ogłoszona w Polsce amnestia stała się elementem odnowy społecznej, według zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawartych w Porozumieniach (Gdańskich)”. Słowa papieża będą, miejmy nadzieję, wyprostowaniem linii Kościoła, która tyle ostatnio budziła wątpliwości i niepokojów. Piórem jednego ze swych autorów krajowych *Kultura* przestrzegala Kościół przed niebezpieczeństwem „stawania ponad społeczeństwem, gdy posłannictwem tej bardzo starej a młodej instytucji jest życie wewnątrz społeczeństwa”. Krótkotrwały cień tego niebezpieczeństwa zdaje się na szczęście rozplywać.

6. Pozostaje zatem kontynuacja inteligentnej i wytrwałej presji społecznej. W imię czego? Słyszysz się często w odpowiedzi: w imię dialogu z władzą, dla uniknięcia interwencji sowieckiej. Nie jesteśmy przeciwnikami dialogu, ale musi on być owocem naszej siły; tymczasem zaś bezustanne wołanie o dialog jest monologiem, bez żadnego echa z tamtej strony. Zdajemy sobie doskonale sprawę z naszej pozycji geopolitycznej, ale widmo sowieckiej interwencji zbrojnej nie może być wiecznym straszakiem, najlepszą receptą władców PRL na utrzymanie Polaków w stanie paraliżu. Mądry pragmatyzm nie oznacza przekreślenia wyobraźni politycznej, a z wyobraźni politycznej Polaków nie może się wstydliwie ulotnić słowo Niepodległość.

7. Jedną z największych zdobyczy Sierpnia była więź inteligencji z robotnikami. Trzeba ją za wszelką cenę utrzymać i, w miarę możliwości, wzmacniać. Dlatego z ogromnym niepokojem śledzimy objawy, chwilowo nieliczne lecz nie mniej przez to groźne, ponownego zamykania się inteligencji we własnych opłotkach. Dochodzą nas też słuchy, że rzecznicy jakiejś osobliwej „strategii” głoszą konieczność przyhamowania czy ograniczenia duszpasterstwa robotniczego. Byłby to więcej niż błąd; byłoby to podcięcie głównej gałęzi tej „odnowy społecznej”, o której w trzy dni po ogłoszeniu amnestii mówił Jan Paweł II.

8. Zjawiskiem w pełni zrozumiałym i uzasadnionym było stawianie Solidarności na pomniku, uwypuklanie jej zasług i dorobku, w okresie gdy znajdowała się pod ustawicznym i zmasowa-

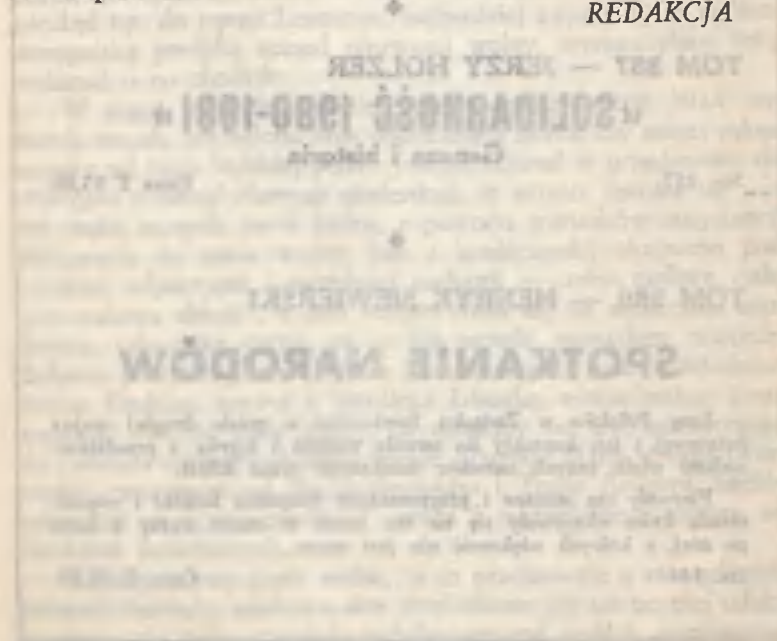
nym obstrzałem propagandowej artylerii stanu wojennego. Teraz, gdy widać już że spełzły prawie na niczym wysiłki zohydzenia Solidarności w duszach i umysłach Polaków (zwłaszcza młodzieży), możemy sobie pozwolić na przejście od przedwczesnej trochę legendy do spokojnej i rzeczowej oceny, do krytycznego rachunku zysków i strat, osiągnięć i pomyłek. Nie w celu masochistycznego rozdrapywania i jątżenia ukrywanych dotąd ran, ale z myślą o przyszłości korzystającej z doświadczeń i nauk przeszłości.

9. Wciąż brak koncepcji ekonomicznej wśród przedstawicieli opozycji demokratycznej, wciąż w prasie pozacenzuralnej zagadnienia gospodarcze traktowane są po macoszemu. Nierzadko uczucie *Schadenfreude* wobec symptomów katastrofy zastępuje próbę znalezienia środków zaradczych. Dotyczy to szczególnie wsi. Sprawa funduszu dla rolnictwa ślimaczy się z wielu powodów; jednym z nich, i wcale nie drugorzędnym, jest atmosfera zamkniętego kręgu „wtajemniczonych”, niechętnych wszelkiej dyskusji publicznej.

10. Psychologicznie amnestia odczuwana jest w Kraju jako pewien zwrot; reakcja zrosła na widok wychodzących z więzienia ludzi. Politycznie rzecz sprowadza się do pytania, jak potrafimy zużytkować ciąg dalszy.

11 sierpnia 1984

REDAKCJA



Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 385 — RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

Halucynacyjny opis metod i tortur fizycznych i psychicznych stosowanych przy przesłuchaniach w czasach stalinowskich w Polsce.
Str. 112. Cena F. 45,00.

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.
Str. 176. Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

« SOLIDARNOŚĆ 1980-1981 »

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

TOM 389 — HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

Losy Polaków w Związku Sowieckim w czasie drugiej wojny światowej i ich kontakty na terenie więzień i łagrów z przedstawicielami wielu innych narodów uciskanych przez ZSSR.

Pierwszy raz zebrane i przypomniane wszystkie książki i wspomnienia które ukazywały się na ten temat w czasie wojny i zaraz po niej, z których większość nie jest znana.

Str. 144.

Cena F. 55,00.

Szlachetność, niestety

Zadaję sobie pytanie, jak w ciągu mego literackiego życia zmieniały się poglądy ludzi piszących na literaturę. Moje pokolenie, które startowało około roku 1930, było przejęte obowiązkami poety wobec społeczeństwa i odnosiło się niechętnie do wszystkiego, co można było posądzić o „estetyzm”. Dzisiaj umiałbym nazwać ten konflikt lepiej, przedstawiając go na szerszym, nie tylko polskim, tle, choć niewątpliwie nasza ówczesna niechęć np. do poezji Leśmiana, najbardziej związanego z ogólnoeuropejską poetyką sprzed pierwszej wojny, wystarczyłaby żeby wskazać o co chodziło.

W ciągu paru dziesięcioleci poprzedzających rok 1914 wyraźnie została nakreślona linia oddzielająca zawód czy nawet zakon artysty od życia ludzkiej *polis*. Joseph Conrad w przedmowie do *Murzyna z załogi Narcyza* stwierdzał, że artysta zwraca się „do tej części naszych natur która, z powodu warunków egzystencji zbliżonych do stanu wojny, jest z konieczności ukrywana pod bardziej odpornymi i twardymi cechami — niby ranliwe ciało pod stalową zbroją”, a tym samym różni się od myśliciela, naukowca, człowieka czynu, tą zbroją przede wszystkim zajętych. Bohater powieści James Joyce’a *Portret artysty z czasu młodości*, Stefan Dedalus, zrywał z katolicką Irlandią, oświadczając: „*non serviam*” — nie będę służył, co mogłoby też być zastosowane do Conrada odmowy służenia Polsce. Tomasz Mann w całej twórczości, poczynając od *Buddenbrooków* i *Tonio Krögera*, będzie zajmował się „nieładnością” sztuki i oddzieleniem artysty od zwykłych śmiertelnych.

Z perspektywy czasu widać, że to przekonanie o szczególnych prawach zawodu, właściwe erze symbolizmu czy też po niej odziedziczone, nie tylko sprzyjało nadużyciom pod hasłem „kapłaństwa

sztuki”, ale także miało wpływ dobroczynnie hamujący, tj. chroniło od pokus „brania udziału” w wydarzeniach poprzez uległość wobec haseł chwili. Wskazuje na to przykład wybitnych poetów rosyjskich dwudziestego wieku uformowanych w owej szkole sprzed 1914 roku: Mandelsztama, Chodasiewicza, Pasternaka, Achmatowej, Cwietajewej.

Potrafili oni w niezwykle trudnych, nieraz rozpaczliwych, warunkach utrzymać godność swojej liry. Natomiast gwałtowne ataki na dumne odosobnienie artysty, na wieżę z kości słoniowej itd., z jakiegokolwiek przychodziły strony, często od samych zainteresowanych czujących potrzebę całopalenia, zmniejszały odporność, jak gdyby otwierając na oścież bramę do wewnętrznej fortecy.

W latach trzydziestych, jeżeli ujmemy rzecz w wielkim skrócie, polskie środowisko literackie gotowało przesłanki do późniejszego wstąpienia w służbę sprawy, byle by była podniosła nazwana. Leśmian w swoim „Traktacie o poezji”, tam gdzie mówi satyrycznie o zbiorowym królu-szczurze, doskonale ujmuje sytuację tak, jak oceniał ją obrońca sztuki wychowany w erze symbolizmu. Trzeba dodać, że *Zeitgeist* pierwszej połowy dwudziestego wieku miał wyraźne upodobania: niepisane prawo nakazywało środowisku być po stronie republikańskiej Hiszpanii i wystrzegać się związków z prawicą. Toteż odstępstwo Gałczyńskiego, kiedy zaczął drukować w *Prosto z mostu*, zostało przyjęte z rodzajem zgrozy.

Nikt chyba dzisiaj nie potrafi odtworzyć aury późnych lat trzydziestych. Już okres między wojnami wydaje się niezwykle krótki w porównaniu z czterdziestoleciami, jakie nas dzieli od końca drugiej wojny, cóż więc te parę lat zsuwania się ku niej po równi pochyłej? W ogólnym zarysie tak to wyglądało, że nacjonalizm, który nigdy nie miał szczęścia do artystów i intelektualistów, zaczął o nich zabiegać ale, przyciągnąwszy młodzież, zwiększał napięcie pomiędzy Polakami i Żydami, co z kolei stawiało tamę ambicjom intelektualnym takich pism jak *Prosto z mostu*. Bo jak przyciągnąć środowisko, skoro było ono przemieszane, polsko-żydowskie? Historia zbliżonych do siebie „ruchów” tego krótkiego okresu, takich jak polska „Falanga” czy rumuńska „Żelazna Gwardia” nie została bodaj dotychczas napisana, w znacznym chyba stopniu ze względu na nadużywanie słowa „fasyzm”, aż przestało cokolwiek konkretnego oznaczać. Faszystowskie, bo wręcz powołujące się na Mussoliniego czy Salazara, były właśnie te ruchy. Podawały przy tym siebie za „falę wstępującą”, ogłaszały, że przyszłość do nich należy. *Zeitgeist* ich jednak nie lubił i artystyczno-literacka wspólnota o tym wiedziała. Toteż zarówno wtedy jak następnie w latach wojny, niewiele znalazło

się w niej zwolenników tego „ideolo”, czy, jak w niektórych krajach Europy, równoznacznego z kolaboracją, czy też, jak w Polsce, z chorobliwie nierealistycznym marzeniem o polskim imperium. Natomiast już w okolicach roku 1939 istniał pewien podkład, który wyjaśnia późniejszą podatność na hasła odbudowy albo „socjalistycznego budownictwa”.

Podróżując po Stanach Zjednoczonych i biorąc udział w różnych literackich sympozjach miałem możliwość stwierdzić, zwłaszcza u ludzi młodych, obsesyjne przejęcie się tematem obowiązków poety wobec społeczeństwa. Z trudem i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że minęło pół wieku od czasu kiedy mnie to trapiło. W dziwnej roli, przyjmowany już jako poeta amerykański na podstawie trzech moich tomów wierszy w przekładach, mam za sobą inne doświadczenia niż ktokolwiek z moich tutejszych kolegów, choć moi amerykańscy rówieśnicy mogliby znaleźć analogie z New Yorkiem lat trzydziestych, kiedy to „niezaangażowani” (w różne odmiany marksizmu) mieli trudności z dostępem do druku w pismach.

Kiedy słucham tych debat, ogarnia mnie wielka niemożność. Żadne z zasadniczych pytań nie znalazło w ciągu dziesięcioleci rozstrzygnięcia, przybyło natomiast wiedzy o zmiennych taktykach, podstępach, atakach, unikach. Gdzieś u sedna jest moja wątpliwość czy poeta może być życzliwy wobec społeczeństwa. Pragnienie sprawiedliwości, dobra, nienawiść do krzywdzicieli są nierozzerwalnie związane z samym powołaniem poety, ale każde społeczeństwo w jakim żyje musi zaprzeczać potrzebom jego serca. Bo niezależnie od wszelkich politycznych teorii, modeli, haseł, jest ono zawsze poddane prawu liczby, natomiast on pozostaje pojedynczym człowiekiem i stara się nazwać co czuje wobec zbiorowiska. Czy stara się? Tylko rzadko, ponieważ wstydzi się swoich nieprzyzwoitych, niezgodnych z tym co zbiorowo przyjęte, odczuć. Są one „niby ranliwe ciało pod stalową zbroją”. Gdyby sięgnąć do porównań ze świata przyrody, mają one coś wspólnego z niepokojem a nawet lękiem, jakie nas nawiedzają kiedy przyglądamy się ulowi (zwłaszcza otwartemu) czy mrowisku. Ruch i energia: ale energia bynajmniej nie dobrodusza, raczej złowroga, nieustępliwa, nie cofająca się przed niczym w dążeniu do celu. Pomijam cywilizacje wiejskie, bo choć były poddane tym samym prawom, występowało to w nich inaczej, niejako w rozrzedzeniu.

Literatura nowoczesna pojawia się jako konfrontacja z miastem — na przykład literatura rosyjska w konfrontacji z Petersburgiem (nie bez udziału w tym opisów Mickiewicza i ich wpływu na „Jeźdźca Miedzianego” Puszkina). Miasto jest molochem, dzunglą, tajemniczym gąszczem zwycięskich i pokonanych indy-

widualnych przeznaczeń. Można łatwo zrozumieć jego rolę w budzeniu rewolucyjnych energii, biorących się z protestu przeciwko nieludzkości. Zamiast wielkich uogólnień wystarczyłoby zbadać percepcje poszczególnego człowieka kiedy idzie ulicą np. New Yorku. Wszystkie one mają za tło poczucie zagrożenia. Bo sklepy i przedsiębiorstwa są zagadkowe przez to, że jedne powstają, inne znikają i że nie można pozbyć się myśli o ich ciągłym balansowaniu na granicy bankructwa jeżeli nie przyciągną czymśkolwiek klienteli. Współzawodnictwo reklam, neonów, okien wystawowych nie jest niewinne, wyraża wolę krwiożerczą. Przypomina też w każdej chwili, że aby iść tą ulicą jako przechodzień pełnoprawny należy zaliczać się do potencjalnych kupujących, że natomiast dla ubogich jest ona piekłem. I poczucie zagrożenia to niekoniecznie lęk przed napaścią ze strony osobnika z nożem, który potrzebuje kilkudziesięciu dolarów na heroinę. To przede wszystkim świadomość, że w tym, tu, teraz, jestem na powierzchni, ale mogę spaść i zmienić się w człowieka luźnego, bez przynależności do biura, sklepu, fabryki, co oznacza nie tylko brak zarobku ale brak miejsca odniesienia. Zresztą zło kapitalizmu było nieraz opisywane, mało jednak celnie, ponieważ jest ono natury ontologicznej i przez to wymyka się ocenie marksistów, dla których ten wymiar nie istnieje.

Znany dostatecznie ustrój, który powstał z buntu przeciwko kapitalizmowi, zwany socjalistycznym. I rzeczywiście cechy tej walki człowieka z człowiekiem, które są tak widoczne na nowojorskiej ulicy, zostały w nim znacznie złagodzone. Istnieje pewna tajemnica, wyjawianie której nie leży w niczyim interesie: oto tzw. socjalizm uwolnił wielką ilość ludzi od przekleństwa Adama czyli od pracy w pocie czoła. Po prostu obowiązuje w nim inna drabina kar i nagród — polityczna, a przy jej stosowaniu jest obojętne czy ktoś pracuje, czy udaje, że pracuje, czy ma zawodowe kwalifikacje, czy ich nie ma. To z kolei przynosi ze sobą upowszechnione ubóstwo oraz zmniejszenie strachu gospodarczego, i przez inną zasadę stosunków międzyludzkich, i przez to, że nie bardzo już wiadomo gdzie spadać. Nie znaczy to jednak, że bezlitosna energia właściwa ludzkiemu społeczeństwu nagle się ulotniła. Wręcz przeciwnie, przesunęła się tylko do aparatu represji i tam brutalnością przewyższyła swój odpowiednik w krajach kapitalistycznych, już ucłowieczonych przez odpowiednie ustawodawstwo. Niesłychany zasięg tego aparatu represji, olbrzymie budżety pochłaniające wysoki procent dochodu narodowego, najnowocześniejsze środki techniczne w jego rozporządzeniu, całe armie policji jawnej i tajnej — wszystko to wymierzone jest przeciwko poszczególnemu człowiekowi, który nie ma żadnych praw i żyje w stanie zbliżonym do niewolnictwa.

Literaci polscy po roku 1945 przystosowywali się do tego ustroju i nawet wielu z nich posługiwało się jego retoryką, której celem jak wiadomo jest ukrywanie rzeczywistości przy pomocy niby-to-realizmu. Działo się to nie bez udziału obudzonej przed wojną gorliwości społecznej, było też następstwem eksplozji uczuć patriotycznych i humanitarnych za okupacji hitlerowskiej. Nazizm dowiódł, że energia zbiorowa zwrócona w jednym kierunku, wola mocy zaiste, nie ma żadnych powściągów ani granic w zbrodni; i choć trudno winić o to niemiecką filozofię, trochę nie-swojo się robi, kiedy się przypomni, że w ciągu całego dziewiętnastego wieku była ona filozofią woli. Wobec tego, co pokazała okupacja niemiecka w Polsce, elementarny odruch moralny występował u piszących na plan pierwszy. Niektórzy co prawda, rozumiejąc, że poddanie się jemu całkowite nie pozwala na dystans, bez którego nie ma dzieła sztuki, próbowali kontynuować swoje przedwojenne zamysły (np. Iwaszkiewicz). Dla wszystkich jednak doświadczenie lat wojny było kluczowe i ono to miało dostarczać głównie tematów aż do chwili, kiedy wyrosnie nowe pokolenie, wojny nie pamiętające. Ta literatura zaangażowana spełniała także funkcję zastępczą, w podwójnym znaczeniu. Zaspakajała wymagania urzędowe przy pomocy lekkiego podretuszowania rzeczywistości (anty-hitlerizm utożsamiony z pro-sowiecizmem), czyli pozwalała przynajmniej poruszać sprawy bolesne a zabronione. Dostarczała też alibi tym, którzy dobrze znali wydarzenia, jakie nastąpiły wskutek paktu pomiędzy Hitlerem i Stalinem w roku 1939, a więc terror i wywózki z części kraju okupowanej przez Sowiety, ale o tym musieli milczeć. Zarazem utwory tego rodzaju stanowiły naturalny pomost do pochwał odbudowy przeprowadzanej pod zarządkiem komunistów.

Szanse pisarza, który chciałby zachować swoje wyniosłe odosobnienie nie były w tych warunkach dobre. To znaczy teoretycznie, zwłaszcza po roku 1956, mógł to robić i powstał cały margines, na którym rozwinęła się powojenna poezja polska, o światowym rozgłosie. Czy było to jednak odsunięcie się, podobne do alienacji poety amerykańskiego, czy też wręcz przeciwnie, ciągłe napięcie pomiędzy obroną praw sztuki i pragnieniem powiedzenia przemilczanej prawdy o życiu w tym ustroju? Jeżeli za przykład obierzemy poezję Zbigniewa Herberta, raczej to drugie. U niego ten konflikt jest postawiony jasno, a nawet stanowi sam trzon jego twórczości. Zważywszy, że publiczność polska była nadmiernie wrażliwa na wszelkie aluzje polityczne i tego przede wszystkim szukała w metaforach poezji i prozy, można się tylko dziwić, że w równie niezdrowych warunkach mogło powstać tyle utworów artystycznie wybitnych. Być może pomagała tutaj pewna niejasność w ocenie prawdziwego stanu rzeczy, podtrzy-

mywana przez cenzurę. Tak że i piszący, i ich odbiorcy, przebywali w świecie „jak gdyby”, a tym samym mniej byli narażeni na wyrzuty sumienia, zakładając, że żyją w kraju mniej więcej normalnym. Tymczasem był to kraj okupowany, z torturami w więzieniach i z aparatem terroru uzależnionym od Moskwy. Ostra świadomość tych faktów musiałaby całkowicie sparaliżować artystów. Przy pewnym nasileniu społecznego demonizmu sztuka jest w niego wpatrzona, niby królik w węża, jak to miało miejsce za okupacji hitlerowskiej.

Jest paradoksem, że pewne uspakajające hasła, takie jak w początkach Polski Ludowej „łagodna rewolucja” (wcale nie była łagodna), „odbudowa”, „następnie „stabilizacja”, oraz przeprowadzana w myśl tych haseł codzienna propaganda, stwarzały rodzaj otoczki umożliwiającej powstanie strefy pośredniej, w której było miejsce na sztukę. Rosły pokolenia, miały swoje prywatne życie, swoje poczucie względnej normalności. Zarazem ujawniała się wewnętrzna sprzeczność właściwa sztuce wyzwolonej z obowiązków społecznych, oddanej awangardowym eksperymentom, raczej popieranej przez władze, które po roku 1956 wołały ten rodzaj wyładowań energii, jako że odwracał uwagę od polityki. Sprzeczność, bo jednak w warunkach upolitycznienia wyobraźni zbiorowej utworom „oderwanym” grozi wegetariańskość, tak że nie tylko mogą być oskarżone o stosowanie uników, ale sama siła ich formy na tym cierpi.

W tej perspektywie, świata „jak gdyby”, należy ocenić prawdziwą rewolucję świadomości, jaka dokonała się w okresie bezpośrednio poprzedzającym Solidarność, za Solidarność i następnie po ogłoszeniu stanu wojennego. Nastąpiło rozdarcie zasłony i cała prawda o istocie systemu, jak też o historii stosunków polskorosyjskich, znalazła się w zasięgu wszystkich. Upolitycznienie wyobraźni osiągnęło stopień tak wysoki, że można go porównać tylko z jej przemianą podczas drugiej wojny światowej. I tak jak wtedy poezji przypada pierwsze miejsce wszędzie tam, gdzie słowo pisane występuje w obronie człowieka, przeciwko terrorowi i okrucieństwu. Zarazem znikł ten margines, na którym można było wierzyć, czy udawać że się wierzy, w trwałą wartość sztuki, niezależnie od jej bezpośrednich obowiązków. Obraz artysty, pisarza, narzucony mu obecnie przez społeczeństwo i przez niego przyjęty, jest dla niego wysoce pochlebny w sensie moralnym, umieszcza go wśród sprawiedliwych. Jego odosobnienie w społeczeństwie tym razem wydaje się definitywnie skończone. Taka jednak integracja nie odbywa się bez kosztów i, rzecz można, sprzeczna jest z samą zasadą nieufności sztuki wobec nowoczesnego społeczeństwa.

Wypada, niestety, stwierdzić, że utwory literackie powstające

z protestu przeciwko nieludzkości nieczęsto mają długie życie. W miarę upływu czasu rewelacje, czyli nazywania zbrodni po raz pierwszy, tracą swoją świeżość skoro zło, które zwalczały, staje się znane powszechnie. Tak więc kiedy wszystko wiadomo o hitleryzmie, wiersze przeciwko niemu pisane, niegdyś mocne emocjonalnie, pozostają jako szlachetne dokumenty, ale chorują na zbytnią oczywistość. Coś podobnego może zdarzyć się dzisiaj w literaturze polskiej, co doskonale ujął Zbigniew Herbert:

*nasze zeszyty szkolne szczerze udręczone
ze śladem potu też krwi będą
dla korektorki wiecznej jak tekst piosenki pozbawiony nut
szlachetnie prawy aż nadto oczywisty*

(„Do Ryszarda Krynickiego — list”)

Najgorszym skutkiem wewnętrznej inwazji 13 grudnia 1981 roku nie jest policyjna gospodarka kulturą i rozbicie związków twórczych, ale właśnie obsesja moralnego obowiązku piszących, jeżeli nie godzą się na kolaborację. Gdyby nie została rozgromiona „Solidarność”, upolitycznienie straciłoby wkrótce swoją intensywność i powstałaby pewna równowaga pomiędzy obowiązkami artysty i obywatela. Raz jednak jeszcze *La Pologne martyre* przyciągnęła całą uwagę piszących, zazdrosna, zaiste, bogini. Znowu wypada zacytować Herberta, który jest świadomy sprzeczności i rozpaczliwie próbuje ją przewyciężyć, co właśnie sprawia, że pisze poezję wysokiej próby:

*na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników — przyznasz — mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżyć świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet*

(jak wyżej)

Raz jeszcze, jak w dziewiętnastym wieku, poezja polska znalazła się w służbie uciemiężonego narodu. I gdyby można było postawić znak równania pomiędzy szlachetnością uczuć i sztuką, pomiędzy etyką człowieka i etyką artysty, należałoby to przyjąć jako szczęście w nieszczęściu. Jeżeli jednak ta służba w wieku ubiegłym narzuciła poezji polskiej jeden temat, jak też uniemożliwiła rozwój prozy, istnieją dzisiaj powody dla których zamknięcie się w partykularnym kręgu jeszcze bardziej oddala od widzenia zjawisk w szerszej skali, bez czego nie ma prawdziwie wielkiego pisarstwa.

Zapewne, komunizm, walka z komunizmem... Temat jak naj-

bardziej uniwersalny i już samo włączenie Polski do imperium o planetarnych ambicjach, jak też gorzka wiedza przez to zdobyta, dają wyjątkową szansę polskiej literaturze, pozwalając jej na dojrzałość większą, niż to jest możliwe w literaturach zachodnich. Pojawia się jednak znaczna przeszkoda w postaci ciągłego przeciwstawienia Wschód-Zachód. Jest to przeciwstawienie mające może jakąś polityczną przydatność ale dla poety jałowe, ponieważ cechy demoniczne cywilizacji dwudziestego wieku zostają, kiedy się je stosuje, przesłonięte i co jest jedynie objawem choroby, jest podawane za przyczynę. Ktoś, nie pamiętam, Zinowiew czy Besançon, zauważył, że komunizm jest rakiem, czyli nie ma swojej konsystencji niezależnej od organizmu, skoro są to te same komórki zachowujące się nieco inaczej niż w stanie zdrowia. I rak rozszerza się na powierzchni całej planety nie zawsze w formach od razu widocznych i łatwo uchwytnych. Toteż, niestety, cała wolnościowa retoryka zwrócona przeciwko tyranii brzmi nieco zbyt podniosłe, jako że zabrakło takiego przeciwnika jakim był na przykład carat, jest tylko „ogromny pysk nicości” jak w wierszu Herberta „Potwór pana Cogito”. Ten wiersz jest zresztą przykładem, że jakiegokolwiek uogólnienia dotyczące sytuacji literatury należy przyjmować ze szczyptą soli, jeżeli jeden poeta o wysokiej świadomości potrafi wymknąć się regułom, zgodnie z którymi jego istnienie jest niemożliwe. „Potwór pana Cogito” jest wierszem uniwersalnym, i odczytywany amerykańskim studentom, jak to nieraz robiłem, jest dla nich znakomicie zrozumiały.

Wyostrowana świadomość: bez niej nie może dzisiaj powstawać sztuka większej miary. Zakłada to jednak dystans wobec struktur społecznych i sięganie do głębokich przyczyn choroby. Że życie pod rządami komunistów jest koszmarem kłamstwa i brzydoty, stało się zanadto oczywiste, czyli nastąpił koniec aluzyjności, metafor i satyry. Wątpliwe, czy można tu jeszcze coś dodać i czy warto. Klucie potwora szpileczkami jest zajęciem bezcelowym, drobne to satysfakcje i najwyżej dostarczające złudzeń aktywności. Ale nie można też wycofać się w „sztukę czystą”, wyniosłe obojętną na ludzkie cierpienia. Po wielu dekadach różnego rodzaju zaangażowań, zamknęło się koło i wracamy, przynajmniej w naszej części Europy, do nieufnych postaw z początku stulecia, bogatsi o znajomość horroru, który czaił się pod powierzchnią złudnego ładu, zanim z rokiem 1914 wyostał się na powierzchnię i po dziś dzień nam towarzyszy.

Czesław MIŁOSZ

Tekst przygotowany na konferencję „Contemporary Poland in Historical Perspective”, Yale University, 23-25 maja 1984.

Malarz spalonej ziemi

Józefowi Czapskiemu

Czerń, brąz, biel, szarość przechodząca niekiedy w błękit, gdzieś tam plamy czerwieni. Wyraźna preferencja dla barw ciemnych, kojarzonych przez tradycję z ziemią i wodą — ale wodą zastygłą w kałużach — z jesienią i zimą, z żałobą i śmiercią. Czerwień — kolor ognia i krwi — jest tu przeważnie zgaszona, biel — przybrudzona, a błękit — przyćmiony, jak gdyby w powietrzu unosiły się dymy i kurz. Brak zieleni i żółci: w tym świecie nie świeci Słońce, a życie, jeśli przetrwało, upodobniło się do otoczenia. Nic w tym monotonnego wszelako dzięki wygrywaniu wszelkich możliwych odcieni szarości i brązu oraz dzięki różnorodności stosowanych materiałów i technik. Olej i akryl, emulsja i szelak, drewno, płótno, lateks i papier, piasek przyklejony do wielkich podmalowanych fotografii, słoma, skórka zajęcza, narzędzia i inne wyroby metalowe przytwierdzone do ram czy do płótna — każdy środek jest dobry, jeśli pozwala artyście pokazać, co chce, a zarazem zająć stanowisko wobec znaczeń, w jakie wyposaża przedstawiane przedmioty.

Albowiem chodzi tu właśnie o przedstawienie czegoś, o udostępnienie postrzeżeniu wzrokowemu takich konfiguracji plam barwnych, które byłyby rozpoznawalne jako odwzorowane w dwa wymiary przedmioty znane z doświadczenia. Pole: czarne skiby ziemi nie zaoranej wszakże ale, na pierwszym planie, przeoranej i zwęglonej, a nieco dalej płonącej jeszcze — widać pełgające płomienie i dymy; na horyzoncie niewielki zagajnik, w tle kawałek nieba. Równina, gdzie jedyną roślinnością są trzy bezlistne brzoźki, przecięta drogą, wydeptaną i rozjeżdżoną, zbrukaną czarnymi plamami. Inna równina, może ta sama zresztą, ale teraz przysypana śniegiem porysowanym głębokimi czarnymi bruzdami — śladami kół? gąsienic? — odcina się od skrawka ciemnego nieba. Las pni i gałęzi odartych z igliwia i liści. Wnętrze strychu

zbudowanego z potężnych bali o wyraźnych słojach, pokrytych siatką pęknięć; stromy dach, podłoga z desek. Inne wnętrza, raczej gmachów publicznych wzniesionych z kamienia, wypalone lub wyburzone. Monumentalne architektury. Groby. Ogniska.

Takie, niepełne zresztą wyliczenie przedstawianych przedmiotów daje jednak nikłe tylko pojęcie o obrazach. Wspomniany przed chwilą stary strych byłby całkiem zwyczajny, gdyby nie miecz wbity w podłogę do połowy brzeszczotu. Środek innego strychu zajmują trzy krzesła. Nic w tym dziwnego. Ale na każdym znajduje się rozżarzona biel z domieszką żółci zwieńczona pasmami czerwieni. Oko wnioskuje natychmiast, że na krzesłach płoną ogniska. Cóż to za ogień jednak, który nie ogarnia samych krzesel, drewnianych przecież, i nie rozprzestrzenia się we wnętrzu. Równie zaskakujące są trzy ogniska zastygłe niejako na podłodze z desek, po której pełnie wąż, albo zawieszzone na ścianach ogromnej hali zbudowanej z drewnianych belek. Inna zagadka: portrety znanych postaci historycznych zanurzone w gęstwinie leśnej wśród poskręcanych korzeni, których końce, spiętrzone, płoną w sercu lasu. Jeszcze inna: nad prostym grobem z krzyżem u wezłowania unosi się uskrzydłona forma, w której łatwo rozpoznać paletę.

Pejzaże, wnętrza, lasy, architektury: różnorakie przestrzenie stanowią niejako pierwszą warstwę omawianych obrazów. Do drugiej należą ognie, palety, skrzydła, węże, wizerunki i pozostałe rekwizyty rozmieszczone w każdorazowo innej przestrzeni; w tej sztuce, która nie zna postaci ludzkich, zastępują one aktorów. Warstwa trzecia — to napisy. Artysty nie zadowala bowiem nadawanie tytułów utworom. Wpisuje on nazwę obrazu w sam obraz, czyni jego nieodłącznym składnikiem. Wtapia znaczenie w przedstawienie. Dokładniej: po prostu zwięża właściwą wszelkiemu przedstawieniu wieloznaczność, gdyż dookreśla nazwą tożsamość rekwizytów lub czas i miejsce przedstawianej sceny. To, co by inaczej było tylko równiną, nie jest nią: to *Piaski Brandenburgii*. I las nie jest po prostu lasem: to Las Teutoburski, gdzie Herman-Arminius rozgromił legiony Varusa. Ogień na strychu — to *Ojciec, Syn i Duch św.*, albo *Czwórca*, gdy dochodzi wąż, albo *Parsifal II*, albo *Duchowi bohaterowie Niemiec*. Las z portretami — to *Drogi mądrości doczesnej*, a grób — to przeważnie *Grób nieznanego malarza*.

Rozróżnienie przestrzeni, rekwizytów i napisów ma dwojakie uzasadnienie rzeczowe. Po pierwsze, choć większość omawianych obrazów ma budowę trójwarstwową, zdarzają się takie, które ukazują samą przestrzeń, bądź przestrzeń z rekwizytami ale bez napisu. Po drugie, co ważniejsze, zabieg ten odtwarza kolejność, w jakiej postrzegamy każdy obraz i uświadamiamy sobie jego

znaczenie. Wchodząc do sali wystawowej i patrząc z odległości na obraz, przeważnie o dużym formacie, widzimy przede wszystkim przestrzeń, rozpoznajemy pejzaż, wnętrza, las czy architekturę. Pomniejsze plamy barwne, niezrozumiałe dla oddalonego spojrzenia, utożsamiamy dopiero w miarę podchodzenia do obrazu ze znanymi z doświadczenia zjawiskami, odkrywając zarazem rolę, jaką pełnią w całości. Ale tylko przy dużym zbliżeniu widzimy napisy na tyle wyraźnie, by móc je odczytać — i scalić ze spostrzeżeniem znaczenie, jakie artysta nadał ukazанym kształtom. Gdy po tym wszystkim, cofnięci, ponownie ogarniamy wzrokiem cały obraz, postrzegamy go inaczej niż za pierwszym razem: wiemy, co widzimy. Umiemy włączyć to w niewidzialną otoczkę, z której wyrasta i w której znajduje swe dopełnienie.

Anselm Kiefer, autor omawianych dzieł, ma lat 39. Urodził się w Donaueschingen, studiował w Karlsruhe i w Düsseldorfie, mieszka w Buchen/Odenwald. Malarz to wybitny, najciekawszy zapewne w swym pokoleniu. Zainteresowany bardziej kompozycją niż rysunkiem czy kolorem, które podporządkowuje poszukiwaniu całościowego efektu, umie nadać swym obrazom wewnętrzny dramatyzm, wbudować w nie napięcie i narzucić je widzowi. Sprawić, by to, co widzi, zwróciło go ku rzeczywistości niewidzialnej. Przyczynia się do tego przeciwstawianie pierwszego planu dalszym dzięki mistrzowskiemu operowaniu perspektywą, granie kontrastami faktury, zaskakujące kojarzenie rekwizytów z przestrzenią i napisów z przedstawieniami. Ale największy udział ma w tym sama scena udostępniana spojrzeniu widza: zazwyczaj ślad czegoś, co się dokonało, wynik działań, które trzeba uwzględnić, by zrozumieć znaczenie nadane dziełu przez artystę.

Widzimy spaloną ziemię: kiedy spłonęła? I czy coś na niej kiedyś wyrośnie? Kto podpalił płonąca jeszcze równinę? Jakie pojazdy wyzłobiły drogi w piaskach Brandenburgii? Na czyj rozkaz, przez kogo wydany i w jakiej epoce wzniesiono przytłaczający rozmiarami i wspaniałością gmach, z którego pozostała ruina? Co doprowadziło go do tego stanu? Dlaczego zginął nieznanymi malarz? Nie każdy obraz budzi takie pytania. *Upadek Ikara* Piotra Bruegla Starego pokazuje ostatnią chwilę przed zatonięciem bohatera. Dwie nogi wystają jeszcze z wody, ale spokój krajobrazu pozostał niezmacony: oracz nie unioś głowy znad pługa, pasterz nie zmienił kierunku wzroku, oczy rybaka nie przestały pilnować wędki. Powody upadku Ikara są nieistotne, bo samo wydarzenie, które wkrótce przeminie bez śladu, w niczym nie zakłóciło porządku przyrody i zestrojonego z nim biegu spraw ludzkich. *Ikar = Piaski Brandenburgii* Kiefera — to Ikar o skrzydłach szerniałych od ognia i dymu, zmiądzony i potrasz-

kany, na płonącej ziemi, z pożogą w tle. Ten Ikar nie padł ofiarą lekkomyślnego nieposłuszeństwa. Został zestrzelony. Toteż jego los skłania nie do zadumy nad obojętnością świata dla kłęski geniusza, ale do zapytania, kogo on uosabia i za czyją sprawą oraz w jakich okolicznościach skończył swój lot.

Widzimy rozpląszczoną na ziemi, czarną, uskrzydloną postać. Napis powiadamia, że chodzi o Ikara — mógłby to być również upadły anioł — i o piaski Brandenburgii, co oczywiście, gdy porównać odtworzony tu pejzaż z innymi. Obraz podaje się zatem za rejestrację śladu określonego zdarzenia, za coś w rodzaju fotografii miejsca wypadku z obwiedzionym kredą zarysem ciała ofiary. Podobnie *Śmierć Brunhildy* — to tylko dogorywające ognisko — stos — na srebrzystoszarym tle. *Śpiew Wylanda* — to wypalone pole, poryte koleinami, z przytwierdzonym do obrazu ołowianym skrzydłem zastąpionym w innej wersji żelazną kratą, kątownicą i trzema parami cęgów. Inaczej niż malarze historyczni z ubiegłego stulecia, Kiefer nie ukazuje zdarzeń i bohaterów. W jego twórczości przestrzeń z rekwizytami prawie nigdy nie ilustruje napisu. To napis ją dookreśla, dopełnia i przedłuża ku temu, co niewidzialne, gdyż apeluje do wiedzy widza: do znajomości eposu germańskiego, mitologii antycznej czy dziejów najnowszych. Fingując ślad wydarzenia, do którego odsyła napis, obraz pobudza i ukierunkowuje pracę wyobraźni, i prowokuje pytania. Dzięki swym walorom plastycznym, przyciąga i przytrzymuje spojrzenia widza, by poruszyć jego umysł i jego pamięć. Pod warunkiem wszakże, by był to widz obyty z historią, świadom tradycji.

Właściwym żywiołem Kiefera jest historia. Historia, która przeorała piaski Brandenburgii, odarła z liści i igieł Las Teutoburski, próbowała utysiącletnić się w kamiennych gmachach, by obrócić je później w ruinę, i po dziś dzień wstrząsa ziemią na polach dawnych bitew. I jest nim tradycja nawarstwiona w słojach i szczelinach belek, budulcu wiekowych domów przekazywanych wraz z nią przez pokolenia pokoleniom. Tradycja Niemców i historia Niemiec. Albowiem Kiefer jest malarzem niemieckim nie tylko z uwagi na przypadłość życiorysu. Podczas gdy galerie i wystawy w RFN wypełniają dzieła młodych artystów, które odsłaniają wyłącznie ich seksualne obsesje lub rewolucyjne przekonania, i które by mogły bez zmian wyjść z pracowni Paryża, Mediolanu czy Nowego Jorku, ustosunkowuje się on, malując, do politycznej i duchowej przeszłości swej ojczyzny, a tym samym — do jej teraźniejszego rozdarcia. Jako wypowiedzi o Niemcach i o Niemcach jego obrazy zasługiwałyby na uwagę, nawet gdyby nie miał zająć ważnego miejsca w sztuce naszego czasu. Ponieważ ma, zasługują na nią w dwójnasób.

Kiefer, rocznik 1945, należy do pokolenia, dla którego hitleryzm to zamknięty akt niemieckiego dramatu. Skazany przez tych, co przeżyli, na zapomnienie i ukrywany w latach cudu gospodarczego przed dziećmi i młodzieżą. Gdzieś tam toczyły się procesy zbrodniarzy wojennych, a kombatancki na dorocznych zjazdach wspominali pułkową młodość i poległych kolegów. Ale rówieśnik Kiefera, znany reżyser filmowy, Volker Schlöndorff, usłyszał o najbliższej przeszłości własnego kraju dopiero we Francji, gdzie rodzice oddali go do szkoły. Wspomnienia z Trzeciej Rzeszy złożone w prywatnej pamięci jednostek i rodzin, do publicznej pamięci narodu niemieckiego przenikały z trudem, wbrew cenzurze — w freudowskim, rzecz jasna, słowa tego rozumieniu, — która usiłowała je zepchnąć do nieświadomości. Bo też zaiste nie wiadomo, co począć ze wspomnieniami z czasów, które nieuleczalnie skaziły wszystkie czyny godne na pozór podania potomnym za wzór tak, że moralność musi je potępić, choćby prawo nie znajdowało w nich znamion przestępstwa. Które cnoty obywatelskie obróciły w posłuszeństwo bezprawiu, a bohaterstwo — w ofiarę na rzecz zorganizowanej zbrodni. I zmusiły patriotów, by przyczyniali się do kłęski własnego kraju, świadomi nieszczęść, jakie sprowadzi, ale w przekonaniu, że zwycięstwo panującego w nim ustroju byłoby katastrofą i dla Niemiec, i dla świata.

W roku 1945, wkrótce po zakończeniu wojny, Martin Heidegger podjął próbę wyjaśnienia, dlaczego w kwietniu 1933 dał się wybrać rektorem uniwersytetu we Fryburgu, jaką rolę odegrał nim ustąpił w lutym 1934, i co właściwie powiedział w słynnej mowie rektorskiej *Die Selbstbehauptung der deutschen Universität*. Artykuł, ogłoszony dopiero rok temu, świadczy, że Heidegger uważał za nieodzowne rozliczenie się z tego epizodu przed sobą samym i przed potomnością. Miał słusność. Jak bowiem można było upatrywać w ruchu narodowo-socjalistycznym pozytywne możliwości? Jak można było oczekiwać odeń skupienia i wewnętrznego odnowienia ludu? A takie nadzieje, co wyznaje, Heidegger żywił w 1933 roku. Ale pytania ich dotyczące nie otrzymały odeń odpowiedzi. Co gorsza, nie zostały nawet wysłowne ani we wspomnianym tu artykule, ani gdzie indziej, jak gdyby przenikliwość filozofa porażona była w tym punkcie nieuleczalną ślepotą. A przecież nie był nazistą, odrzucał ideologię hitlerowską, a po ustąpieniu z urzędu budził nieufność lub zgłą wrogość władz Trzeciej Rzeszy. W jego życiorysie pozostaje jednak dziesięć miesięcy, których nie zdołał przeświecić i które rzuciły cień na całość jego twórczości.

Dwanaście lat rządów Hitlera postawiło w stan oskarżenia całą historię Niemiec we wszystkich jej wymiarach. Myśl niemiecką w osobach Fichtego, Nietzschego i Heideggera, współwin-

nych rzekomo, wraz z wieloma innymi, unicestwienia rozumu. Muzykę Wagnera. Literaturę: Hölderlina i Kleista, Mörike i Stefana George. Wszystkie ruchy, które dążyły do zjednoczenia, statystów i wojskowych, którzy je urzeczywistnili, Prusy obwieszczono „odwieczną kolebką militarystyki i reakcji”, Bawarię, bo w Monachium powstała NSDAP, Nadrenię-Westfalię jako siedzibę zakładów Kruppa. Istnienie NRD, która usiłowała zawłaszczyć nurt demokratyczny i antyfaszystowski, wyróżniany według doraźnych kryteriów politycznych, a zarazem wytaczała proces wszystkim, co religijne, narodowe, „feudalne” i „burżuazyjne”, przyczyniało się do fałszowania obrazu przeszłości. I przyczynia nadal, choć dziś zrehabilitowano już tam Marcina Lutra, barona Steina, generała Scharnhorsta, a nawet pułkownika Stauffenberga i innych zamachowców z 20 lipca 1944, wciąż gwałtownie atakowanych przez *Prawdę*. Symbolizując obecne roszczenia NRD do bycia jedynym prawowitym spadkobiercą Prus, posąg konny Fryderyka Wielkiego wrócił w 1981 roku na dawne miejsce przy Unter den Linden. Rok później, tym razem w Berlinie zachodnim, odbyła się seria wystaw usiłujących pokazać złożoność i wieloznaczność historii Prus, a zarazem uzasadnić prawo Republiki Federalnej do sięgnięcia po niektóre składniki ich dziedzictwa. Choć dzieją się w sferze kultury i dotyczą przeszłości, wydarzenia takie uruchamiają z reguły lawinę komentarzy, pytań, domysłów, a niekiedy pomówień, jednoznacznie politycznych i prognostycznych. W czterdzieści lat po upadku Trzeciej Rzeszy, każda niemal postać i bez mała każde wydarzenie z historii Niemiec pozostaje ciągle podejrzane o przynależność do genealogii narodowego socjalizmu. A każde zwrócenie się Niemców ku ich tradycjom budzi natychmiast lęk sąsiadów.

Malarstwo Kiefera nawiedzają wspomnienia wojny. *Operacja Lew morski* czyni aluzję do zamierzonej przez Hitlera inwazji na Wielką Brytanię: trzy zabawkowe okręty wojenne pływają w basenie umieszczonym w czarno-białym pejzażu z ogniami płonącymi na horyzoncie. Trzy inne obrazy z tej serii: *Operacja Hagenbewegung*, *Operacja Wintergewitter* i *Operacja Barbarossa* — ukazują równiny pokryte śniegiem i pocięte bruzdami zbiegającymi się w oddali; za każdym razem scena jest ujęta w paletę, jak gdyby malarz chciał zwrócić uwagę na swą rolę pośrednika między tym, co przedstawione, a widzom, jak gdyby chciał zasugerować, że paleta — to przyrząd do odświeżania niedostępnych pospolitemu spojrzeniu śladów przeszłości. Ale wojna obecna jest również we wstrząsającym, opisanym na wstępie pejzażu *Chrabąszcz lata*, którego tytuł cytuje pierwsze słowa dziecinnej rymowanki wypisanej przez Kiefera na samej linii horyzontu; w przekładzie: „Chrabąszcz lata, na wojnie tata, mama na Pomo-

rze, Pomorze ogień orze”. W prawym górnym rogu przebija zarys palety. W programowym obrazie *Malarstwo spalonej ziemi* paleta znajduje się pośrodku. Widzimy przez nią spękaną czerń ziemi i czerwień ognia. Na lewo od palety płomień ogarniają samotne drzewo: wojna. Wojna — to także wspomniany już *Ikar* i inne obrazy z cyklu *Piaski Brandenburgii*, które pokazują jeśli nie płonącą ziemię, to krajobraz przemielony przez koła i gąsienice.

Wspomnienia wojny, wspomnienia Trzeciej Rzeszy. Monumentalne *Wnętrze* o przeszklonym stropie, z którego wypadły szyby, wypalone, ze śladami sadzy i dymu, i płonącym pośrodku ogniskiem, ma za pierwowzór zaprojektowaną przez Speera dla Hitlera salę mozaik nowej kancelarii Rzeszy. Do innego projektu Speera nawiązuje majestatyczna kolumnada umieszczona przez Kiefera pod czarnym niebem i poświęcona *Nieznanemu malarzowi*; jego grób, który otacza z trzech stron, znajduje się w środku pierwszego planu, gdzie wskazuje nań wbity w przepaloną ziemię drąg zwieńczony paletą. Narożnik podobnej kolumnady odcina się na tle nocy obejmując grobowiec, też z drągiem zwieńczonym paletą; jeszcze jeden hołd *Nieznanemu malarzowi*. Kamienne architektury są zresztą zazwyczaj u Kiefera siedzibami śmierci. Oto czarne pnie bez gałęzi, niczym las kolumn, między którymi płonie ognisko. Za nimi — rzeka. Na drugim brzegu — ruina neoklasycznej budowli przypominającej ni to Bramę Brandenburską ni to Propyleje z dwoma gmachami w stylu Partenonu na Placu Królewskim w Monachium; Kiefer wykorzystał tu projekt pomnika poległych Wilhelma Kreisa. Obraz nazywa się *Ren*, ale ukazuje grobowiec: żołnierza? artysty? Do tej żałobnej wymowy przyczyniają się pospołu kolorystyka i geometria: czarne pnie na białym tle przecięte pod kątem prostym przez czarny zarys brzegów; budowla na drugim planie odpowiadająca ognisku na pierwszym i powtarzająca w pomniejszeniu grę pionów i poziomów, czerni i bieli; umieszczenie środka tej budowli wraz z ogniskiem na osi symetrii; podporządkowanie stosunku planów regułom perspektywy. Jest w tym coś z rygorystycznym Mondrianem, na którego Kiefer powołuje się zresztą w kilku innych obrazach.

W maju-czerwcu bież. roku wystawa Kiefera odwiedziła Paryż w drodze z Düsseldorfu do Jerozolimy; przeżycie, jakim było zderzenie z jego malarstwem, pobudziło do spisania tych uwag. Przeżycie złożone: zachwyt i niepokój zarazem. Zachwyt sztuką. I niepokój wobec fascynacji wojną, przypominania Trzeciej Rzeszy, podejmowania tematów obciążonych czarnymi skojarzeniami. Autorzy katalogu upatrują w tym tylko prowokację artystyczną, awangardowy gest mający wytrącić widza z równowagi,

spowodować skandal. Kiefera nie sposób jednak zaliczyć do awangardy, o ile to słowo oznaczać ma cokolwiek określonego. Najróżniejsze techniki, którymi się posługuje, nie są już dziś swoiście awangardowe; należą do kanonicznego repertuaru współczesnego malarstwa. Co więcej, używanie ich przez Kiefera jest niekiedy umotywowane treściowo: malarz spalonej ziemi ma pełne prawo tworzyć swe dzieła przy pomocy palnika. Ale różnice między Kieferem a awangardą sięgają głębiej. Nie wychyla się on bowiem w przyszłość przeciwstawioną dnu dzisiejszemu, co było zawsze najważniejszym bodaj z jej wyróżników. Zwraca się ku przeszłości. Nie usiłuje wyzwolić się od tradycji, by osiągnąć stan historycznej nieważkości, w którym wszystko jest możliwe i dozwolone. Przeciwnie, nawiązuje do niej zarówno tematyką swych dzieł, jak ich wykonaniem. Nad miasto przekłada wieś: drewniane strychy i drogi polne. Nad masy — jednostkę; tytuł pewnego rysunku głosi: „Každy przebywa pod własnym sklepieniem niebieskim”. A od nowoczesności woli archaikę: bohaterów mitów i legend, postaci i sceny historyczne, czas wpisany w przedmioty i krajobrazy. Jako malarz — jest konserwatystą.

Nie chodzi więc o awangardowy wybryk w rodzaju zapełniania obrazów o dużym formacie odrobionymi, jak żywe, fallusami. Zapewne, przywołując wspomnienia wojny i Trzeciej Rzeszy, Kiefer chce poruszyć widza. Nie, by cieszyć się wywołaniem skandalu. Ale by zakwestionować nawyk utrwalania w pamięci narodu wspomnień o tym tylko, co zdaje się dobre i wzniosłe. Nieważne, czy artysta oświadczył cokolwiek tej treści. Wystarczy, że taka jest wymowa jego dzieł. Jakoż kamiennym gmachom publicznym, wzniesionym wczoraj zaledwie, pomnikowym, zakrojonym na wieczność, a przecież już zrujnowanym, przeciwstawia drewniane strychy prywatnych domów, stare — widzimy strome sklepienia i spękane belki — ale wciąż ożywione duchowym ogniem, który płonie nie powodując zniszczeń, wartościami chrześcijańskimi: Trójcą św., Graalem, Wiarą, Nadzieją i Miłością. Artysta potępia kamienny świat Trzeciej Rzeszy. I operacje wojenne, po których została jedynie ziemia jałowa, spalona ogniem bitewnym. Czasy obrazoburców. W jednym *Sporze o obrazy* czołgi szarżują na paletę, ziemia płonie. W innym czołg miażdży płonąca paletę na drewnianej podłodze, niszcząc zarazem sztukę i moralność. Wszystko to nie znaczy wszelako, jakoby Kiefer akceptował obłożenie Trzeciej Rzeszy anatema, zakaz wspomnienia o niej, wygnanie jej z pamięci, wykreślenie z historii. Obrazoburcy byli również w Bizancjum; ich nazwiska figurują na pierwszym wymienionym teraz obrazie. O tym, co się stało, nie wolno zapomnieć, jak nie wolno, gdy mowa o Norym-

berdze, myśleć tylko o Hansie Sachsie i o operze Wagnera, pomijając *Parteitag* i proces zbrodniarzy wojennych. Toteż cztery obrazy, z których jeden nazywa się *Norymberga*, a trzy pozostałe — *Spiewacy norymberscy*, należy czytać jako aluzje do wszystkich tych wydarzeń.

Jakiś jezuicki zbiór rozważań historycznych, na który przypadkiem trafił, dostarczył Kieferowi tytułu dwóch obrazów: *Drogi mądrości doczesnej*. Chodzi więc o mądrość przynależną do świata widzialnego, do historii świeckiej, w której ścierają się narody. W obu obrazach scena przedstawia Las Teutoburski, na co wskazuje napis: „Bitwa Hermana”. Tu i tam w środku płonie ognisko, a na okolu wyłaniają się twarze połączone z ogniskiem pępowiną wijących się korzeni. Na wcześniejszym obrazie są to Herman, legendarny pogromca legionów Varusa, i jego żona, Thusnelda, wojskowi: Blücher, Clausewitz i Schlieffen, oraz pisarze i myśliciele, m.in.: Fichte, Hölderlin, Kleist, Rilke i wyróżnieni, bo oznaczeni tylko imionami, Stefan [George] i Martin [Heidegger]. Niektóre z tych twarzy wracają na drugim obrazie w towarzystwie m.in. Kanta i Kruppa, Mörrike i Bismarcka, Herwegha, wybitnego uczestnika Wiosny Ludów, Schlagetera, wielbionego przez nacjonalistów żołnierza *Freikorps*’ów, rozstrzelanego przez Francuzów za sabotaż podczas okupacji Ruhry, i Horsta Wessela, bohatera nazistów. Ogień, który płonie w środku, wzniesiony zapewne przez Hermana i tożsamy z niemieckością, jest więc ogniem bitewnym i duchowym zarazem, zdolnym do niszczenia i tworzenia. A historia Niemiec, przeplatanie się zmagania z myślą i słowem, i walk zbrojnych, snów o pokoju powszechnym i jawnej przemocy, otwarcia na wartości uniwersalne i utwierdzenia własnej odrębności — historia wzniosłości i podłości, wielkoduszności i bestialstwa, które zapowiada ostatni z wymienionych, jawi się jako napiętnowana nieuleczalną dwuznacznością.

Kiefera fascynuje ta dwuznaczność. Oto mur z cegieł zamykający coś, co kiedyś było podwórzem albo ulicą, a teraz, podmokłe i przysypane ściółką, stało się siedliskiem grzybów, na pewno niejadalnych, może nawet trujących. W samym centrum tego żalosnego pejzażu wyrasta z ziemi szarawa łodyga zakończona dużym przełamanym owalem pełnym zwojów i fałd. Ten twór, wielokrotnie wyższy od pobliskich grzybów — to stos pacierzowy przechodzący w mózg widziany z profilu, domalowany na podcieniowanej czarno-białej fotografii. Tytuł utworu: *Martin Heidegger*. Czy ma to znaczyć, że myśl Heideggera jest tylko wytworem błota, w którym wyrosła? Czy, odwrotnie, że nawet tam mogło zakwitnąć coś tak niezwykłego, jak myśl Heideggera? Czy też, wreszcie, że myśl ta, której wielkość i złożoność kontras-

tują z wulgarnością otoczenia, jest zarazem wspaniała — i niebezpieczna, jak trujące grzyby? Trzecia wykładnia zdaje się najbliższa zamysłowi malarza, którego łączy z Heideggerem niewątpliwe duchowe pokrewieństwo. Upodobanie do wsi i dróg polnych. Przekonanie o ścisłym związku budowania z zamieszkiwaniem i zachowywaniem widoczne w przeciwstawianiu trwałości starych strychów ruinom kamiennych architektur. I, stanowiące o podobieństwie malarstwa do metafizyki, wprowadzanie samego siebie pod znak zapytania.

Albowiem twórczość Kiefera jest nieustannym zapytywaniem o samego siebie, próbą określenia własnej tożsamości w języku malarskiej mitologii, której by był jednoosobowo autorem i bohaterem. Co znaczy: być malarzem? I co znaczy: być Niemcem? Płomienie tańczą na napiętych sznurach utrzymujących w powietrzu paletę. To ogień duchowy, nie powodujący skutków widzialnych. Gdzie indziej paleta ukazana jest jako dusza wznosząca się ku niebu albo trzyma ją anioł stróż artysty. Malarz ma jednak do czynienia nie tylko z ogniem duchowym. *Malować = palić* głosi tytuł jednego obrazu. A chociaż w innym, zatytułowanym *Malowanie*, paleta unosi się nad równiną, piaszczystą drogą, w smugach deszczu, ale to chyba unikat. Ogień powraca natomiast stale i wciąż, fascynujący i przerażający, jak w wizjach spalonej ziemi czy pożaru ogarniającego całą gminę Buchen. Malarz ma więc do czynienia z ogniem duchowym i z ogniem fizycznym, z światłem wiekuistym i z narzędziem wojny. Jako przynależny do tego dwuznacznego żywiołu, może on, wedle Kiefera, być również żołnierzem, uczestnikiem walk i ich ofiarą — stąd groby nieznanego malarza, — z obrazotwórcy może przemienić się w obrazoburcę. Tej możliwości, którą urzeczywistniła niedawna przeszłość, Kiefer jest świadom nie tylko jako malarz. Również jako Niemiec. Spadkobierca kraju, którego część, odcięta krwawą linią zasieków i muru — piaski Brandenburgii, miasta Brandenburgii — nawiedza jego obrazy, jak gdyby upominała się o przyłączenie do reszty. I dwuznacznego dziedzictwa, którego ciemnych i groźnych składników nie potrafi się wyrzec, choć je potępia. Niemiec: strażnik twórczego i niszczycielskiego zarazem ognia wzniesionego przed wiekami w Lesie Teutoburskim.

Krzysztof POMIAN

Nota: Wiele informacji podanych w tym szkicu zaczerpnąłem z katalogu wystawy Kiefera: J. Harten i M. Heinz, wyd., *Anselm Kiefer, Düsseldorf-Paris 1984*. O Heideggerze w latach 1933-1934 pisałem szerzej w: „Z okazji Marcina Heideggera”, *Znak* nr 240, 1974, str. 702-713. Wspomniany tu artykuł Heideggera ukazał się po francusku w *Le Débat* nr 27, 1983, str. 73-89. Por. też wywiad udzielony przez Heideggera w 1966 roku i ogłoszony w *Der Spiegel* z 31 maja 1976, wkrótce po śmierci filozofa.

Folklor tamtych czasów (dok.)

Okazuje się, że bardziej obrazami pamiętam ten okres mego „wchodzenia w KOR” niż historycznie, według następujących po sobie wydarzeń. Pierwsze dwa, trzy miesiące aż do Bożego Narodzenia wydają mi się dzisiaj okresem nie wyznaczonym przez konkretne fakty, tylko jak gdyby jednym ciągłym procesem mojego stawania się wobec nowych wymagań, konieczności, sytuacji. Dosłownie z dnia na dzień musiałam odrzucić wszystkie przyzwyczajenia nabywane latami i przyjąć za właściwy sposób życia, który nic ze mną nie miał wspólnego. Przy tym nic nie działo się „po kolei”, żadnych przedtem studiów teoretycznych: od razu praktyka, wszystko naraz, ważne i błahe, śmieszne i wstrząsające, myślenie i doświadczenie razem. Jak w życiu, kiedy uczymy się żyć — żyjąc.

Więc obrazy, sceny, migawki. Folklor tamtych czasów.



Wszyscy chyba, a w każdym razie większość z nas jesienią 1976 odkryła, że dzień naprawdę ma dwadzieścia cztery godziny. Jeśli wygoszparowywało się parę z nich na sen, znaczyło to, że się jest dobrym organizatorem. Jeśli nie — masz przed sobą dzień następny, spróbuj zorganizować się lepiej. Nikt się nad nikim nie rozczulał; musielibyśmy żyć we łzach. Te niebieskie ptaszki, jak ich nieraz nazwą PRL-owscy dziennikarze, padały często z wyczerpania zupełnie dosłownie: przychodziło się na przykład do kogoś, komu trzeba było przekazać jakąś wiadomość „nie na telefon”, i niczyjego zdziwienia nie budził widok wyciągniętej pod ścianą postaci twardo śpiącej w gwarze rozmów,

z twarzą wbitą w kurtkę podesłaną pod głowę. Jakiś Janek czy Zenek wygoszparowywali właśnie trochę czasu na sen. Telefonowano do siebie: — Jestem niedaleko, mam trochę czasu, może mógłbym się u ciebie przespać? Bo za półtorej godziny muszę lecieć.

W takiej umiejętnej gospodarce czasem celował według mnie Mirek. Mawiałałam o nim, że zachowuje się jak Arab: jeśli stoi, to siada, jeśli siedzi, to się kładzie, jeśli już leży, to śpi. Nawet na zebraniach lokował się tak, żeby za chwilę móc choć na chwilę zasnąć. Mówiło się w pewnym momencie: — Na ten temat musi się wypowiedzieć Mirek. Mirek, obudź się, jest do ciebie sprawa. — Mirek otrząsał się, trzeźwiał, odpowiadał na przedstawianą mu kwestię, zasypiał na nowo.

Mój piękny „Continental”, dar ojca dla córki-pisarki, na którym wystukałam lata temu zaledwie parę listów do ofiarodawcy, aby mu zrobić przyjemność, łomotał teraz w moim domu dniem i nocą. W miarę czasu coraz częściej znajdowaliśmy rękopisy skarg robotników radomskich w podsyłanym nam nylonowym worku, adresowałam się ich kopie do wszystkich możliwych instytucji — Rady Państwa, Episkopatu, Sejmu, Ministra Sprawiedliwości, redakcji *Polityki* i *Życia Warszawy*. Rano latałam z tym na pocztę. Cieszyłam się, że piszę coraz sprawniej. W małej grupce najbliższych przyjaciół postanowiliśmy zbierać i przechowywać każdy dokument KOR-owski, każdy związany z naszą pracą papierek, każdziuteńki tekst. Wszystko więc przepisywało się niezliczone razy — dla właściwego z nich użytku, na rozdanie i do archiwum. Przyjaciele wymyślili i zorganizowali bezpieczne schronisko dla tych papierzyk i dokumentów, które zbierały się co parę dni w moim domu i wkrótce zaczęła towarzyszyć im nawet rzeczowa bibliografia.

Bez tego małego grona bliskich współpracowników po wariacku strzegących każdego najdrobniejszego dokumentu, który ja zobowiązałam się dostarczać, nie mogłabym się absolutnie obejść w przyszlętych latach, jak się później okazało, ale samo zbieranie rozpoczęliśmy instynktownie i *con amore*.

I przypominam sobie różne sceny, kiedy wrywałam Kuro-niowi jakiś „papierek”, który już gdzieś posiał, bo już stanowił przeszłość, a ważne były terażniejszość i przyszłość, i którego klnąc, na moje monity i krzyki, szukał w swym bałaganie, i nie znajdował; i że „moja komórka” krzyczała na mnie, że brak jej dokumentu, i żeby go natychmiast dostarczyła. Więc znów wzywałam Jacka na spotkanie „i żebyś przyniósł koniecznie”, a on, jak każdej z nas, ofiarowywał mi kwiatki, a upragnionego tekstu nie. W końcu jakoś go znajdowałam, wychodziłam go po różnych mieszkaniach, wybłagałam. Ale nawet nie mówiłam

nikomu z naszych, że to magazynuję „dla historii” — pewno by mnie wyśmiali.

Któregoś dnia narobiłam nawet w związku z tym zamieszania, o którym nie warto by wspominać, gdyby nie charakteryzowało tak dobrze pewnego rodzaju naturalnych napięć towarzyszących wówczas KOR-owskiemu środowisku. Znaleźli się w nim ludzie znający się od dawna, ale także nowi; tych całkiem nowych ciągle przybywało. Należało zakładać, że każdej chwili może się trafić między nimi — między nami — ktoś „podesłany”; należało też liczyć się z brakiem doświadczenia czy wręcz naiwnością mogącą przynieść szkodę, stratę, narazić na niepowodzenie jakąś akcję. Niejeden raz rozmawiałam o tym z Januszem Przewłockim. Ale człowiek ma zbyt mało wyobraźni, gdy chodzi o niego samego; w każdym razie nie bardzo zdawałam sobie sprawę, że i ja mogę budzić nieufność albo choćby nie muszę być przez wszystkich od razu uznana za osobę stuprocentowo pewną.

Wpadałam co któryś wieczór do Antka Macierewicza, gdzie zawsze przychodzili inni, można się było dowiedzieć wszystkiego, a ja taką myśią robotę miałam, nocną, i do tego codzienną pracę od 9-tej, 10-tej do 15-tej w Instytucie, więc trudno mi było umawiać się, spotykać, dowiadywać wszystkiego w ciągu dnia. I właśnie tam u Antka, ktoś — czy nie Stefan Kawalec? — pewnego wieczoru spytał obecnych, czy gdzieś w ogóle gromadzą się dokumenty już opublikowane (tzn. po wspólnym przez KOR uzgodnieniu rozkolportowane, udostępnione opinii publicznej) listy, skargi i tak dalej; i jak się do tego dostać, jeśli byłaby taka potrzeba. Sama nastawiłam uszu, czy ktokolwiek jeszcze robi to, co ja — chomikuje; ale wszyscy obecni raczej się zasmowali.

Odezwałam się wtedy znad szklanki herbaty:

— Można się zwrócić do mnie. Ja mam całe archiwum.

Jan Józef stęknął, Antek wzniósł oczy w górę, a ja zrozumiałam, jak musiało zabrzmieć w tym mieszkaniu z oczywistym podsłuchem moje naiwne? — prowokacyjne? — co oni sobie pomysleli? — wyznanie. Kto mógł wiedzieć, że nie trzymam żadnych skarbów u siebie, tylko dobrze i całkiem gdzie indziej ukryte? Powinnam była napisać, co powiedziałam, wiedzieliby wtedy, że nie mają do czynienia ze szkodliwym głuptasem. Walczyłam z urazą i jednocześnie z niewczesną ochotą do śmiechu. Zaczęłam bąkać coś, co miało wszystkich uspokoić, ale się nie udało. Jan Józef patrzył na mnie, jak mi się wydawało, z prawdziwą niechęcią. Jeśli nawet napisałamby teraz prawdę, nie byłabym dla nikogo wiarygodna. Zacięłam się, zamilkłam i nie napisałam nic. Ot, konspiracja! — pomyślałam z rodzajem mściwości. Jeśli nie są pewni, czy nie jestem agentką albo skończo-

nym durniem, jak mogli dać mi do ręki kartoteki radomskie czy rękopisy skarg robotniczych do wysyłania? Dobrze, niech się pomartwią.

Ale myliłam się sądząc, że będą się spokojnie martwili. Wróciłam do domu po 12-tej i zła; wzięłam proszek i poszłam do łóżka. Około 2-giej obudził mnie dzwonek do drzwi.

W ciemnościach polecałam zobaczyć, co to takiego. Stojąc w drzwiach mojego mieszkania na drugim pięterku przez okno w klatce schodowej widzi się furtkę i człowieka, który naciska dzwonek. Z trudem rozpoznałam Mirka — coś się stało. Zbiegłam na dół, żeby go wypuścić — drzwi wejściowe na dole zawsze są nocą zamknięte i nie można otworzyć ich brzęczkiem z mieszkania jak furtki.

Nie od razu zrozumiałam, czego Mirek chce: materiały, papiery, dokumenty? Co się stało? Dlaczego? Pomrukiwał niejasno. Wreszcie użył słowa „archiwum” i ono dopiero uzmysłowiło mi wieczór, który minął, i to, że słowa „archiwum” użyłam ja sama zaledwie kilka godzin temu.

Znów wściekła i znów rozśmieszona wyjaśniłam Mirkowi, że nic takiego nie mam tu na miejscu. Nie masz? Nie. Ale oni postanowili — chcą koniecznie — no bo mówiłaś.

Rozmawialiśmy na dworze, w listopadowych ciemnościach, w szlafroku i bosonoga szczękałam zębami. Mam, gdzie mam, ale nie w domu, rozumiesz? Rozumiem, ale oni się boją, że policja ci to zabierze. Co zabierze, jeśli nie trzymam w domu niczego? Ale powiedziałaś. Więc oni chcą, oni mnie tu wysłali. No co ja mam robić? Mam to od ciebie odebrać, natychmiast.

Dobrze, czysty kretynizm, ale sama temu jestem winna. Zniosłam na dół paczuszkę z paroma kopiami wysłanych tego dnia skarg robotników i świeżo przepisanych oświadczeń KOR-u.

— To jest wszystko, czego się jeszcze nie pozbyłam. Dostarczenie archiwum mogę dopiero zorganizować jutro. Nie wcześniej niż na dwunastą, pierwszą, w Instytucie. Kto po to przyjdzie?

— Maruta Lipska. Znasz ją?

— Nie.

— To musisz ją wylegitymować.

Wtedy było mi przykro; później, ile razy sobie to wszystko przypominałam, wybuchałam śmiechem. Ten biedny Mirek — odpowiedzialny za współpracę ze mną, tak nieodpowiedzialną, któremu Jan Józef, nie wiem, Antek, może i Jacek kładą w głowę, że ma do mnie dotrzeć wcześniej niż policja, więc natychmiast, w nocy. Biedna ja, która o świcie musiałam się wyprawić w drugi koniec miasta, aby ktoś inny jeszcze z innego końca Warszawy „wykopywał spod jabłonki” na groźne światło dzienne

i włókł ulicami cały wór tak skrętnie ciułanych i ukrywanych dokumentów. Biedna Maruta, która — jako osoba raczej mało podejrzana — musiała podróżować ze swego miejsca pracy do mego, aby odebrać mi ulokowany tak bezpiecznie skarb.

Wreszcie scena u mnie w Instytucie, zupełnie groteskowa, gdy od nieśmiało stojącej w drzwiach Maruty o jednej z najuczciwszych twarzy świata ja — zobowiązana przez Mirka i w czarnej z tego powodu rozpaczy — przepaszając i rumieniąc się — domagam się dowodu osobistego! Maruta zresztą wykazała dla mojej, chyba widocznej, rozpaczy całkowite zrozumienie.

— Ależ to naturalne, oczywiste — powiedziała i uśmiechnęła się tak, że jej tego do końca życia nie zapomnę. — Musicie być przecież ostrożni.

Wyjęła dowód i otworzyła go przede mną, a ja wcisnęłam jej do rąk skarb, na który tak chuchaliśmy, moi przyjaciele i ja.

Odzyskałam go, na szczęście, szybko; „nasi” wkrótce się zorientowali w pomyłce. Ale do czegoś muszę przyznać się po raz pierwszy: ani fotografii Maruty, ani jej nazwiska w dowodzie nie byłam w stanie — patrząc — dostrzec i sprawdzić. Oczy nie przekazały nic mojemu umysłowi. Byłam zanadto stremowana i nieszczęśliwa: zaglądać człowiekowi do dowodu osobistego, żeby sprawdzić, czy kogoś nie udaje! Dokumenty, o które wszyscy drżeli, wręczyłam Marucie nie na dowód, tylko na jej twarz.



Ja sama takiej twarzy, widać, nie mam, jak się okazało. Gdzieś w tym samym mniej więcej czasie w nocy zbudził mnie znów natrętny dzwonek: dwie nierozpoznawalne sylwetki męskie stały u furtki. Byłam sama jak palec, niedawno chyba Halina Mikołajska przeżyła wizytę „aktywu robotniczego”, który jej nawymyślał; nie otworzyłam, choć miałam wątpliwości, czy mi tak wolno: a nuż była do mnie jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa. Z powodu tych wątpliwości, a także z powodu zwykłego lęku raniutko o 7-mej polecałam do Antka. Gdzie indziej mogłam już zastać pusty dom, tu na pewno w każdym razie musiała być Hania; ich malutka Ola, zdaje się, rówieśnica KOR-u była wtedy jeszcze niemowlęciem. Ale przed drzwiami z ręką na dzwonku zahałałam się: może mała śpi, może korzystając z tego młodzi też śpią? Notoryczne niewysypianie się było tak uwierającym mnie fizycznie problemem, że czułabym się potworem, zabierając swoimi sprawami sen innym. Dość, że stałam chwilę pod drzwiami Macierewiczów, spłoszona ciszą, jaka mnie z ich mieszkania dobiegała. Nagle ku mojej radości milczące drzwi otworzyły się: Hania z dzieckiem na ręku wypuszczała z domu koleżankę.

Antka już nie było, więc zawile wyjaśniałam Hani, o co chodzi; niech w pilnych przypadkach przysyłają do mnie kogoś, kogo znam, zwłaszcza w nocy. Ale czy wysyłali? Hania, bardzo mi się przyglądając, poradziła mi, żeby zostawić dla Antka kartkę. Może to Mirek, napisałam, chciał czegoś i kimś się posłużył, w takim razie okropnie mi przykro, pewnie się z nim będziesz widział, ja czekam na wiadomość w pracy.

Nazajutrz Kuroń, umówiony ze mną w mieście, wyszeptał mi na ucho w ciężkiej tajemnicy, że Hania przede mną ludzi ostrzega: podsłuchiwałam pod drzwiami, a moja opowieść o nocnych nieznanym jest zupełnie pozbawiona sensu. Nikt nikogo do mnie nie przysyłał. Oburzyłam się: ja, podsłuchiwałam? Ale przypominałam sobie, że tak, oczywiście. Więc jak, podsłuchiwałaś czy nie? — spytał Jacek. — Podsłuchiwałam. — No widzisz, jak to brzydtko podsłuchiwać — powiedział Jacek i zamówił dwa kieliszki radzieckiego koniaku.

Wszyscy bywaliśmy od czasu do czasu podejrzliwi. Pamiętam, że gdy zaczął się u mnie spotykać na nocnych zebraniach tak zwany „młody KOR” — należał do niego i siwy Jan Józef, i Wojtek Onyszkiewicz grubo poniżej trzydziestki, czyli wszyscy po prostu, którzy na co dzień byli bardziej aktywni niż reszta członków Komitetu — pewnego wieczoru więc wyjątkowo długo czekaliśmy właśnie na Jana Józefa i na Ziemińskiego. Już się zaczęły zatrzymania, nagle zniknięcia, już chyba Romka Wojciechowskiego ciężko pobiła policja wywiózłszy pod Warszawę — niepokoiłiśmy się. Nie mogliśmy skorzystać nawet z telefonu: zebranie było tajne. Wreszcie rozległ się dzwonek, skoczyłam do drzwi: rozglądając się na wszystkie strony bombardował furtkę Jan Józef.

Zadyszany poinformował nas wchodząc, że „miał ogona”:

— Niestety, spostrzegłem go już tutaj, na Saskiej Kępie. Ze czterdzieści minut ganiałem uliczkami, a on za mną. Kręciłem się, kluczyłem, nie mogłem się go pozbyć. Myślę, że go wreszcie zgubiłem.

Ktoś kiedyś musiał ich tutaj przyprowadzić. Wszyscy zaczęli sprawdzać kieszenie, każdy w nich karteluszek, ktoś coś spalił, napisaliśmy sobie, co w razie czego robimy z naszkicowanym przez Antka projektem komunikatu. Dzwonek: Ziemiński.

— Miałem ogona — wyjaśnił. — Latałem tu w kółko, już miałem nie przyjść. Chyba go jednak zgubiłem.

Stał jeszcze w ciepłej kurtce z podniesionym kołnierzem, w rękach trzymał czapkę. Jan Józef przyjrzał mu się i wybuchnął śmiechem.

— To ja przed tobą tak wiałem. Był tak samo ubrany jak ty. Włóż czapkę; no, naturalnie.

I zaraz sam się ubrał, a Wojtek poznał w nim swego ubeka. Blisko godzinę uciekali jeden przed drugim. — Konspiratorzy jak z koziej... — chichotał Jan Józef, stary AK-owiec. Ale ostatecznie uznali, że nie jest z nimi tak źle: w końcu się przecież jeden drugiemu zgubili.

Mnie natomiast zginął z ul. Kopińskiej na Ochocie dom, w którym mieszkają Romaszewscy. Byłam u nich przedtem raz jeden, taksówką, wczesnym rankiem, pijana z bezsenności po przepracowanej z Mirkiem nocy, nie uważałam, widać, jak i dokąd idę. Teraz miałam tam być na jakimś spotkaniu i pewna, że trafię, nie zabrałam karteczki z adresem. Tymczasem dom zniknął. Numeru, który miałam wbity w pamięć, po prostu nie było, a żadna fasada, żadna brama nie przypominała w niczym domu i wejścia, które mi się rysowały we wspomnieniu. Włóczyłam się po ulicy zziębnięta, w przemoczonych butach i pełna rozpaczy, przeklinając własne nierozgarnięcie. W kalendarzyku miałam numer telefonu Zośki, bardzo „przemysłnie” zanotowany pod hasłem „Zosia Kopińska” (od nazwy ulicy), ale równie przemysłnie poprzestawiałam w nim cyfry: teraz ze złości i paniki nie umiałam go odczytać. Gdy w końcu zdecydowałam, na jaki wariant zdecyduję się zadzwonić, automat okazał się zepsuty. I następny, dość daleko, też. I żadnego innego dokoła. Poszłam po raz ostatni, powłócząc nogami, zwiedzić Kopińską: nie było wątpliwości, że dom Romaszewskich musiał mi się przysnić.

Nagle brodaty młody człowiek z płócienną torbą na ramieniu wyszedł z jakiejś bramy: zamajaczyli mi w oczach niezliczeni brodaci młodzi ludzie z torbami na ramię od paru miesięcy przemijający po „naszych” domach, włącznie z moim. Jak koń rozpoznający zapach stajni ruszyłam w stronę bramy, z której brodacze wyszedł. Nim do niej doszłam, brodacze natknął się na wędrującego mu naprzeciw brodacza, któremu z ramienia zwisała się płócienna torba. Śnieg prószył na ich kudłate głowy i twarze, rozmawiali stojąc pod latarnią, rozeszli się. Zwolniłam kroku, a brodacze weszły do bramy, z której przed chwilą wyszedł brodacze. Jak radosny tajniak, który znalazł trop, podałym za nim.

Oczywiście, że to było tam: po prostu należało wejść w podwórze, o tym zapomniałam! Dom Romaszewskich nie istniał od strony Kopińskiej, tylko od jej podszewki. Kroki brodacza wspinały się na samą górę, ale nie był mi już potrzebny przewodnik. Kiedy weszłam do Zbyszków, straszliwie spóźniona, brodacze w korytarzu na klęczkach pustoszył swoją torbę, obdarowując obecnych w mieszkaniu jej zawartością: dużymi zeszytami sztywnych kredowych arkuszy, zadrukowanych bladofioletową zanikającą czcionką. Produkcja domowych powielaczy z wyżymaczek ruszyła pełną parą: zeszytami, które wyrwaliśmy sobie tego

wieczora z rąk, były, zdaje się, zszywki skarg robotniczych poprzedzonych wnioskiem KOR-u do Sejmu.

Myślę, oczywiście, o znanym później powszechnie żądaniu KOR-u, aby Sejm PRL powołał specjalną komisję dla zbadania rozmiarów represji poczerwcowych i ustalenia winnych tym przestępstwom. Środowisko współpracujące z KOR-em zaczęło natychmiast organizować akcję zbierania podpisów pod podobnymi w treści pismami do Sejmu. Wielu ludzi z kręgów opozycji miało już za sobą takie akcje, choćby tę ostatnią sprzed niespełna roku, związaną z protestem wobec poprawek wprowadzonych do konstytucji. Dla mnie znów było to nowe i z niczym nieporównywalne doświadczenie.

Najgrzeczniej sformułowany list do władzy zwracający jej uwagę na „pewne uchybienia” — z całym nienależnym jej przecież szacunkiem — olbrzymiej większości ludzi wydawał się wówczas decyzją kamikaze. Przychodziło się z takim listem do kolegów od lat zaprzyjaźnionych, życzliwych, myślących i czujących podobnie jak ty, i nagle wionął na ciebie mróz. Stawałeś się dla serdecznych znajomych zamachowcem na ich życie, spokój, bezpieczeństwo, sumienie. Byli to ludzie ci sami, których obserwowałeś latami dobrze czyniących, a teraz z prawdziwym współczuciem słuchających sprawozdań z procesów, do żywego poruszonych okrucieństwem przeprowadzanej na robotnikach pacyfikacji, przepisujących i „podających dalej” kolejne komunikaty KOR-u. Wiele razy przekazywałam od nich KOR-owi pieniądze na akcję obrony i pomocy. Ale wyjść poza bezimiennosc — nie. Wyznawane przez nich — dobrze mi znane — pryncypia humanistyczne, a czasem ściśle chrześcijańskie nie kojarzyły im się z tą konkretną sprawą, tak bliską jak koszula ciału — z daniem świadectwa ludzkiej solidarności. Jeden z przyjaciół powiedział mi przynajmniej: — Ja tego nie podpiszę, bo jestem tchórzem. Rozmowę z nim pamiętam najcieplej, bo wyznanie to było dla mnie objawem wzruszającej odwagi cywilnej.

Z Januszem i Andrzejem na liście nazwisk wspólnych serdecznych znajomych skreślaliśmy jedno po drugim, z zażenowania nie patrząc sobie w oczy. Wciąż tylko nasze i Bohdana Chwedeńczuka podpisy widniały pod prośbą do sejmu na naszym egzemplarzu.

Do wielu ludzi ze środowiska PAX-u oczywiście się nie szło: przynależność do organizacji lub świadomość jej szefowania Instytutowi odebrała im poczucie niezależności osobistej. Przez dziesiątki lat w ich imieniu odzywała się organizacja, do której nale-

żeli, lub dla której pracowali; do tego posłem ziemi radomskiej był właśnie Bolesław Piasecki. Nie było sensu ani się dziwić, ani wstydzić. Czyż nie znała tego zjawiska cała Polska?

Janusz jednak złościł się na mnie, że się gorączkuję. Mówił: — Przecież to są ludzie wierzący! — Odpowiedział sucho: — No i dla nich właśnie wszelka władza wciąż pochodzi od Boga.

W tych dniach pełnych niedobrych refleksji zrobiłam ostatnią próbę „niedaleko siebie” — przedstawiłam sprawę jeszcze jednej koleżance z pracy, którą właściwie znałam tylko z „dzień dobry”. Konsekwencja między światopoglądem religijnym a praktyczną postawą stanowiła u mnie od dawna rodzaj „fiola”. O Zosi Kurzelance wiedziało się, że jest człowiekiem wiary i odwagi — samotnym, ciężko chorym, pogodnym, życzliwym życiu, które dla niej było tak niełaskawe: może naprawdę „nie masz wiatru nad wełnę jagnięcia”?

— Oczywiście, że podpiszę — powiedziała, a ja głupio wybąkałam: dziękuję. Spojrzała zdziwiona: — Za co?

Ale to „za co” było nie do wyrażenia.

W naszym wspólnym środowisku nie było już czego szukać. Janusz, Andrzej i ja rozbiegliśmy się w trzy różne strony, po sobie tylko właściwych kręgach dalszych i bliższych znajomych. Każde z nas „złowiło” parę dusz: w trzydziestosześcioletym państwie nawet w 1976 roku można było trafić na już wtedy r o z u m i e j ą c y c h. Ale przypominam sobie trzy związane ze zbieraniem podpisów doświadczenia doskonale charakteryzujące obłęd tamtych czasów i klimat psychiczny, w którym pchaliśmy wtedy nasze KOR-owskie taczki.

Zgłosiła swój akces do KOR-u osoba związana ze środowiskiem literackim. Powiadomiony przez nią o jej propozycji Kuroń odpowiedział, że przedstawi ją członkom Komitetu, a mnie poprosił, żebym do niej wpadła i zaproponowała na razie współpracę przy zbieraniu podpisów pod obywatelskim wnioskiem do sejmu. Pani okazała się pełna zapału; po kilku dniach odebrałam od niej egzemplarz listu podpisany przez sześć czy siedem osób, w tym przez posłankę na sejm oraz przez powszechnie znanego i zasłużonego architekta Warszawy. Nim ten list wysłałam, pani poprosiła telefonicznie, abym przysłała do niej n a t y c h m i a s t.

— Naradziliśmy się — „my” oznaczało całą tę właśnie szóstkę czy siódmkę — i pozostawimy pod listem nasze podpisy tylko wtedy, jeśli będziemy mieli pewność, że nie dowie się o nich Wolna Europa. I w ogóle pod warunkiem, że nie poda się ich do wiadomości publicznej.

Oślupiałam. Czy nie myśli pani, czy państwo nie myślą, że takie listy, takie wnioski mają znaczenie tylko wówczas, jeśli je zna społeczeństwo? Jeśli jeden obywatel wie, że inny nie obawia się jawnie stanąć po stronie krzywdzonych? Inaczej informują państwo o swoich poglądach wyłącznie policję.

Jednak nie, warunek dochowania sekretu przed opinią publiczną był nieodwołalny. Skreśliłam ich podpisy. Pani nie ponowiła już nigdy swej propozycji wstąpienia do KOR-u, ale — dodaję tę informację gwoli sprawiedliwości — w parę lat później, jeszcze przed sierpniem 80, z żalem i przykrością przyznała, że i ona i jej przyjaciele rozumowali wówczas niewłaściwie.

Odbyłam w tym okresie dwie inne wizyty, których nie sposób zapomnieć.

Pierwszą — u profesora Tatarkiewicza. Kiedyś spodobała mu się bardzo moja książka i przyszedł do mnie do domu tylko po to, żeby mnie poznać i osobiście mi to powiedzieć. Był to sposób postępowania raczej niezwykły dla profesorów i zachowałam o autorze „Szczęścia” osobiste, bardzo miłe wspomnienia. Czasami od tamtej pory dzwoniłam, odwiedziłam go raz czy dwa.

Teraz pojawiłam się u niego nie sama. Przyniosłam z sobą grube tekturowe teczki — dla tego celu specjalnie wykopane „spod jabłonki” — z przejrzysto ułożonymi kartami ewidencyjnymi i skargami torturowanych robotników. Od czasu, gdy — siedemdziesięciokilkuletni — mknął chyżo po schodach na moje drugie piętro, profesor bardzo się posunął. Chciałam, aby mógł zapoznać się z dokumentami spokojnie, nie poganiany przez nikogo z wyciągniętym w jego stronę listem i długopisem.

Pewnego grudniowego popołudnia znalazłam się więc u profesora, zapowiedziana telefonicznie, ale z automatu: bardzo nie chciałam podarować policji prezentu, jaki w teczkach dźwigałam. Już o naszej akcji wiedzieli, już paru z nas takie listy z autogramami zabrali. Zeby je wziąć Halinie Mikołajskiej, krążącej z prośbami o podpisy pod wnioskiem w Krakowie, zaciągnięto ją do komendy oskarżając, że kozuch, który ma na sobie, ukradła.

Przyniesiono nam do gabinetu kawę, na srebrnej tacy, w cienkich filiżankach. Profesor, drobniutki i z trudem poruszający się po pokoju z pomocą laski, usiadł w fotelu, bardzo blisko: „żeby mógł panią jakoś jednak widzieć”. Poprosił, żebym mówiła głośno.

Mówiłam głośno. Powiedziałam, kim jesteśmy, co robimy, dlaczego. Przeczytałam mu jedną, drugą skargę, jedną, drugą kartę ewidencyjną. Wszystkie dokumenty położyłam profesorowi na biurku. Przeniósł się tam, pochłoneń go czytanie. Po kilkunastu minutach poprosił, abym mu te papiery do jutra zostawiła. Chciałby się z nimi dokładnie zapoznać: tymczasem ma kilka

pytań. Nie ukrywał głębokiego poruszenia: to straszne, mówił, to obłąd. Nie wiedziałem, ja prawie nie wychodzę z domu, pani widzi, jaki się ze mnie zrobił niedołęga. Ale co będzie z wami. Strasznie się, dzieci, narażacie. Czy pani się nie boi?

Zostawiłam mu wszystko — prosiłam, żebym to mogła zabrać nazajutrz rano, także projekt listu „którego podpisanie przez taki autorytet miałoby wielkie znaczenia. Ale gdyby pan profesor wolał list własnego autorstwa, zależy to tylko od pana”. W imieniu Lipskiego prosiłam o wyznaczenie mu spotkania; bardzo, bardzo miło będzie mi go zobaczyć; może by do mnie przyszedł zaraz jutro?

Rano przyleciałam uskrzydłona. Moje teki leżały na biurku porządnie spakowane.

— Całą noc przez to nie spałem — wskazał na nie profesor. — To niesłychane dokumenty. Jestem dla was pełen szacunku. — Otworzył szufladę i wyjął z niej złożony w czworo projekt listu. — Ale, pani Anko, ja się nie będę w to mieszał.

Janowi Józefowi po południu powiedział jeszcze, że gdyby podpisał taki list profesor Groszkowski, zdecydowałby się i on. Profesor Groszkowski swego podpisu odmówił. (Później napisał list otwarty do KOR-u, wyrażając w nim solidarne z nami stanowisko).

Tego ranka widziałam Władysława Tatarkiewicza po raz ostatni w życiu. Żył bardzo szlachetnie; nigdy do niczego nie zmusiły go czasy stalinowskie. Na zawsze jednak zabrakło mi w jego życiorysie tego pięknego aktu, jakim mogło być wzięcie w obronę przepędzanych przez „ścieżki zdrowia” polskich robotników.

Kiedy wybierałam się z inną wizytą, ludzie, którzy o tym wiedzieli — bardzo różni ludzie — stukali się w czoła: — Chyba oszalałaś. — Bo wymyśliłam sobie, że pójde do Wojciecha Żukrowskiego.

Ten dziwny człowiek, od dawna chyba zupełnie samotny, ze swojej niewątpliwie winy, wielu wydaje się godny pogardy, wielu przynajmniej nieczytelny. Ale nie mogłam mu zapomnieć „Porwania w Tiutiurlistanie”, gdy inni dedykowali dzieciom „Soso”. A gdy już nic w ogóle nie można było wydawać prócz tępej chwalby, on pisał o ziołach. Czy można w sobie zupełnie wszystko i raz na zawsze przekreślić? Nie zapominałam mu antysemitkiej postawy w 68 roku. Ale kołatały się we mnie jakieś niejasne nadzieje. Ulegałam nastrojom metafizycznym: czasem trzeba dać człowiekowi po prostu szansę.

Uważałam, że szansą taką są teki dokumentów, które mu rozłożyłam przed oczami.

Czytaliśmy:

Ryszard Nowak — „... powiedzieli, że dotąd będą mnie bić, dopóki nie powiem, że ukradłem, chociaż ja wcale nie ukradłem tego i w ogóle nic nie ukradłem nikomu w życiu. Byłem tak zbity, że już myślałem, że nie wytrzymam”. Piotr Wójcik — „... rzuciło się na mnie pięciu i przykuli mnie do kaloryferów, bili mnie wszyscy naraz tak, że szybko straciłem przytomność... używali pałek bijąc rączką, która miała zatopiony ołów, kopali mnie po całym ciele. Czasem biło mnie trzech, a nawet pięciu razem. Większość z nich była pod alkoholem”. Piotr Głowacki — „Dwóch wzięło pałki i ustawili się za mną i zaczęli mnie bić po plecach na przemian... Powiedzieli 'ty nam łaski nie robisz. Weźmiemy jakiegokolwiek chłopaka z rozruchów, damy mu baty i powie, że cię widział, jak podpalałeś Dom Partii, albo podstawimy milicjanta, który powie, że cię widział, i będziesz miał podpalenie’”. Grzegorz Jaroszewski — „leżałem z gołymi piętami. Wtedy zaczęli mnie bić w pięty pałkami. Początkowo czułem ból w piętach, a później już tylko czułem tak, jakby ktoś mi wbijał gwoździe w głowę”. Waldemar Gutowski — „... doprowadzony zostaje do kolegium. Tam nie mogą znieść tortur i bicia, bólu przynajmniej się do czynu, którego nie dokonałem. W ten sposób chronię swoje zdrowie”. Zenon Baran — „... w samochodzie trzeba było leżeć, bo milicjanci bili i kopali i obchodzili się z nami gorzej niż ze zwierzętami... milicjant bił mnie w czasie śledztwa. A było to tak, że dwóch mnie trzymało a trzeci bił po plecach, głowie, nogach, gdzie popadło”.

W pokoju pełnym murzyńskich masek i pięknych przedmiotów sztuki indyjskiej i wietnamskiej unosił się nad nami zapach dobrego tytoniu, Wojtek zawsze był smakoszem fajek. Spoglądał na mnie śliwkowymi oczami w bardzo poważnej twarzy. Splatała i rozplatała palce pod stolikiem do kawy. Nie było wiele czasu, oczekiwał gościa.

— Jesteś posłem — powiedziałam. — Pisarzem. Jesteś... jesteś człowiekiem wierzącym. Zrób coś. — I pokazałam mu list.

Usłyszałam w odpowiedzi (relacjonując ją — jak wszystkie w ogóle rozmowy — wyłącznie z pamięci), że w tym wszystkim jest dużo przesady. „Na górze” robi się już różne wysiłki, aby sprawy załatwić, wiesz — tak na serio, między nami, to przecież chulikańskie wybryki, no, metody zastosowano rzeczywiście najlepsze, ale wiem na pewno, że sporo się robi, aby wszystko jakoś uspokoić, i już odbywają się różne rozmowy, a wy możecie sprawy tylko pogorszyć, takie akcje w rezultacie mają wyłącznie znaczenie negatywne, a swoją drogą, co ty z nimi właściwie robisz, przecież to starzy manipulatorzy.

Był zaraz umówiony, o, dzwonek, wybaczysz, ale jeszcze nim zatelefonowałaś... Zebrałam swój dynamit; skały wznosiły się

dokoła wciąż nietknięte, ale ktoś kiedyś zapalił lont. Musiałam naprawdę zwariować, że tu przyszłam.

Kilka miesięcy po sierpniu 80 słyszałam, że odbywając poselskie spotkania na Śląsku, mówił o „Solidarności” jak o wrogu, którego trzeba zdusić, stłamsić, pokonać.

Nieraz zastanawiałam się, jak przyjmowały rodziny decyzje swych najbliższych dotyczące ich angażowania się w KOR. Widziałam wokół pełno młodych małżeństw blisko współpracujących z sobą; ich małe dzieci będą rosły i rozwijały się wśród rewizji, niezliczonych „pan pójdzie z nami” i spokojnych wyjaśnień ich matek, że tatusia zabrała policja, ale pewnie wróci za dwa dni. Gorzej musiało być niejedną raz z rodzicami, którzy — sami poparzeni, nieufni, i w dzieciach widzący cały sens swego życia — stawiali nagle wobec lęku, że im syna-studenta na komendzie zmaltretują, z uczelni przepędzą, że się bierze do marnowania swej przyszłości. Bywało, że jeden z drugim ukrywali przed rodzicami swoją pracę i swoje z nami związki. O niejednej represji, rewizji, zatrzymaniu i areszcie nie będzie się pisało w komunikatach i przemilczy się je wobec korespondentów zagranicznych tylko dlatego, aby się o tym z radia nie dowiedziała rodzina. Naszym starszym współpracownikom usiłowały nieraz perswadować żony: masz dzieci, zaszkodzisz im, na nas wszystkich się to odbije. Te kompromisowo usposobione rodziny stawiały najbliższych przed trudnym dylematem sumienia.

Mnie moi bliscy przed takim dylematem nie postawili. Osadzeni w województwie katowickim, gdzie — *chapeau bas* Grudniowi i jego poprzednikom — ciemniej było i bardziej pustynnie od innych regionów PRL, znacznie gorzej musieli znosić swoje uwięzienie wśród tamtejszego partyjno-administracyjnego nadzoru i terroru. Gdzieś w listopadzie jak co kilka miesięcy pojechałam zobaczyć się z nimi. Zawiadomieni o mojej decyzji przestraszyli się przede wszystkim o mnie; nikt z nich nie widział dla nas żadnych szans. Brat, skłonny do określania rzeczy bez ogródek i sentymentów, w długiej wieczornej rozmowie użył chyba słów „mrzonki” i „naiwność”, w każdym razie bliski chyba był uznawania naszej działalności za wariactwo. Przemęczona i żyjąca jednak od tygodni w napięciu, a także znalazłszy się nagle w intymnej atmosferze, w której na planie pierwszym znalazłam się ja osobiście, mój los i cena, jaką mi przyjdzie płacić za mrzonki i naiwności, zamiast wszelkiej argumentacji ze łzami w oczach wyznałam moim bliskim, że ze świadomością, jaką mam i wobec

wiedzy, jaką uzyskałam, życie jak dotychczas nie jest już dla mnie po prostu możliwe.

W każdym razie nie miałam ich przeciw sobie, a wkrótce — mimo pewnych trudności i przykrości, które spotykały ich jako moją rodzinę — wręcz po „swojej stronie”. Ale w bliskim mi gronie osób znam takie, które oprócz ucisku policji i wszystkich możliwych napięć, towarzyszących nieodłącznie naszemu życiu, musiały znosić także w domu niechęć i brak zrozumienia wobec dokonanego przez nich wyboru. Myślę, że to temat do powieści.

Częściej jednak widziałam wokół siebie rodziny po sjamsku zrosnięte: z mężem załatwiała się sprawy zamiast nieobecnej właśnie żony i na odwrót, dorastające dzieci przekazywały ważne informacje w zastępstwie nieobecnych lub zajętych rodziców, a wszyscy domownicy razem wzięci godzili się wspólnie na tryb życia, w którym dzień mieszał się z nocą, ojca czy matkę każdej chwili mogła zabrać z ulicy policja, a na dzwonek do drzwi nigdy nie otwierało się ich od razu.

Małgosia Naimska z dwojgiem malutkich dzieci tułała się wraz z Piotrem z jednego wynajętego pokoju do drugiego, bo dokądkolwiek się przenieśli, policja nachodziła właścicieli mieszkania, dopóty im grożąc, póki się nie poddali i Naimskim nie wymówili. Gnieździł się więc latami, gdzie popadło, i w jakichkolwiek warunkach. Na miejscu Małgosi może bym Piotra rozszarpała. Tymczasem nigdy nie natknęłam się w niej nawet na ślad znuzenia czy zniecierpliwienia w żadnym z najbardziej przypadkowych spotkań, osobistych czy „telefonicznych”. Pawłkowi Wujcowi nie powiedziano tylko, że ojca pobito: „tatusia rozboleło oczko — mówił — i jest chory”; poza tym, kiedy Ludka robiła *Robotnika*, Henio przyprawdzał go z sobą na zebrania komisji redakcyjnej KOR-u do pani Anieli. Dziecko rysowało sobie grzecznie w kąciку nie zwracając uwagi na nasze podniesione głosy. W domu, kiedy szło spać, rodzice i „goście” zabierali się do przygotowywania nowego numeru *Robotnika*. Mała córeczka Ewy Milewicz pilnowała podczas nieobecności matki „sklepiku”, jak nazywaliśmy punkty sprzedaży niezależnej literatury, wydając „przydziały na miasta” według zostawionego jej polecenia i przyjmując od nabywców pieniądze; kiedyś wydała zresztą paręset egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa osobnikowi całkiem nieznanemu, za co od matki dostała burę jak człowiek dorosły a nie odpowiedzialny.

O takich rodzinach można by w nieskończoność. Najlepiej poznam kiedyś domy Romaszewskich, Kuroniów i Kęcików — wariackie domy, w których mimo życia nie dającego się porównać z tak zwanym „normalnym”, współistnienie rodzinne zamiast

utykać i zanikać, w najlepsze gruntowało się i kwitło. To również jest temat na powieść. Może kiedyś ktoś ją napisze; byłaby polemiką z mitem „rozdartej sosny” Żeromskiego.



Do Kuronia dzwonił ktoś każdego dnia odliczając sumiennie od stu podarowanych mu jeszcze dni życia każdy, który minął. — Jeszcze ci pozostało siedemdziesiąt sześć; od dzisiaj żyjesz tylko siedemdziesiąt trzy dni. — Do wszystkich prawie przychodziły anonimy treści dość niewymyślnych: Grażyna Kuroniowa miała romans z Lipskim, pan Józef Rybicki, szef warszawskiego Kedywu, zmieniał kochanki jak skarpetki, pani Aniela była „starą k... i żydową”, przez małe naturalnie „żet”. Tacy jak wy powinni zostać zmieceni z powierzchni ziemi, sprzedawczyki, zdrajcy, żydokomuna. Muszę przyznać, że od początku była to moja mocna „psychicznie” strona; nigdy nie powstało mi nawet w głowie, żeby mogli to pisać l u d z i e. Do dziś nie mogę się nadziwić Halinie, że tak ciężko zniosła owe słynne ranne odwiedziny „robotniczego aktywu”, uwiecznione w „Od dzwonka do dzwonka” Mariana Brandysa. Nie dziwię się, broń Boże, jej przestraszowi czy niesmakowi — te uczucia znam bardzo dobrze. Ale jeszcze nie tak dawno, po paru latach od tego incydentu, pytałam ją, czy n a p r a w d ę uwierzyła, że wyzwiskami i groźbami przyszli obrzucać ją r o b o t n i c y ? — Tak — odpowiedziała Halina. — Uwierzyłam. Myślałam, że już nikogo nie mamy. Że już nic w ogóle nie ma sensu.

Może dlatego, że od początku miałam do czynienia z osobnikami źle udającymi „robotników”, choćby w radoskich sądach — może dlatego przykrości, jakie przeżywałam, były od razu innego gatunku. Wiele razy bałam się, wiele razy trzęsłam się wewnętrznie ze zdenerwowania; ale miałam zawsze zupełnie jasną świadomość, że to przebierańcy na służbie. Zdarzyło mi się raz czy dwa wylać z obrzydzenia i bezradności po jakimś wyjątkowo świńskim telefonie, ale nigdy nie miałam wątpliwości, że ordynarny facet lub facetka na drugim końcu przewodu nudzi się właśnie w pałacu Mostowskich albo że wręcz w pobliżu mego domu poszedł czy poszła ogrzać się do telefonicznej budki i urozmaicić sobie długie godziny inwigilacji.

Raz przestraszyli mnie naprawdę. Wracałam taksówką z jakiegoś „tajnego” zebrania koło 3-ej w nocy i właśnie gdyśmy skręcili z Lipskiej na króciutką Estońską, miałam powiedzieć kierowcy „proszę stanąć”. W ostatniej chwili zobaczyłam dwóch mężczyzn pod moją furtką. Jeden opierał się o nią plecami, drugi trzymał palec na dzwonku. Przejechaliśmy obok nich.

— Skręci pan w lewo w Berezyńską i stanie — powiedziałam do kierowcy. Miałam duszę na ramieniu, ale chciałam sprawdzić, czy to czasami nie przypadek — na przykład zabłąkani pijacy, którym się przywidziało, że ich znajomki mieszkają właśnie na Estońskiej 4. Za osłoną kamienicy sąsiadującej tylną ścianą z moim domkiem wysiadłam. Pamiętam jak taksówka ruszyła; jak oddalały się jej światła, jak umilkł silnik; jak zostałam sama. Na pobliskim śmietniku wrzeszczały koty.

Stąpając jak najciszej zbliżyłam się do narożnika z drucianej siatki. Parę bezlistnych krzewów i kilkanaście metrów dzieliły mnie od facetów przy furtce. Słyszałam głosy — ale szczęśliwie nie słowa. Widziałam, jak naciskają dzwonek. Raz po raz podbiegali parę metrów wzdłuż ogrodzenia do miejsca, skąd widać okna mieszkań. Patrzyli w te okna i przypadali do dzwonka u furtki na nowo.

Równie dobrze jak oni widziałam poblask lampki nocnej w moich oknach: zawsze zostawiam małe światło w mieszkaniu, gdy wychodzę wieczorem. To światło musiało budzić ich furie — myśleli, że jestem w domu. Nie wiem tylko, jak mogli mieć nadzieję, że ich wpuszczę. Obaj mieli na sobie jakieś fufaje i czapy-uszatki: „proletariat” przybył poinformować mnie w środku nocy, że nie życzy sobie, by go bronić.

W którą stronę ruszą, gdy zdecydują, że służbę zakończyli? Mogło się to stać w każdym momencie. Jeśli wybiorę drogę przez Berezyńską, mają mnie w łapach. Zwyczajnie mogą napaść mnie, pobić, przewrócić w błoto i śnieg. Trzeba wiać.

Uwaga: gdzieś powinien stać tu samochód — na własnych nogach nie przyszłi. Na Berezyńskiej nie, jak okiem sięgnąć. Cichutko poszłam w stronę pierwszej przecznicy, Łotewskiej.

Był. To znaczy były blisko mnie dwa inne, śpiące, porzucone, puste: „Ten” stał na samym rogu Łotewskiej i Lipskiej, trzydzieści, czterdzieści metrów ode mnie, ze światłami wygaszonymi jak tamte. Ale blask stojącej przed nim latarni przeświecał przez szyby; w tym mżącym świetle ramiona i głowa kierowcy stanowiły znakomity cel dla strzelca wyborowego.

Cofnęłam się i — niewidoczna dla kierowcy — przeszłam na drugą stronę Berezyńskiej. Zaraz w prawo jest tam taki przeskok, wąska, nieoświetlona ścieżka między ogródkami. Tamtędy na Czeską i do Francuskiej, gdzie złapię taksówkę i do przyjaciół.

Zdecydowanym krokiem doszłam do tej ścieżki, bardzo dumna ze swoich logicznych poczynań pozbawionych historii. Ale kiedy skręcałam w upragnione opłotki, zobaczyłam, że biegnę, że się potykam w śniegu i ciemności, że serce rozsadza mi zębra.

A jednak noc tę skończyłam we własnym łóżku. Taksówkarzowi powiedziałam, że pod domem zaczęli mnie pijacy, i że

im uciekłam. Miał przejechać moją ulicą — jeśli tam jeszcze są, pojedę nocować do koleżanki. Młody kierowca zaklął: — Jak trzeba, to milicji na lekarstwo. Pani się nie boi, damy sobie radę ze swołoczą.

Ale swołoczy — ani samochodu — już nie było.

Rano spotkałam na schodach sąsiada.

— Pół nocy dzwonili tu do pani jacyś. I do nas dzwonili, krzyczeli na ulicy, awanturowali się, spać nie było można. Wyszłam do nich, mówię, co jest? A oni pod alkoholem, chamy takie i żeby ich wpuścić.

— Ale co właściwie mówili? — zapytałam. Udawał zdumienie, i że nic zupełnie nie rozumiem.

— A takie tam wyzwiska. Że idą do tej k... z drugiego piętra.



Z początkiem zimy 76 widać było, jak złość ogarnia tamtą stronę. Mogliśmy to śmiało uważać za znak, że stracili nadzieję na „przyschnięcie” czerwcowych wydarzeń w polskim społeczeństwie. Listopadowy protest ponad tysiąca robotników fabryki „Ursus”, upominających się o powrót do pracy wyrzuconych na bruk uczestników demonstracji czerwcowych wykazywał, że rany zadane robotniczej społeczności w czerwcu wcale się nie goją. Korespondenci zagranicznych agencji akredytowani w Polsce rozgłaszali po całym świecie informacje dostarczane im przez KOR. Widywało się tych dziennikarzy na rozprawach w Radomiu i w Sądzie Najwyższym w Warszawie. Kościół, który już latem wystąpił w obronie polskich robotników, jesienią ustami prymasa, a potem wielu księży z wielu ambon wzywał do udzielania represjonowanym pomocy, a „osobom jej udzielającym” poparcia. Na Zachodzie powstały komitety solidaryzujące się z KOR-em. Z kraju i z Polonii szły pieniądze — zablokowano konta członków Komitetu, ale nikt ze zdrowymi zmysłami nie przysyłał pieniędzy na żadne tam konta.

Akcja zbieranych pod wnioskami do sejmu podpisów przyniosła już pierwsze owoce.

Zaczęto też wyrzucać z pracy pierwszych sygnatariuszy. Władze polskich uczelni wyższych jęły wykazywać trwałość sojuszu z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, zawartego w 1968 r. — studenci współpracujący z KOR-em, zatrzymywani w Radomiu i Ursusie, podpisujący listy protestacyjne do władz stanęli wobec pogroźek i szantaży uprawianych nie tylko przez policję ale przez własnych wychowawców piastujących wysokie godności na uniwersytetach. Zasypany skargami robotników Prokuratura Generalna odsyłała zażalenia na postępowanie radomskich komend

— radomskim komendom, oddając tym samym autorów skarg w ręce ich oprawców.

Policja w Radomiu wzmogła terror. Z obstawianych mieszkań robotniczych uczestnicy naszych ekip poszukujących informacji i kontaktów niejedną raz musieli uciekać oknem; przyłapywani na gorącym uczynku szli wraz z robotnikami do aresztów i na przesłuchania. W sądzie zaczęła się era awantur i napaści. Napadnięto i pobito Mirka w korytarzu sądowym: oberwali przy tym dwaj broniący go robotnicy — obydwaj ciężko już bici w pacyfikacjach poczerwcowych. Albo przedtem, albo tuż potem tu w Warszawie, gdzieś w okolicy sądów na Lesznie, Mirka napadnięto i pobito raz jeszcze. W tym czasie, też podczas rewizji w jego mieszkaniu, zabrano mu przyprawę curry w słoiku czy buteleczce; postawiono mu nieformalny zarzut, że chciał zatruć wodę w Warszawie i okolicy.

W Radomiu Stanisław Wijata, podpisany pod zbiorową skargą kilkudziesięciu robotników, po których z kolejnych przesłuchań odwołał publicznie swój podpis jako wymuszony przez wysłanników KOR-u. Następnie odwołał odwołanie w nowej rozprawczej skardze do Prokuratury, oskarżając komendę radomską o szantażowanie go i dręczenie, aby swój podpis w zbiorowej skardze odwołał. Prokurator generalny Czubiński stwierdził przed sejmem, że żadnych przestępstw nie dopuszczono się wobec robotników, i że skargi wymuszają na nich „określeni ludzie”, którzy w tym celu sięgają też do przekupstwa.

Nie jeździłam chyba w grudniu do Radomia więcej niż raz; dano mi jakieś pilne prace na miejscu. Oprócz kartotek i przepisywania skarg miałam chyba do roboty sprawozdania z Sądu Najwyższego. Odbywały się tam rozprawy rewizyjne robotników skazywanych na kary więzienia od 3 do 10 lat. W Sądach Pracy na własne oczy oglądałam, jak przedstawiciele Rad Zakładowych i Związków Zawodowych potwierdzają konieczność natychmiastowych zwolnień robotników przez zatrudniające ich przedsiębiorstwa. Pani na stanowisku personalnej nie widziała najmniejszych powodów, dla których miałoby się trzymać nadal w Zakładach Mechanicznych „Ursus” wysoko kwalifikowanych tokarzy, ślusarzy i mechaników, którzy w dniu 26 czerwca samowolnie „opuścili stanowiska pracy”. Nienaganność dotychczasowego przebiegu pracy zwolnionych ani fakt, że byli jedynymi żywicielami rodzin — nie miały najmniejszego wpływu na stanowisko „pani kadrowej” ani panów i pań z Rad Zakładowych. W ten sposób na przykład wyrzucono też z miejsca młodą kobietę w ciąży; nazywała się Lewandowska i była *nota bene* przewodniczącą ZMS w swym zakładzie pracy. Pani kadrowa ani Związki Zawodowe nie okazały zainteresowania dla jej ciąży; także sę-

dziowie nie przypomnieli sobie, że kodeks pracy chroni pracownice w poważnym stanie. O socjalistycznej opiece nad matką i dzieckiem uczymy się w szkołach i mecenas Andrzej Grabiński, wielka moja późniejsza sympatia, którego na sprawie Lewandowskiej spotkałam po raz pierwszy, dość niepotrzebnie wskazywał sędziom odnośny paragraf w kodeksie pracy: sędziowie też się o tym uczyli, ale nie proszono ich przecież, aby posługiwali się tu wiedzą.

Z rozprawy Lewandowskiej chyba pamiętam właśnie pierwszy raz nie na scenie widzianą Halinę. Mała siwa głowa nad czarną peleryną; na korytarzu sądowym zapalała „Carmena” od „Carmena” — jak ja moje „Extra-Mocne”. Ale osobiście poznałam ją niewiele później, w jej domu. Kiedy na naszych nocnych zebraniach opracowywało się komunikat czy jakiegokolwiek oświadczenie, trzeba było potem, jak się to brzydko nazywało, „puścić je w obieg”. Znaczyło to, że egzemplarze projektu muszą zostać przeczytane i poprawione przez resztę członków KOR-u, a praktycznie, że tzw. „młody KOR” musi osobiście pójść do każdego z członków, którzy nie brali udziału w pracy nad komunikatem czy innym dokumentem. Nie należałam jeszcze wtedy do Komitetu, ale „chłopcy” przyznali mi szybko funkcję „obiegacza”. Każdy z nas miał sobie przydzielonych paru członków KOR-u, których obejdzie, zbierze od nich poprawki, po czym raz jeszcze spotkamy się wspólnie, aby poprawki te zakomunikować sobie nawzajem i ostatecznie uzgodnić tekst dokumentu. „Brałam sobie” na ogół pana Ludwika, panią Anielę i Halinę, bo znajdowali się na linii moich codziennych jazd na Chocimską do Instytutu. Do Haliny wyskakiwałam czasami z pracy, gdy moi redakcyjni koledzy szli na kawę do pobliskich kawiarni. Można ją było zastać do południa w łóżku, mama stawiała jej na kolanach tacę z kawą; gdy przychodziłam ja, na tacy stały dwie filiżanki. Czytałyśmy dokument i wymieniały informacje, czasami zaglądał do nas Marian Brandys, jeszcze wtedy „pan Marian”. Halina mówiła o nim „pan Maniek”. Zawsze czekałam: zajrzy dziś pan Marian czy nie? Od jego obecności jeszcze przytulniej robiło się w ich domu. Ani się spostrzegłam, jak znaleźliśmy się w przyjaźni — i my obie z Haliną, i oboje z panem Marianem.

Nocne swoje sprawy odrabiałam teraz po cudzych mieszkaniach. Ustaliliśmy, że mój dom był dobry na pierwsze tygodnie. Teraz szukało się mieszkań na pewno jeszcze nie notowanych, na pewno bez podsłuchu, na pewno bez inwigilacji. Tak krążąc gdzieś po różnych dzielnicach Warszawy, poznałam Joasię Szczęsną. Joasia, która z Sewkiem Blumstajnem wydawała *Biuletyn Informacyjny* — bliźniaka Komunikatu KOR-owskiego — przeprowadzała się co trzy miesiące do innego mieszkania, bo osobie

bez stałego zameldowania (Joasia była Łodzianką) wolno żyć w jednym miejscu tylko przez trzy miesiące. Po upływie tego czasu przychodził do Joasi pan dzielnicowy i osobiście pilnował, żeby się gdzie wyniosła. Kiedy Mirek zorganizował nam nocną pracę w jej nowym locum, Joasia zamieszkała właśnie gdzieś na Bielanach. Pamiętam w jej pokoju wprost nieprawdopodobny bałagan, a na dużym stole półmisek chleba ze smalcem i talerz ciasta; czekało na nas przyjęcie. Joasia w dżinsach, cieniutka, okrągłoka, ostrzyżona po męsku, dowcipkowała i pytlowała póki nie zjedliśmy i nie wypili herbaty, po czym, gdy rozłożyliśmy nasz majdan na stole, przez pół nocy biła w klawisze maszyny przepisując coś dla Rozgłośni Harcerskiej, skąd jej jeszcze nie wyrzucono. Kiedy skończyła, zgarnęła na bok porozrzucane na tapczanie pisma i książki i na kawałku miejsca między nimi z zapalem przespała do rana.

Kilka nocy przepracowaliśmy u Romaszewskich, już bez Mirka, którego sama obecność stawała się niebezpieczna, tak się za nim włoczyli tajniacy, za to w trójkę ze Zbyszkim i Zosią, a nawet w czwórkę, z przyjaciółką Zosi. Jeszcze potem wylądowaliśmy w mieszkaniu tej przyjaciółki, gdzie za przepierzeniem spało jej małe dziecko, podczas gdy ona sama, Zosia i Zbyszek siedzieli nad kartoteką, a ja pisałam na pierwszej w moim życiu elektrycznej maszynie. Pamiętam ją z wdzięcznością, bo tak lekko muskało się ją palcami, że przez ten czas przestałam łamać paznokcie.



Przyszli do mnie w dzień przed wigilią, to znaczy w dniu wyjazdu do rodziny. Budzik nastawiłam na 7-mą, ale oni byli pierwsi i ze snu wyrwał mnie jeden, drugi, trzeci dzwonek do drzwi. Otworzyłam oczy w zupełnych ciemnościach, z miejsca pewna, że to nikt inny tym razem, tylko oni. Nie zapalając światła, całkiem wewnętrznie zorganizowana, czego świadomościom dała mi otuchy i odwagi, wykonałam po omacku dawno obmyślane czynności: spakowane na taką właśnie okoliczność teczki z trefnymi papierami umieściłam w miejscu, które dawno wymyśliłam dla mnie Janusz (i które nie zostało wykryte, więc go nie opiszę, bo się boję, że mi się jeszcze przyda) oraz zjadłam karteczkę z numerem pewnego telefonu, pod który powinnam była jeszcze przed wyjazdem do Katowic zadzwonić z automatu. Usiłowałam policzyć ilość nóg słysząc kroki po schodach: dużo. Byłam spięta, ale postanowiłam z tym uczuciem walczyć. Można mi wierzyć lub nie: byłam też zwyczajnie ciekawa, jak to w ogóle jest: jak przebiegnie i czym się zakończy.

Było ich, zdaje się, trzech i dama, porucznik Małgorzata

jakaś tam, która okazała mi legitymację i nakaz rewizji, a także przesunęła rękami po mojej postaci odzianej tylko w szlafrok, więc nie przedstawiającej większych tajemnic. Przerazoną sąsiadką, do której dzwoniли również, i która ich, omdlewając, przyprowadziła na górę — puściliśmy „na wolność” do małego wnuczka. Mówię „my”, bo była to moja propozycja, na którą „goście” przystali, gdy ja odrzuciłam propozycję z ich strony, aby pani Brojkowa została świadkiem rewizji. Świadka powinnam sobie móc wybrać sama i dowodem prawdziwych względów z ich strony był fakt, że mi pozwolono po wybranego świadka zatelefonować. W późniejszym okresie telefony z miejsca podlegały aresztowi i nie wolno było z nich korzystać.

Świadkiem, którego wybrałam, jak sądzę, z pewną dozą fantazji, był sekretarz *Polityki* i jednocześnie jej POP-u, Dariusz Fikus, mój wieloletni przyjaciel, który nie przestał nim być także po moim zamieszkaniu się w KOR, czego był oczywiście świadom. Swego czasu udzielił mi zgody na wezwanie go w okolicznościach, z którymi właśnie miałam do czynienia. Pamiętam, że gdy zapowiedziałam, kogo wzywam jako świadka, dostrzegłam wokół siebie lekką konsternację.

Mimo wczesnej pory Darek odezwał się w telefonie natychmiast i na moje: — Dzień dobry, jest u mnie rewizja; czy możesz być jej świadkiem? — odpowiedział po prostu, że w tej chwili do mnie wyjeżdża. Troje czy czworo państwa funkcjonariuszy usiadło, gdzie mogło, i gdzie mogło, stanęło, ja zajęłam się własną toaletą. Kiedy zjawił się Darek, malowałam rzęsy. Wylegitymowany sekretarz *Polityki* zasiadł w jedynym fotelu na środku pokoju, a dokoła niego rozpoczęło się widowisko w gruncie rzeczy bardzo dla mnie ciekawe.

Nie jestem z natury porządnicka, a od miesięcy musiałabym być czterema kobietami naraz, aby żyć tak jak żyłam, a do tego odkurzać, układać, froterować. Całą jedną ścianę i ćwierć drugiej zajmują w moim mieszkaniu regały, a każda książka brana osobno do ręki rozpylała funkcjonariuszom prosto w twarz obłok kurzu. Trudno było nie kojarzyć czynności całej ekipy z przedsięwziętym sprzątaniem, zwłaszcza że — o czym dobrze wiedziałam — całe te segregowania niezliczonych papierzyśk w regałowych szafach, odkurzanie książek, przeglądanie każdego świstka na biurku nie mogło przynieść im żadnego trofeum. Dokończywszy toalety i wypiwszy z Darkiem kawę zabrałam się do darcia i wyrzucania niepotrzebnych listów i papierów (co powinnam była zrobić już dawno), które mogłam już wziąć do ręki po przejrzeniu ich i odłożeniu na miejsce (!) przez policję.

Oboje z Darkiem znamy się jak przysłowiowe łyse konie; oboje więc mogliśmy stwierdzić u siebie napięcie i zrozumiałość

ekscytację. Ale przejawiały się one w sposób, co ustaliliśmy później, raczej nie do uchwycenia dla postronnych: według moich spostrzeżeń on był, jak na siebie, za ponury, według jego — ja, jak na siebie, zbyt swobodna. W każdym razie, gdy tak siedział w środku całej tej obraźliwej, a ubranej w salonowe formy — o ile to możliwe — policyjnej krzątaniny, uświadomiłam sobie raz jeszcze, jak bardzo go lubię pomimo wszystkich ważnych różnic, które nas wtedy dzieliły.

Miała też ta scena coś z perwersji właściwej tylko naszej wariackiej polskiej rzeczywistości. Pod płaszczykiem praworządności robotniczego państwa czytano tu pozaczynane pisarskie rękopisy, wyjmowano z poślizgniętych kopert stare prywatne listy, przewracano zawartość szaf i karty książek — tylko dlatego, że zaangażowałam się w obronę bitego i wyrzucanego na bruk robotnika; a temu wstrętnemu widowisku przyglądał się członek rządzącej w robotniczym państwie partii robotniczej i sekretarz jej prasowego organu.

Przez trzy godziny nic „podejrzanego” nie znaleziono — to nie te jeszcze czasy, gdy w naszych mieszkaniach będą się kłębiły wydawnictwa i książki niezależne. Przeszukano bez powodzenia pokój i kuchnię, łazienkę i ubikację. Nagle wykazujący się szczególną aktywnością, energiczny i przystojny, krew z mlekiem, ciemnozłoty sarmacki wąs nad czerwonymi wypukłymi wargami, porucznik Remigiusz Kamiński zarządził przesunięcie tapczanu na środek pokoju. Niczego naturalnie za nim ani pod nim nie chowałam; ale, gdy go już — ciężki — wspólnymi siłami na powrót przysuwano do ściany, prócz kłaków kurzu wyrzwał spod niego biały rożek papieru. Porucznik Kamiński rzucił się na niego jak drapieżnik.

— Jest!

Schwyciłam sarnie spojrzenie Darka. Arkusik papieru był prawie czysty. Jedyne w górnym lewym rogu wypisane miało hasło: Tadeusz Jakubiak. Zakłęłam w duchu: papier musiał spłynąć za tapczan któregoś z ostatnich nocy, gdyśmy wszystkie notatki i kartki rozkładali na każdym możliwym miejscu. Oto skutki braku czasu i energii na sprzątanie.

Robotnik z Radomia, Tadeusz Jakubiak, był autorem skargi, który w ostatniej chwili zawahał się przed jej podpisaniem. Nawet jej więc nie przepisałam na maszynie, aby się, broń Boże, nie pomylić i nie wysłać do prokuratury. Sam tekst skargi i dane autora znajdowały się poza domem, ale oni też przecież mieli tego człowieka w aktach: przeszedł kilka ścieżek zdrowia, wybito mu zęby, w skardze pisał, że po pięciu miesiącach aresztu ma jeszcze zawroty głowy, bóle żołądka, nie może jeść. Bardzo mi się zrobiło przykro. Daj Bóg, zdecydował się podpisać skargę

wczoraj czy przedwczoraj — w takim razie Zosia lub Mirek już ją wystali.

Wobec tego znaleziska reszta poszła szybko. Spisano protokół, mój „Continental” i kartka papieru z nazwiskiem Jakubiaka zabrane mi zostały dla dobra śledztwa, niech pani się ubierz, pojedziemy. Zaraz; a moja torba podróżna? Jeśli mnie nie aresztujecie, chciałabym zdążyć na pociąg, w końcu wydałam pieniądze na bilet z miejscówką. Spoglądanie na siebie, szepty, telefon do kogoś: — Czternastka? Tu Remigiusz z Estońskiej. Ta pani miała wyjechać, ma bilet... Około 17-tej.

Ustalono, że moją torbę zabierze Darek i zawiezie ją Januszowi do Instytutu, dokąd miałam nadzieję (po telefonie do czternastki) dotrzeć na czas. W ten sposób zawiadomiony o rewizji u mnie przez Darka Janusz da znać Kuroniowi.

Ucałowaliśmy się z Darkiem przed furtką, gdzie wsiadłam do samochodu SB.



Rejestrując represje w naszych komunikatach używaliśmy określenia, które niezorientowanym mogło wydawać się dziwne; poddawanie próbom przesłuchania. Gdyśmy zaczęli stosować tę formułę, byłam już w komendach i pokojach śledczych wielokrotnym gościem, i termin „próba przesłuchania” znaczył dla mnie to, co miał znaczyć: policja lub prokurator zadają pytania, my odmawiamy odpowiedzi. Po roku czy dwóch przesłuchujący nas prokuratorzy i policjanci niewiele zapału będą na ogół okazywali podczas pełnienia tych pseudoczynności, świetnie wiedząc, że akurat przesłuchania zajmują im czas całkowicie niepotrzebnie. Władze usiłowały zwalczać naszą działalność metodami policyjnymi, ale nie decydowały się wyrwać nam paznokci czy bić nas: o zastosowaniu jakiegokolwiek przemocy wiedziałby zaraz cały świat. Przesłuchania traciły więc wszelki sens. My nie chcieliśmy w pokojach śledczych dyskutować o naszych poglądach i działalności, a te zresztą policja znała z naszych własnych publikacji.

Mieliśmy — i mamy — w kodeksie postępowania karnego artykuł 166, na mocy którego przesłuchiwany ma prawo odmawiać zeznań, jeśli czuje się zagrożony. My znajdowaliśmy się w takiej sytuacji: przesłuchiowano nas zawsze w sprawie nie wiadomo jakiej i przeciw komu prowadzonej; widoczne było, że konstruuje się wokół nas materiał mający dowodzić nie wiadomo jakich win do nie wiadomo jakich procesów, w których ze świadków możemy nagle stać się oskarżonymi. Artykuł 166 kpk wraz ze szczegółową, sformułowaną przez samego niegdysiejszego minis-

tra sprawiedliwości, profesora Bafię, interpretacją wnosiliśmy ze sobą do pokojów śledczych jak maskotkę.

Jeśli przesłuchanie miało mieć charakter w przybliżeniu zgodny z przepisami, śledczy powinien był nas nawet o treści tego artykułu pouczyć. Zresztą czyniono to prawie zawsze — w stosunku do ludzi istnienia tego paragrafu świadomych i umiających się nim posługiwać, a więc do tych wszystkich, co do których nie było nawet nadziei, że zeznania złożą. Nie pouczano za to zazwyczaj niepouczonych, początkujących, nie mających wokół siebie nikogo, kto by ich z owym artykułem zapoznał; nie pouczano tych, których decydowano się podczas przesłuchań lżyć, grozić im, stosować wobec nich przemoc fizyczną. Byliśmy tu dzieleni na gorszych i lepszych, z reguły gorsi byli studenci — nie mówiąc o robotnikach — i w ogóle opozycyjni neofici, zwłaszcza w prowincjonalnych komendach, gdzie artykułu 166 ani myślano przyjmować do wiadomości. Ale neofici szybko przestali być neofitami, a studenci i robotnicy, uważani początkowo za zdobywcę łatwiejszą do psychicznego stratowania, zmuszali swoją postawą do umieszczenia ich w policyjnej kategorii lepszych.

O tym wszystkim nie miało się pojęcia na początku. Większość z nas dopiero w komendach raczkowała, a przede wszystkim raczkował w ogóle sam KOR.

Ja też raczkowałam i pierwszą wizytę w pałacu Mostowskich tamtego przedwigilijnego dnia 1976 roku uważam za „nieudaną”. Przede wszystkim czułam własny brak wprawy i to, że pewnych rzeczy po prostu nie umiem, i że moją wewnętrzną uwagę pochłania w zbyt dużym stopniu sceneria, otoczenie, zmieniający się wokół mnie policjanci, cała nieznaną mi ceremonia, przy pomocy której mogli mieć nadzieję, że mnie przestraszą czy po prostu zniechęcą do „wejścia na drogę przestępstwa”, i której zakończenie było mi przecież nieznane.

Traktowano mnie z chłodną uprzejmością, więc i ja nie miałam powodów do traktowania ich inaczej. Ale z pewnością uczyniono wiele odstępstw od przepisów, a ja źle się w tym orientowałam, co mnie denerwowało. Czułam, na przykład, że nie powinni się tak wokół mnie zmieniać, wpadać — to jeden, to drugi do pokoju, podawać jakichś karteczek z dodatkowymi pytaniami przesłuchującej mnie — do protokołu — policjantce, tej samej, która dowodziła rewizją u mnie w domu. Albo na przykład, czy funkcjonariusz Kamiński, który tkwił cały czas obok, niby to w milczeniu (ale w jego milczeniu nie było nic z bierności, przeciwnie, biła z niego dynamiczna aktywność) — czy miał prawo wskakiwać z boku w zadane mi pytanie z jakimś do niego uzupełnieniem czy komentarzem i uprzejmie sformułowanymi groźbami?

Miałam zresztą wrażenie, że naprawdę usiłuje tu przesłuchi-

wać on, choć dopadał mnie tylko z doskoku. Funkcjonariuszka robiła to jak gdyby bez zaangażowania, w sposób całkiem bezosobowy. Jemu lśniło oko, spod płowego wąsa błyskały drapieżne zęby, palił papierosy jak Kuroń. To on podsunął mi najpierw do przeczytania artykuł 166, ale zaraz po nim otwarty kodeks karny, proszę przeczytać i to. „To” było artykułem o rozpowszechnianiu nieprawdziwych informacji, mogących przynieść szkodę istotnym interesom Polski Ludowej. Czy warto ryzykować tyle lat więzienia? Kobieta. Pisarz. Daje się pani manipulować.

Jemu zawdzięczam własne odstępstwa od nieopanowanej jeszcze przeze mnie zasady, żeby nie wdawać się w rozmowy choć trochę dotyczące spraw, o które chodziło. Kuroń mówił: jak chcesz, rozmawiaj sobie z nimi o ptaszkach, o literaturze, o czym tam jeszcze. Ja rozmawiam. Ale nie o tym, o czym oni by chcieli.

Tymczasem na pytania do protokołu zgodnie z artykułem 166 oczywiście nie odpowiadałam, skrupulatnie pilnując, aby pytania i moje odmowy zapisywano. Za to jemu dałam się wielokrotnie sprowokować do niepotrzebnych protestów, zaprzeczeń, objawów gniewu. Pan dobrze wie, że informacje, jakie ogłaszamy, są prawdziwe; moja przyszłość obchodzi tylko mnie; i nawet powiedziałam coś o sumieniu i szacunku dla samego siebie.

Nagle sama siebie usłyszałam i zobaczyłam się w tym pokoju, wśród nich: żalony gęgacz na bezludnej wyspie. Ich tutaj niezmiernie musiały ciekawić moje kazania o sumieniu.

Tą zbyt późną refleksją jakbym zarysowała kółko na własnym czole; dosyć. Odpowiadałam już wyłącznie do protokołu, to znaczy odpowiadałam, że odmawiam odpowiedzi. Porucznik bezskutecznie bębnił sobie palcami w biurko. Policjantka nie miała nowych pomysłów i przesłuchanie zmierzało wyraźnie do końca, zamarzyło mi się zdążyć koniecznie po bagaż i na pociąg, w wagonie będę spała, spała, drzwi otworzyły się, wpadł znowu jakiś cywil z kartką w palcach: — To by było jeszcze ostatnie pytanie — i właśnie na ten przymiotnik „ostatnie” nabrali mnie jak pierwszą naiwną. Porucznik odczytała z kartki: — Czy zna pani Dariusza z Piaseczna i czy w Piasecznie pani bywa?

Cała już myślą w pociągu i u swoich, a więc zdążę, czy Janusz zadzwonił do Kuronia, odpowiedziałam machinalnie i zgodnie z prawdą, że żadnego Dariusza z Piaseczna nie znam, a w Piasecznie byłam ostatni raz sto lat temu.

Ta głupia nieuwaga i jej konsekwencje więcej mnie nauczyły niżby to zrobił niejeden precyzyjny wykład uzasadniający właściwości metody odmawiania odpowiedzi na każde po prostu pytanie. W pokoju zakotłowało życie: policjantka chwyciła dodatko-

wy formularz protokołu, nowo przybyły tajniak pytał, co dokładnie znaczy sto lat, u kogo, u kogo pani była w Piasecznie, adres, nazwisko — to porucznik Kamiński; wezwano kogoś czwartego, do którego wszyscy zwracali się „panie naczelniku”. Ten zaczął mi tłumaczyć, że tylko szczerze i wyczerpujące zeznania mogą przyspieszyć moje stąd szczęśliwe wyjście (podczas gdy jak na dłoni widać było, że jest właśnie na odwrót), policjantka skrobała na formularzu moją nieszczęsną odpowiedź.

Obrzucałam się niemymi obelgami, ale i podziwiałam farsową wymowę tej sceny. Pytana, czy znam Kuronia, czy dnia tego a tego byli u mnie nocą tacy a tacy, czy i po co jeździłam do Radomia, konsekwentnie odmawiałam odpowiedzi, choć każdemu z policjantów prawda była doskonale znana. Sytuacja i tak groteskowa sięgnęła teraz szczytów surrealizmu: nieznajomy Dariusz z Piaseczna wdarł mi się do protokołu jak Filip z konopi, a Bogu ducha winne Piaseczno odmieniano w pokoju śledczym na cztery głosy, co nadawało mu rangę kierowniczego ośrodka dywersji nadającego spiskowe instrukcje na cały świat. W tym Piasecznie byłam po raz pierwszy i ostatni jako maturzystka.

To był koniec wszystkich moich błędów na ten dzień. Kazałam wpisać sobie do protokołu tego Dariusza i owo sto lat jako datę. Zapowiedziałam jeszcze jedną pełną odpowiedź: mianowicie, że zabrana mi maszyna do pisania stanowi moją własność. Na żadne inne pytania nie będę już odpowiadała, bardzo mi przykro, że wzbudziłam przez nieuwagę tyle nadziei. I bardzo proszę: albo zmierzać już do końca przesłuchania, bo muszę zdążyć po bagaż i na pociąg — albo niech telefonują lub telegrafują do mojej rodziny, że jestem zatrzymana i przyjechać nie mogę.

Jakoś zaraz ożywienie przycichło; nie, nie jestem zatrzymana, niech koleżanka kończy — to do przesłuchującej „pan naczelnik”. Jest rzeczywiście późno, trzecia, o której ma pani pociąg? Porucznik Kamiński panią odwiezie. Przesłuchanie na razie przerwamy, po świętach spotkamy się znów, do widzenia. Przesłuchująca zamaszystymi zygzakami przekreśliła wolne miejsca na formularzach protokołu i podała mi go do przeczytania i podpisu. Porucznik Kamiński pomógł włożyć mi płaszcz i zajrzał w oczy.

— Widzi pani, dziś wyjechały do miasta cztery samochody, odbyły się cztery rewizje, cztery osoby znalazły się w komendach. Władza jest cierpliwa. Ale pewnego dnia straci cierpliwość: na miasto wyjedzie dziesięć samochodów i to będzie koniec was wszystkich.

Postanowiłam milczeć i dotrzymałam słowa. Panie poruczniku; aby nastąpił dziś „koniec nas wszystkich”, ile potrzebuje

pan już nie samochodów, ale pałek ZOMO, wojskowych wozów pancernych, obozów i więziennych cel?

Koło 21-szej byłam u swoich; na powitanie dowiedziałam się, że przeprowadzono rewizję u mnie, u Chojeckiego, Naimskiego i Macierewicza. Informację podała Wolna Europa. Z mieszkania Naimskiego i Macierewicza zabrano sporo dewiz przekazanych KOR-owi przez emigrantów polskich na pomoc dla robotników. Wszyscy czworo po przesłuchaniach zostali zwolnieni.

Święta mącił mi Jakubiak. Ale i tak, wstyd powiedzieć, przez te trzy czy cztery dni żyło mi się jak u Pana Boga za piecem, spanie, rodzinna przytulność, smażyło się ryby, Marcinek śmiecił ubierając choinkę. Brat z synem odwieźli mnie do Warszawy samochodem, coś mieli do załatwienia. Poświętecznego ranka jedliśmy u mnie w domu śniadanie, ja leciałam zaraz do pracy, telefon: — Tu Remigiusz.

Ta poufałość, dobry znajomy. I co za szybkość. Nie mogłam przypomnieć sobie człowieka o tym imieniu. Ach, porucznik Kamiński, słucham.

Czy bym wolała porozmawiać z kawiarni, czy jednak u Mostowskich. Niczego nie wolałam; jeśli to przesłuchanie, proszę mnie wezwać formalnie. Jak pani sobie życzy.

Brat nie był pewien, czy postępuję słusznie, ja nie miałam wątpliwości: — Co ty, jaka rozmowa, po diabła cokolwiek udawać, przecież cel tej „rozmowy” jest wiadomy.

W pół godziny po moim zjawieniu się w redakcji wpadł tam we własnej osobie piękny pan porucznik. Wpadł i wypadł. Na biurku została po nim karteczka, mały formularzyk. Urzędowe zaproszenie do Mostowskich, pokój, godzina czternasta, dziś. Następnym błędem; na wezwaniu powinien widnieć numer sprawy — nie zorientowałam się i poszłam.

Spędziłam w pałacu Mostowskich sześć godzin, bez protokołu czyli zupełnie już prawem kaduka. Może powinnam sobie jakoś z nimi poradzić, przerwać to „posiedzenie”, bardziej się postawić — czy ja wiem? Ale mnie osaczyli w kilka osób i o nic nie pytali, wygłaszali monolog za monologiem: wszystko tam było, Kuroń i Michnik i brat Michnika, Wolna Europa, wejście na drogę przestępstwa, koniec wszelkiej twórczej kariery, perspektywy otwarte tylko na więzienie, co powie instytucja, w której pani pracuje, to instytucja solidarna z interesami państwa, zostanie pani na bruku, taka inteligentna, taka ładna (przepraszam czytelników, ale to też są metody) kobieta, po co to, z czego oni żyją ci wszyscy pani znajomi, po prostu kradną, po prostu są

na płatnych usługach wrogów naszej ojczyzny, jacy robotnicy, nigdy w życiu nie biło się nikogo w komendzie, tego nawet robić nie wolno, gdyby to zrobił jakiś milicjant, byłby natychmiast ukarany, zwolniony, opowiada się korespondentom zagranicznym niestworzone historie, kalandria gniazda, to nie jest przesłuchanie, tu protokół niepotrzebny, w szczególnych wypadkach milicja ma prawo wzywać obywatela i przestrzec go przed wejściem na drogę przestępstwa.

Było ich czterech, tylko zmieniali się; kiedy zasychało w ustach jednemu, zaczynał następny. Czy nie byłam dosyć stanowcza? Ale co miałam robić, krzyczeć? Malowałam rzęsy i paznokcie, odmawiałam czytania gazetarskich anonimów (akurat wydrukowano taki w *Sztandarze Młodych*, przypominano w nim zasługi poniesione dla stalinizmu przez starszego brata Michnika, co najgorzej miało świadczyć o Adamie), kiedy denerwowałam się bardziej, opowiadałam im o radomskich procesach albo recytowałam fragmenty skarg robotniczych. Robotnica w ciąży zwolniona z pracy bardzo ich zmartwiła: jak nazwisko? Lewandowska? Sprawdzimy. Tu nie ma co sprawdzać, byłam przy tym. Jednak sprawdzimy, dojdziemy, postaramy się załatwić: to było rzeczywiście niezgodne z prawem.

Roześmiałam się.

No, cóż, nie oszczędziliśmy czasu, teraz sama sobie będzie pani winna, ale z całego serca nie radzimy. Pan porucznik wyprowadzi panią z gmachu.

Zima, koniec grudnia, zaraz sylwester. Powietrze, powietrze. Czarnobiały plac Dzierżyńskiego, patrona pałacu Mostowskich, kopny śnieg na pobrzeżach chodników. Hotel Saski: zatelefonować do Janusza.

Pojechałam do Kuroniów. Grażyna zrobiła mi coś do jedzenia, Jacek awanturę: nie wolno dopuszczać do takich długich rozmów, to z ich strony bezczelność. Ale zaraz pocałował mnie w rękę: — No nie, ja wiem, oni tak potrafią, postanowili cię przestraszyć.

— Wiesz co — powiedziałam — dosyć tego dobrego. Ja teraz wstąpię do KOR-u. Niech będzie już i dla nich wszystko jasne.

W domu, późnym wieczorem, ze złości sformułowałam swoją propozycję na piśmie. Miałam ochotę zrobić kopię i posłać ją do Mostowskich.

Anka KOWALSKA

Wrócić, nie wrócić

Kogut, Lis i ja byliśmy na wakacjach, kiedy w stolicy zmieniła się władza. Zebraliśmy się na naradę.

— Panowie — powiedziałem. — Dotychczasowa władza była taka sobie, ani dla nas dobra, ani zła. A teraz się zmieniła, czyli może być dla nas albo lepsza, albo gorsza. Więc zanim wrócimy do stolicy, trzeba się koniecznie dowiedzieć jaka ona teraz jest.

— Ale żeby się dowiedzieć, trzeba najpierw wrócić — zauważył Lis.

Zaś bezpiecznie wrócić można tylko wtedy, jeżeli teraz władza jest dla nas lepsza, a nie gorsza — podjął myśl Kogut.

— Czego się jednak nie dowiemy, jeżeli najpierw nie wrócimy — zakonkludowałam.

Zapanowało milczenie.

— A gdyby wrócił tylko jeden z nas i rozpoznał sytuację? Rozpoznawszy, mógłby zawiadomić pozostałych.

— Który z nas? — zapytał Kogut, dając tym samym do zrozumienia, że nie uważał się za ochotnika.

— Ten, kto ma najlepsze kwalifikacje. Ktoś, kto jest chytry, przebiegły i zręczny.

Nasz wzrok padł na Lisa. Nasz, to znaczy Koguta i mój.

— Naprawdę uważacie, że ja się do tego nadaję? — próbował bronić się Lis. Obłudnie, jak to zwykle Lis. Bo wiadomo było, że jako Lis posiadał te wszystkie wymienione cechy, którymi powinien odznaczać się wywiadowca.

— Jesteś Lisem, czy nie jesteś?

Lis opuścił głowę. Nie mógł przecież zaprzeczyć, że jest.

Następnego dnia żegnając Lisa po męsku panowaliśmy nad wzruszeniem.

— Poradzisz sobie — rzekł Kogut twardo i położył mu łapę na ramieniu. — Jesteś przecież najchytrzejszy ze wszystkich Lisów. Kto jak kto, ale ja się na Lisach znam i mogę poświadczyć.

— Tym bardziej, jeżeli się okaże, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. A nuż przywitają cię z otwartymi ramionami?

— Właśnie. W każdym razie jednego możesz być pewien: my zachowamy o tobie jak najlepsze wspomnienia.

Lis odjechał. Przez pewien czas nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Już zaczęliśmy się niepokoić, kiedy nadszedł telegram.

„Dla Lisów jest nieźle. Lis”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Ułga byłaby jednak znacznie większa, gdyby telegram nie był aż tak zwięzły. O mnie i Kogucie nie było w telegramie ani słowa. Prawdę mówiąc, już po pierwszym oddechu przestaliśmy odczuwać ulgę.

— Dla Lisów... — zadumał się Kogut posępnie. — To dobrze, że dla Lisów. Ale co z Kogutami?

— Może dla Kogutów także?

— Może, ale nie na pewno. W tym telegramie o mnie ani słowa.

— Ani o mnie.

— Głupi jest ten Lis! — zdenerwował się Kogut i podał telegram.

Czekaliśmy na następną wiadomość. Nadeszła po pewnym czasie.

„Koguty mile widziane. Lis”.

Tym razem Kogut odetchnął z ulgą i nadal już tak oddychał. Poweselał i nabrał o Lisie lepszego mniemania.

— Rozumiem, dlaczego przedtem nic o mnie nie wspomniał. Bo co do mnie nie miał jeszcze pewności, a teraz ma. Mądry jest ten Lis i dobry Kolega.

— Ale o mnie dlaczego dalej nie pisze?

— Nie pisze, bo co do ciebie jeszcze nie wie na pewno. Więc ty musisz poczekać, ale ja już jadę.

Radziłem mu, żeby się tak nie śpieszył, bo głupio mi było zostawać samemu. Ale on nie chciał przyjąć mojej rady.

— Jak mile widziane to mile widziane. Spójrz, tu jest napisane wyraźnie. A nawet z tego wynika, że dla Kogutów widoki na przyszłość są jeszcze lepsze niż dla Lisów. „Mile widziane”, rozumiesz? To oznacza sympatię.

— A jeżeli telegram jest sfalszowany?

— Niemożliwe. „Koguty mile widziane”, tego się nie da sfalszować.

— Przy pożegnaniu Kogut wyraził nadzieję, że wkrótce podążę jego śladem i wszyscy trzej odnajdziemy się w stolicy. To

ładnie z jego strony, że jednak o mnie pomyślał, mimo, że tak był zajęty myślami o czekającej go karierze, radośnie podniecony i niecierpliwy. Jak to Kogut.

Teraz już w samotności oczekiwałem na trzeci telegram. Codziennie chodziłem na pocztę i pytałem, czy nadszedł. Pewnego dnia, jak zwykle, wszedłem do urzędu pocztowego i zauważyłem, że na ścianie wisi portret, którego przedtem tam nie było. Portret przedstawiał dorodnego mężczyznę w kolorach naturalnych.

— Kto to jest? — zapytałem urzędnika, wskazując na portret ponad jego głową. Urzędnik obejrzał się, po czym powstał i stojąc na baczność odpowiedział głosem urzędowym:

— To nasz nowy, najukochańszy władca.

Po czym usiadł i dodał, prywatnie już:

— Dzisiaj rano przysłali.

Wpatrywałem się w portret. Przywódca był w paradnym uniformie. Na głowie miał czako ozdobione pióropuszem z kogucich piór, a przy boku szablę, ozdobioną lisim ogonem.

— Owszem, jest coś dla pana — mówił dalej urzędnik i wręczył mi telegram.

Podziękowałem i wyszedłem. Dopiero na ulicy rozpieczętowałem i przeczytałem:

„Tobie też będzie dobrze. Przyjeżdżaj natychmiast. Kogut i Lis”.

Ukrywam się jednak do tej pory. Bo nie wiem, mam, czy nie mam coś takiego, co by nasz nowy, najukochańszy przywódca mógł sobie gdzieś wetknąć czy przywiesić?

Sławomir MROZEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Wiersze

Adam BĄKOWSKI

LITANIA

Święta Wódko
 święta nasza uwodzicielko i pokrzepicielko
 nieczysta najmilsza i przedziwna
 łaskiś i dobrej rady pełna
 matko nasza
 która nas stwarzasz i niszczysz
 która nas kupujesz i sprzedajesz
 jako i my zaprzędajemy się Tobie
 czcigodna i sławna wielmożna i wierna
 wlewaj się w nas swoją łaską
 krzywe zwierciadło mądrości
 przyczyno naszej jedynej radości
 bądź zawsze z nami i w nas
 (naczynie obojętne
 pijemy Cię ze wszystkiego)
 arko przymierza i rózo zerwania
 gwiazdo ćmiąca pod czaszką
 nieodzowna nam
 ucieczko w świat którego łakniemy
 a który nie jest i nie będzie z tego świata
 ucieczko ze świata od którego się odwracam
 i który od nas się odwraca
 tylko Ty od nas się nie odwracasz
 i my przy Tobie trwać będziemy Pani
 na Ciebie jesteśmy skazani

tyś jedyną naszą wolnością i niewolą
 do Ciebie jesteśmy przypisani
 do Ciebie uciekamy się
 Ciebie nam nie odebrano
 gardłami przełykami żołądkami naszymi
 racz nie gardzić
 wybaw nas o Pani nasza
 mało chwalebna ale błogosławiona
 błogosławiona ale przekłeta
 orędowniczko nasza
 pośredniczko nasza
 pocieszycielko nasza
 nie opuszczaj nas bo co poczniemy
 zmiłuj się nad nami
 nie możemy bez Ciebie żyć
 nachyl się ku opuchniętym naszym wargom
 królowo patriarchów proroków
 apostołów męczenników i innych
 królowo Polski

Adam BĄKOWSKI

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
 KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
 Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
 CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
 SOBOTA / SAMTAG 9.00 - 12.00
 SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
 KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Archiwum polityczne

Gwałt i perswazja*

Wyobraziłem sobie, że PRL już przyłączono do Związku Sowieckiego, że to nie generał Jaruzelski wykonał operację „stan wojenny”, lecz ktoś zupełnie inny, na wskroś sowiecki generał Jaruzelew. Sowiecka technika wojskowo-policyjna nie ustępuje peerelowsko-jaruzelskiej i wobec tego operację wykonano prawie równie dobrze, jak tę z 13 grudnia (może nawet wszystko odbyło się tego samego dnia). Obwieszczenia o stanie wojennym zredagowano po polsku — były przeznaczone dla ludności miejscowej. Generał może nawet przemawiał na tle godła, zdecydowano się je pozostawić. Orzeł nie ma korony, można mu jeszcze zabrać pazury. Ale można też dodać koronę. Poza górnikami z „Wujka” zginęło jeszcze kilkadziesiąt osób, internowano kilka tysięcy, po kilku miesiącach utworzono PRON, ostatecznie był już Związek Patriotów Polskich. Wanda Wasilewska nie żyje, przewodniczy Jan Dobraczyński (ksiądz Kupść lub Kubsz gdzieś się zapodział). Pewne swobody Kościoła katolickiego są zachowane, tak jak były po 44 roku (wznowił wówczas działanie KUL, zezwolono, by ukazywał się *Tygodnik Powszechny*, zaś Bolesław Bierut — bezpartyjny — miał zwyczaj słuchać mszy świętej). Po co Kościół przedwcześnie antagonizować. W tej wyobrażonej wersji wydarzeń prymas Glomp nawołuje do spokoju (bo cóż innego powinien robić prymas). Nadal ukazują się książki po polsku, tak

* *Gwałt i perswazja. Antologia publicystyki z lat 1981-1983.* Wybór i słowo wstępne Jerzy Adamski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983. Na obwolucie adnotacja: „Publicystyka polityczna z lat 1981-1983 znanych autorów: Zygmunt Kałużyński, Kazimierz Koźniewski, Jerzy Górecki, Artur Sandauer, Władysław Markiewicz, Jan Szczepański, Andrzej Grzegorzczak, Janusz Reykowski, Bronisław Łagowski, Ryszard Wojna, Aleksander Bocheński, Krzysztof Teodor Toeplitz, Jerzy Urban, Tomasz Goban-Klas, Jerzy Adamski, Andrzej Wasilewski”.

jak drukuje się je po armeńsku i po ukraińsku. A co w tej sytuacji robiliby intelektualści?

Znaleźliby się tacy, którzy chcieliby gwałt uzasadnić. Kiedyś uzasadnianiem poczynań władz komunistycznych zajmowali się dwudziestoparoletni absolwenci Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych. Opisywali jak obóz imperializmu i burżuazja instruuje katolików, pseudosocjalistów i antymarksistów, którzy planują rozpętanie nowej wojny. Potępiali knowania wymierzone przeciw Polsce i obozowi pokoju ze Związkiem Sowieckim na czele. Minęło trzydzieści kilka lat i młodych marksistów mogli zastąpić profesorowie uniwersytetu i członkowie akademii nauk. Może uwierzyli, że gwałt jest słuszny, a może tylko mówiliby, że jest politycznie niezbędny. Twierdziliby, że tego, co się stało, należało się spodziewać, jeśli wziąć pod uwagę postępowanie opozycji. Gwałt zresztą w gruncie rzeczy nie był gwałtem, ofiar było niewiele, właściwie nic się nie stało, cała historia Polski zmierzała w tym kierunku. Rację mieli Róża Luksemburg i Aleksander Bocheński: najważniejszy jest rynek zbytu dla produkcji łódzkich manufaktur bawełnianych. A jeśli ktoś uważa, że stało się coś złego, to sami jesteście winni. W sumie przesądziła o tym historia, nasze położenie geopolityczne i charakter narodowy Polaków (naród ma zły charakter — będą pisać publicyści). Polacy za mało pracują i za dużo chcą, zwłaszcza za dużo chciała młodzież i środowiska twórcze, które wykazywały postawę roszczeniową. Publicyści będą nawoływać potencjalnych opozycjonistów do niestosowania przemocy (trudno sobie zresztą wyobrazić jej skuteczne stosowanie, gdy prawdziwą broń ma tylko druga strona).

Publicyści chwycą za pióra i ich prace może ktoś zbierze i łącznie opublikuje. Dobrym tytułem mógłby być „Gwałt i perswazja”. W takiej książce Aleksander Bocheński, Janusz Reykowski i Krzysztof Teodor Toeplitz zgodziliby się zapewne, że należy lepiej i więcej pracować, że kultura pracy jest fatalna, a przecież praca mogłaby nam zapewnić większą siłę (można delikatnie dać do zrozumienia, że nawet większą wolność) i lepszą pozycję geopolityczną w obrębie republik związkowych, zwłaszcza (co ważne) wobec republik ukraińskiej i niemieckiej. Siłę, dzięki Związkowi Sowieckiemu, mamy i tak już znaczną, ale możemy mieć jeszcze kilku deputowanych w Radzie Najwyższej, co wzmocni naszą pozycję, w dodatku zaś niektóre polskie książki mogłyby pozostać w bibliotekach na miejscu. Andrzej Wasilewski napisałby esej o korzyściach orientacji wschodniej w polskiej historii i zgodziłby się z Aleksandrem Bocheńskim, że dzięki tej orientacji ziemie zachodnie i północne są w granicach polskiej republiki sowieckiej, zresztą być może przyłączono by do tej republiki jeszcze obwód kaliningradzki, może nawet i lwowski, zaolziański lub budziszyński.

ski. Dla Związku Sowieckiego różnica niewielka, a nam byłoby przyjemnie. Przyłączenie Budziszyna powitano by owacyjnie w polskiej socjalistycznej radzie republikańskiej, która zachowałaby nawet zapewne nazwę Sejmu. Sprawiedliwości historycznej stałoby się zadość. Stwierdzono by (ustami wybitnych deputowanych), że decyzja Związku Sowieckiego zapewnienia opieki republice polskiej utrwaliła jej bezpieczeństwo i sprawiedliwe granice, podczas gdy Zachód dużo obiecywał, ale naprawdę nie interesował się nami i lekcewał nas. Interesowała się nami Rosja, tak jak obecnie Związek Sowiecki. Bo też wchodzi w grę wspólne interesy, napisaliby Aleksander Bocheński i Andrzej Wasilewski.

Obecne sukcesy potrafiłoby się skonstruować z przeszłym niewłaściwym i nawet zbrodniczym działaniem opozycji. „Cały jej program był zły”, napisaliby Jerzy Urban, „rozdawała społeczeństwu nie istniejące pieniądze. Strajkami miażdżono tkanki bezdyskusyjnie wartościowe: organizm państwa i więzi gospodarcze. Młodzież rozpalono i okłamano odrywając jej myśli od realnego świata. Wyszczerbiono układ naszych gwarancji granicznych”.

Język byłby więc obrazowy: opozycja miażdżyła, rozpałała i szczybiła. Była, jak widać, nieodpowiedzialna. Rozsądny człowiek nie miażdży tkanek bezdyskusyjnie wartościowych.

Rady na przyszłość różniłyby się w zależności od temperamentów. Jerzy Urban napisałby: „nie jest teraz sezon na czułośćkowość”. Bardziej uczeni profesorowie stosowałiby terminologię teorii gier. Mówiliby, że gra ma sumę niezerową, co ktoś mógłby potraktować jako opis, ale to by znaczyło, że trzeba współpracować. Pisano by o dylemacie więźnia, co znaczyłoby, że obie strony są w tej samej sytuacji, w gruncie rzeczy są więźniami. Oskarżenia „Solidarności” przeplatałyby się z myślami o konieczności dialogu (już nie z „Solidarnością”, istnieją inne siły, które współpracę z rządem podjęły: PRON). Zderzenie człowieka z czołgiem („Solidarność” nie miała czołgów) jeden z uczonych porównałby do zderzenia dwu pojazdów (to jeszcze jeden rodzaj gry).

Jerzy Urban widziałby w stanie wojennym gorzkie lekarstwo. Napisałby: „Nie jest rozsądne zgłaszanie pretensji o to, że siły broniące socjalizmu same nie chciały zawiązać pętli dla nich przyżykowanej. Skoro stan wojenny był niezbędnym lekarstwem przerywającym bieg agonii i dającym nadzieję na wyzdrowienie pacjenta — nie jest specjalnie rozumne załamywanie rąk nad tym, iż lęk ten ma przykry smak”.

Po prostu tak było trzeba. Tak być musiało, napisałby Krzysztof Teodor Toeplitz.

Amerykane po długich deliberacjach zastosowałyby tym razem

sankcje wobec Związku Sowieckiego w całości, a nie tylko wobec polskiej republiki sowieckiej (PRS). Ściśle rzecz biorąc, nie byłoby to sankcje, ale nieco mniejsza chęć prowadzenia handlu i udzielania kredytów. Przemysłowcy Armand Hammer i Edward Pizsek widzieliby w tych ograniczeniach cios wymierzony w wolności gospodarcze, a ponadto niebezpieczną prowokację. Z tym poglądem zgodziłoby się kilku profesorów kanadyjskich i amerykańskich, którzy zwracaliby uwagę na zalety podejścia realistycznego i na to, że przedwczesna akcja osłabia możliwości wpływania na bieg wydarzeń. Lepsze jest niedziałanie. Aleksander Bocheński zaprotestowałby zapewne przeciw ograniczeniom handlowo-kredytowym i stwierdziłby, że głodząc Związek Sowiecki, Amerykanie głodzą Polskę: napisaliby o rodakach, którzy „proszą o więcej, o dalsze ciosy” i o masochizmie współobywateli: „Umysły przyjaciół Reagana szukają rozpaczliwie zaczepienia logicznego, by móc cierpieć razy zadawane przez prezydenta amerykańskiego i jednocześnie móc dlań odczuwać wdzięczność i miłość”.

Zachód byłby oskarżony o rozpoczęcie nowej zimnej wojny (a nawet o dążenie do wojny gorącej). Zygmunt Kałużyński broniłby pojęcia „linii ideologicznej” i wiedziałby, że nieuchronny jest powrót do zasadniczego podziału ideologicznego. Ale jak ten podział przebiega? Z jednej strony jest „amerykanizm” (zdemaskowany kiedyś przez wystawę „Oto Ameryka”). Czy z drugiej strony jest sowietyzm? Ta nazwa brzmi trochę drażliwie, lepiej nasz obóz nazywać socjalistycznym, zdecydowałby autor artykułu o zimnej wojnie.

Ograniczenia handlowe wobec Związku Sowieckiego w końcu by zniesiono, może po amnestii (nie byłaby to pierwsza ani ostatnia amnestia). Do zniesienia mogłaby się przyczynić decyzja utrzymania reprezentacji polskiej republiki sowieckiej w ONZ i w innych organizacjach międzynarodowych (tak jak jest tam reprezentowana Ukraina i Białoruś). W Stanach Zjednoczonych uznano by, że odrębna reprezentacja jest znamieniem względnej sprawiedliwości, ale jednak autonomii. Zapewne zawdzięcza się ją liberałom na Kremlu. Oczywiście, reprezentanci polskiej republiki sowieckiej głosowałoby tak jak ogólna reprezentacja ZSSR. Ich postępowanie byłoby odpowiedzialne i zgadzałoby się z dobrze rozumianym polskim interesem narodowym i z interesami całej wspólnoty. W konstytucji stwierdzono by, że polska republika sowiecka umacnia przyjaźń i współpracę z innymi republikami socjalistycznymi. Jak napisałby Ryszard Wojna — wreszcie zapanowałby pokój między Polską i ZSSR, co ma ogólniejsze znaczenie: „Nie może być bowiem w Europie trwałego pokoju, jeśli nie ma go między Polską a Związkiem Sowieckim”.

Artur Sandauer wypowiedziałby się o polskiej anarchii. Powiedziałby: „Bezustanne demonstrowanie do niczego nie prowadzi. Ci, którzy mówią o niezależności, faktycznie wpędzają nas w zależność. Może to komuś i służy, ale nam — na pewno nie”. Mamy niezależność, ale nie aż tak dużą, by można było o niej mówić. Jeden z profesorów nie zdziwiłby się tym, co nastąpiło. Powołałby się na swój artykuł opublikowany niedługo przed wydarzeniami, które część obywateli uważa za tragiczne, ale które w istocie są błogosławione, ponieważ były konieczne. Profesor ten w listopadzie 1981 roku zwracał uwagę na akcje antysowieckie, na publikacje, których „Solidarność” broniła. Zanalizowałby mity opozycjonistów, dziś przede wszystkim śmieszne. Dziś, gdy jesteśmy częścią Związku Sowieckiego, wiemy dokładnie jak to mitologia, myślenie życzeniowe i uczucia w miejsce rozumu kierowały opozycją.

Mitologie i pragnienie cudów krytykowałyby prawie wszyscy. Krytykowano by też tradycje konfederacji barskiej. Już wtedy wyraźnie zaznaczyło się nieodpowiedzialne postępowanie Polaków, widoczny był wpływ katolicyzmu i skłonności buntownicze. Któryś z publicystów napisałby: „Gdzie, w którym kraju dzisiejszej Europy można bez narażenia się na śmieszność szerzyć wiarę, że męczeństwo narodu zostanie wynagrodzone za sprawą czuwających sił nadprzyrodzonych”. Spytałby, gdzie jeszcze są możliwe „magiczne praktyki palenia świeczek, układania krzyży, pielgrzymek w intencji zwalczania złych mocy?”. Plac, na którym krzyże układano, marksistowscy racjonalisci otoczyliby płotem, by praktyki magiczne uniemożliwić. Kiedyś zburzono na tym placu sobór, może trzeba na środku postawić coś nowego, może muzeum naukowego ateizmu lub urząd ateistycznych ślubów i świeckiego nadawania imion. Nowa budowla mogłaby trochę przypominać ów dawny sobór, a trochę pałac kultury i nauki imienia Stalina. Przy jej wznoszeniu jeden z dziennikarzy napisałby, jak bardzo niepotrzebne było w psychice polskiej „neurasteniczne rozdarcie między Wschód a Zachód” i może by ubolewał, że „neurastenia ta jest stale przedłużana przez uwięzioną w swej tradycji edukację”.

Andrzej Grzegorzczak nawoływałby do niestosowania przemocy i wskazywał zło, które wyrządza postawa godnościowa. „Wszyscy chcemy być ważni i niezależni”, zacytowałby swój artykuł. Profesorowie zgodziliby się co do złych skutków kontrastowych uczuć i myślenia kontrastami: „Godnościowcy mają skłonność do generalizacji i kontrastowości ocen. Godnościowość nie wychowuje cnoty zwanej pokorą. Pokora natomiast sprzyja 'pracy organicznej', czyli po prostu w nowej sytuacji podejmowaniu nowych pozytywnych zadań. Z ewangelicznego punktu wi-

dzenia na pewno lepiej jest cierpieć niewolę, niż buntując się przeciw niej popaść w nienawiść do nieprzyjaciela. Można opresorowi przypominać, że nie powinien nam ubliżać. Ale musi się skończyć na moralnym przypomnieniu, skoro mamy nadstawić drugi policzek”.

Profesorowie z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych udzieliliby wywiadów *Prawdzie Mazowieckiej* (może zresztą nadal miała by tytuł *Życie Warszawy*) i zgodziliby się z Arturem Sandauerem (choć może nie wymienialiby jego nazwiska, powoływaliby się chętniej na Jana Szczepańskiego). Mówiliby o polskich tradycjach anarchicznych, lekceważeniu silnego rządu i namawialiby Polaków do intensywniejszej pracy, bez której więcej Rosjan i Niemców musiałoby przyjechać na ziemie polskie i moglibyśmy stracić Budziszyn na rzecz niemieckiej republiki sowieckiej (NRS), nie mówiąc już o możliwości utraty z trudem odzyskanego Kaliningradu. A może nawet bylibyśmy zmuszeni oddać nasze powojenne ziemie zachodnie. Przyjaźń przyjaźnią, gwarancje gwarancjami, ale już my wiemy, co one znaczą, dawaliby do zrozumienia (może i słusznie) zaangażowani publicyści.

Kazimierz Koźniewski stwierdziłby ze smutkiem: „Jestem zawiedziony postawą polskiej inteligencji”. Koźniewski powtórzyłby za Stanisławem Mackiewiczem: „losy Polski po raz któryś znalazły się w rękach młodzików”. Ci ostatni byli o krok od czynów rzeczywiście przerażających: już drukowano karykatury w gazetkach, już chciano funkcjonariuszy partii usuwać z płatnych etatów w zakładach pracy, myślano nawet o wyborach do rad narodowych i do Sejmu. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie opieka Związku Sowieckiego. Mogła młodzików wychować w sposób właściwy inteligencja, ale ona właśnie zawiodła.

Krzysztofa Teodora Toeplitza także denerwowałyby pomysły wymierzone przeciw komitetom partyjnym w zakładach pracy. Podobnie pisaliby inni zwolennicy rozsądku i rzetelności w gospodarce: dowodzono by, że etatowi komuniści w przedsiębiorstwach powinni być opłacani przez państwo, czyli przez społeczeństwo, i dysponować w przedsiębiorstwie pomieszczeniami. To pomagałoby zwiększyć racjonalność gospodarki, znajdującej się, jak by pisano, z winy „Solidarności” i polskiego charakteru narodowego, w nienajlepszym stanie.

O stanie wojennym w jego sowieckiej wersji (bardzo liczne przepisy podano by przez radio i ogłoszono w *Dzienniku Ustaw*) Krzysztof Teodor Toeplitz napisałby: „Stan wojenny zdecydowanie przeciął postępujący demontaż państwa, rozstrzygnął definitywnie i jednoznacznie kwestię władzy w Polsce”.

Może pod wpływem lektury *Prawdy* Toeplitz zaczerpnąłby

parę wyrażen z sowieckiego słownictwa propagandowego, stwierdziłby kto co robił pod płaszczykiem i co jest wodą na młyn nielicznych grup szulerów politycznych. Może zresztą na ten styl oddziaływały przemówienia z marca 1968 roku, w których występowały metafory wodne (brudna piana i ślaska woda), wtedy także mówiono o szulerach politycznych.

Gdyby Polskę przyłączono do Związku Sowieckiego, zapewne z Zachodu odezwałyby się jakieś protesty i odbyłyby się demonstracje, może z udziałem Polonii i emigracji. Publicyści radziliby protesty lekceważyć (może słusznie), zaś demonstracje nazwałiby „odpryskami niewesołej polskiej historii”, Andrzej Wasilewski napisałby, że demonstrantami kierowała „jakaś niewidzialna ręka”. Powiedzieliby o nich: „Obrońcy godności łatwi do użycia. Patrioci do kupienia za małe pieniądze”. W sprawie godności Andrzej Wasilewski zgodziłby się może z Andrzejem Grzegorzyciem, w sprawie tego, czym jest słuszny patriotyzm — z Wandą Wasilewską i Ryszardem Wojną, w sprawie roli pieniędzy w postępowaniu przeciwników politycznych — z Arturem Sandauerem.

Teksty, o których mowa, brzmią trochę dziwnie, zwłaszcza jeśli miały być pisane po przyłączeniu Polski do Związku Sowieckiego. Były pisane przed. Jeśli ktoś uważa, że znaczenie tych wypowiedzi zależy od sytuacji, nie byłby to jedyny przypadek, w którym kontekst pomaga znaczenie określić, o czym teoretycy (i praktycy) komunikowania się wiedzą dość dobrze. Nie jest to jednak argument na rzecz twierdzenia, że tylko kontekst określa znaczenie. Omawiane tu teksty znaczą coś i wyrażają również bez względu na sytuację, również gdyby stanu wojennego nie było, autorzy zaś wypowiadaliby się o czystych możliwościach. Część autorów „Gwałtu i perswazji” powie zapewne: nie, po stanie wojennym w wykonaniu zupełnie sowieckim nie napisalibyśmy tego, cośmy napisali. Powiedzą, że to, co napisali, nie jest ważne samo przez się; ataki na „Solidarność” i obrona gwałtu mają sens ze względu na narodowe mundury. To jest sens perswazji: przecież 13 grudnia przemówił Jaruzelski, a nie Jaruzelew. Co prawda ów Jaruzelski był zmuszony dość głęboko utkwąć w słusznej geopolitycznie „orientacji wschodniej”.

Publicyści bronią państwa i współpracy z państwem (bo miałyby to być współpraca z państwem do pewnego stopnia własnym), ale są także zwolennikami „orientacji wschodniej” (przynajmniej w słowach). Jaka może być inna orientacja, powiedzą, nie wdając się w możliwe odcienie i rodzaje owej współpracy i „orientacji”.

Kolaboracja może być indywidualnie nieprzyjemna i nieprzy-

zwoita, ale społecznie pożyteczna. Pewna dawka kolaboracji dobrze robi uciemienionemu narodowi. Kolaborant może być amortyzatorem. Ale bez przesady. Kolaboracja humanitarna, typu Rady Głównej Opiekuńczej, okazała swą użyteczność, współpraca z czasopismem okupacyjnym nie jest już bezspornie pożyteczna. Nawyki dobrej pracy z pewnością warto kształcić, przydałaby się umiejętność dobrej pracy polskim prawnikom, administratorom i dyplomatom (jeśli tacy kiedyś będą istnieć). Można zauważyć, że znamię patriotyzmu były próby stworzenia polskiego przemysłu elektronicznego i komputerowego. O patriotyzmie i odpowiedzialności świadczyły społeczne projekty prawa o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie, świadczyła też idea powołania Społecznej Rady Gospodarki Narodowej (taka rada miałaby co robić w czasie przechodzenia do gospodarki rynkowej, a może nawet i później).

Dobra robota inżyniera lub lekarza jest w komunizmie często utrudniana, ale mimo wszystko jest sprawą łatwiejszą niż dobra robota dziennikarza, pisarza politycznego lub profesora. Zależnie od stanowiska, dziedziny i rodzaju działalności, współpraca z państwem typu PRL jest mniej lub bardziej kosztowna i ma mniej lub więcej cech kolaboracji (która może być społecznie korzystna).

Jeśli chce się uzasadnić wybrany rodzaj działania politycznego, zwłaszcza zaś działanie w instytucjach oficjalnych, istotną rolę odgrywają przewidywania co do trwałości systemu, ale te przewidywania są raczej przedmiotem wiary. Wiarę z kolei można uzasadniać porównaniami. Jak twierdzi jeden z publicystów: można zbić jajko i zrobić omlet, ale z omletu nie można zrobić jajka. Ma to znaczyć że historia podąża w jednym kierunku — robi się omlety, sprawa jest nieodwracalna. „Solidarność” była jednak — całkiem udaną — próbą ukazującą odwracalność zmian społecznych dokonywanych w komunizmie. Okazuje się, że omletu jeszcze nie zrobiono, jeszcze jest możliwe twórcze działanie w sprawach społecznych i mogą powstawać struktury społeczne niezależne od państwa.

Jeśli argumentuje się za popieraniem polityki oficjalnej (w szczególnym przypadku — za kolaboracją), ma znaczenie stopień jej upowszechnienia. Z samymi kolaborantami nie zajędzie się daleko (albo też zajędzie się za daleko): gdy spełnią się pragnienia autorów „Gwałtu i perswazji”, gdy wszyscy zostaną już namówieni do zaniechania oporu, gdy uwierzą w obraz opozycji jako siły nieodpowiedzialnej, zabobonnej i niszczycielskiej, przyłączenie Polski do Związku Sowieckiego (lub nieprzyłączenie) nie będzie odgrywać zasadniczej roli. Bez oporu, bez samodzielności, bez ograniczania „socjalizmu realnego”, Polska nie będzie się od

Związku Sowieckiego różnić i jeśli ktoś w ZSSR uzna, że należy ją przyłączyć, to już tylko dla biurokratycznego porządku.

Ludzie skłonni do naprawiania socjalizmu od wewnątrz, walnerodzi działający w strukturach oficjalnych — istnieją w Polsce i jest ich sporo. Do PZPR należy ponad milion osób (a było więcej), członków PRON-u i nowych związków zawodowych z pewnością wystarczy do odbywania zebrań. Braku chętnych nie należy się obawiać. Trwają też na posterunkach pracownicy policji i wojska, ale o nich trudno nawet powiedzieć, że są skłonni do kolaboracji. Robią coś więcej, wykonują postanowienia kierowane do nich przez rządzących na miejscu i w Moskwie. Wśród intelektualnych zagadnień książki „Gwałt i perswazja” jest sprawa wyboru, czy lepsza jest policja własna, czy obca. Rzecznicy przewagi PRL nad PRS (polską republiką sowiecką) bronią silnego państwa i miejscowej policji, cieszą się, że „my, Polacy, zachowaliśmy możliwość pisania tej partytury”. Po to był stan wojenny, aby nie wyaresztowywała nas policja obca. Ale policja i wojsko w PRL to przecież mogą być czytelnicy Aleksandra Bocheńskiego, Ryszarda Wojny i Andrzeja Wasilewskiego. W tych instytucjach skupiają się zwolennicy „orientacji wschodniej”, których przekonano (może publicyści stanu wojennego też mieli w tym udział), że miejsce Polski jest we wspólnocie socjalistycznej, w „konstytucyjnie zapisanym” sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Kiedy policja obca na dobre zacznie działać, jej niższe kadry będą składać się z policji miejscowej. Zresztą już się składają.

Policja w PRL nie jest po prostu policją państwową, a wojsko nie jest po prostu wojskiem jednego z państw. To są instytucje socjalistyczne w sensie swoistym, instytucje, które bronią „interesów socjalizmu”, a więc „wspólnoty socjalistycznej”, czyli interesów Związku Sowieckiego w Polsce.

Policja obca mogłaby stosować kary surowsze i mogłaby postępować mniej delikatnie (Grzegorz Przymyka już nie można zapytać, jaką policję woli). Ale jeśli przypuszczamy, że mogą być jakieś różnice na korzyść policji miejscowej, to nie dzięki publicystyce Ryszarda Wojny, ale dzięki postępowaniu Kardynała Wyszyńskiego, Lecha Wałęsy lub Władysława Frasyniuka (i bardzo wielu innych). Dzięki istnieniu opozycji tworzonej wbrew zasadom „socjalizmu realnego”, wbrew „kierowniczej roli partii”, „centralizmowi demokratycznemu” i „orientacji wschodniej”, wbrew zasadom, które publicyści stanu wojennego uważają za konstytucyjne i których bronią przed „Solidarnością” w zbiorze artykułów „Gwałt i perswazja”.

Jan NOWICKI

List z Londynu (5)

Niedawno tutejsza telewizja przeprowadziła wywiad z policjantem, który od wielu tygodni bierze udział w ośtonie nadal pracujących kopalń przed tysiącami strajkujących górników. Na pytanie, w którym sugerowano, że taka służba jest bardzo ciężka i że co dzień się ją przeklina, młody policjant uśmiechnął się i odpowiedział: wręcz odwrotnie. Prawie wszyscy policjanci, którzy często wstają o 3-ciej rano i są narażeni na brutalność tłumu, to ochotnicy. Pracujemy w nadgodzinach, nasze zarobki tak wzrosły, że na przykład ja zarabiam £ 400 tygodniowo a oficerowie dociągają do £ 500. Płacimy podatki, ale zostaje nam tyle, że kupujemy samochody, zmieniamy umeblowanie, stać nas na rodzinne urlopy we Włoszech i w Hiszpanii.

Istotnie, z tego punktu widzenia przywódca górników, Arthur Scargill, zrobił więcej dla policjantów niż wszystkie rządy razem wzięte, ale to tylko jedna strona strajku, który trwa już od marca i nie wiadomo kiedy się skończy.

Druga strona wygląda tak źle, że tutejsze społeczeństwo zaczyna się jej obawiać nie dlatego, że mogą stanąć elektrownie i inne przedsiębiorstwa, ważne dla życia kraju. Scargill, demagog i komunista, wcale się z tym nie kryje, że dąży do przewrotu społecznego, zaczynając od obalenia rządu konserwatystów nie drogą wyborów, ale przez doprowadzenie kraju do anarchii. Oto jego słowa wypowiedziane w czasie obecnego strajku: „Mamy tu żywy dowód, że klasa robotnicza musi tylko natężyć mięśnie i już będzie mogła doprowadzić rządy, pracodawców i społeczeństwo do zupełnego bezwładności”.

Jeszcze wyraźniej wypowiedział się obecny prezydent Związków Zawodowych, Ray Buckton. Atak skrajnej lewicy kierowany jest obok rządu przede wszystkim na policję. Buckton, przemawiając na zebraniu górników, uderzył w inny ton mówiąc do policjantów: „Bracia, porzućcie tę pracę. Gdy my uchwycimy władzę, powierzmy wam ochronę naszych interesów we właściwy sposób a nie w roli faszystów, jak się to wam nakazuje obecnie”.

Jasne, najczystszej wody nawoływanie do odmowy wykonania rozkazu i obiecywanie tej samej pracy, ale już w innym systemie, po rewolucji.

Przypuszczalnie w wielu krajach uznano by to za nawoływanie do zdrady i Buckton znalazłby się przed sądem lub w więzieniu, ale nie tutaj. Poważna prasa opublikowała tę wypowiedź bez komentarzy, rząd zupełnie ją zignorował. Wobec tego Buckton po-

sunął się dalej: udzielił wywiadu sowieckiemu dziennikowi *Trud*, organowi tamtejszych Związków Zawodowych, i powiedział: „W mojej opinii nasz kraj zamienia się w państwo policyjne”.

Wszystko to zaskakuje i zdumiewa, ale taka jest cena demokracji. O wszystkim decydują wyborcy, trzeba ich zdobyć i dlatego rząd jest bardzo ostrożny. Prawo zabrania wtórnego pikietowania przed zakładami pracy nie związanymi bezpośrednio ze strajkiem (stalownie, kopalnie, które pracują), ale władze nie egzekwują tego prawa drogą sądową i stąd tysiące policjantów, którzy chronią pracujących. Prawo mówi, że ogłoszenie strajku wymaga tajnego głosowania wszystkich członków danego związku, ale i tutaj rząd woli nie nalegać nasłuchując jak na ten temat wypowiada się zwyczajny człowiek.

Równolegle toczy się zacięta walka o dotarcie do społeczeństwa poprzez masowe środki przekazu. Na ogół tutejsza prasa jest przeciwna strajkowi, więc komuniści, poprzez drukarzy, próbują ją zmusić do uległości. W drukarniach wielkich pism pracują ludzie, którzy drogą strajków doprowadzili swoje zarobki do £1.000 tygodniowo, i oni uciekają się do tych samych metod w sprawie obecnego strajku. Wielki dziennik *Sun* nie ukazał się przez kilka dni, bo odmówił druku odpowiednio spreparowanego komunikatu, *Times* zgodził się na list do redakcji. George Holt, reprezentujący Związek Drukarzy, napisał w nim, że pani Thatcher kłamie i robi wszystko co może, by strajk przedłużyć.

Dezinformacja jest tradycyjną bronią komunistów. Cały strajk został spowodowany fałszywymi informacjami o planie, który jakoby przewiduje zamknięcie kilkudziesięciu kopalń i zwolnienie z pracy wielu tysięcy górników. W rzeczywistości ma się zamknąć kilka nieekonomicznych kopalń, rząd tylko w roku 1983 wydał na modernizację górnictwa 800 milionów funtów, a 20.000 starszych górników, wcześniej przechodzących na emeryturę, otrzyma wielotysięczne odszkodowanie.

Każdy ze strajkujących górników stracił już około £4.000, ich rodziny przestały płacić raty za domy, za samochody, za nowe meble, straciły zagraniczne urlopy, ale brną dalej, bo podnieca ich demagogia. Zraniono już 400 policjantów, aresztowano ponad 5.000 pikietarzy, bije się górników, którzy chodzą do pracy, ich żony otrzymują listy i telefony z pogrózkami, wybijają się u nich szyby, niszczy samochody. Oczywiście Scargill twierdzi, że jest to robota przebranych policjantów.

Jak się to wszystko skończy? Tu rzeczywiście jest teraz groźnie, bo konserwatyści przeżywają ciężkie chwile. Silny dolar obniżył wartość funta a nadmiar pieniędzy w obiegu zmusił Bank of England do podniesienia stopy procentowej aż o dwa i pół procent. Jednocześnie Izba Lordów odrzuciła projekt ustawy o zniesieniu Rady Wielkiego Londynu, co opóźni całą procedurę o rok, a sąd uznał, że zlikwidowanie związków zawodowych w tajnych biurach wywiadu w Cheltenham było przekroczeniem prawa.

To ostatnie uderzenie, po którym rozlała się fala demagogii,

zrobiło wrażenie przysłowiowego gwoźdźcia do trumny, ale dało rezultat zupełnie odwrotny.

Dwadzieścia lat temu zaczęło się wprowadzanie w życie najważniejszej chyba, powojennej emigracyjnej inicjatywy: tworzenie w Londynie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK-u).

Nie warto obecnie wracać do pytania czy pomysł był dobry czy zły, nie warto przypominać sporów, zarzutów, polemik i niekończących się dyskusji. POSK przetrwał najgorsze lata, istnieje, rozwija się, jego przyszłość rysuje się optymistycznie i dziś raczej należy zrobić próbę odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jak Ośrodek spełnia swoje zadania kulturalne?

O Bibliotece Polskiej napisano już tyle, że można ją pokwitować jednym zdaniem: jej byt został zabezpieczony; jej zbiory obejmują około 100 tysięcy tomów; korzystają z nich naukowcy i studenci z całego świata; posiada nowoczesny lokal; za kilka lat, gdy POSK obniży swoje zadłużenie, lokal ten zostanie powiększony.

Biblioteka to jednak tylko fragment kulturalnych zobowiązań Ośrodka. Daje on lokale Instytutowi Historycznemu Józefa Piłsudskiego, Polskiemu Uniwersytetowi na Obczyźnie, Polskiej Macierzy Szkolnej, Conrad Society, Polskiemu Towarzystwu Naukowemu, Księgarni SPK, Związkowi Pisarzy, Zrzeszeniu Plastyków Polskich, Centrali Bibliotek Ruchomych i wielu innym organizacjom. W POSK-u, prawie co dzień, odbywają się przedstawienia teatralne, koncerty, odczyty, wykłady i wieczory artystyczne w pięciu salach: teatralnej, malinowej, szafirowej, wykładowej i w dawnej kawiarni. Co się w nich dzieje? Zamiast subiektywnych opinii warto jest, w formie przykładu, zrobić zestawienie odbytych imprez za okres półroczny, od 1 stycznia do 30 czerwca bież. roku. Imprez wyłącznie kulturalnych.

Sala teatralna (w omawianym okresie 250, obecnie 300 miejsc). Wystawiono w języku polskim trzy sztuki: *Snieg* — Przybyszewskiego, *Wielki człowiek do małych interesów* — Fredry i *Kabaret polityczny*. Łącznie 27 przedstawień.

Wystawiono w języku angielskim dwie sztuki: *They* — Witkacego i *Hamleta* — Shakespeare; dano cztery przedstawienia operowe (ang. zespół *Beaufort*) i sześć wieczorów taneczno-wokalnych *British Arts Awards*. Łącznie 28 przedstawień.

Ponadto dano tam sześć koncertów, jeden występ zespołu śpiewu i tańca, siedem seansów filmowych, dwa wieczory artystyczne lokalnych angielskich szkół, trzy akademie i Zjazd Polonii Jutra, który dwukrotnie wykorzystał tę salę. Razem 76 polsko-angielskich wieczorów w ciągu 6 miesięcy, przy udziale około 10.000 widzów. Prawie w każdą niedzielę w sali teatralnej odbywała się jakaś polska impreza.

Sala malinowa (250 miejsc). Była wykorzystana 27 razy na odczyty, teatr estradowy, koncerty, taniec i dyskusje Polonii Jutra. Wielokrotnie korzystali z niej Brytyjczycy: *Western Music Organ Society*, *British Arts Awards* i *Institute of Linguists*.

Dwie inne, mniejsze sale, szafirowa i dawna kawiarnia (po 70 miejsc). Wykorzystano je 45 razy na wykłady języka polskiego dla obcych, na odczyty, wyświetlanie filmów, wystawy i dyskusje Polonii Jutra. Z brytyjskich organizacji korzystały z niej *British Arts Awards* i *Institute of Linguists*.

Sala wykładowa (50 miejsc) to przede wszystkim domena Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO), który ma tam 5 wykładów tygodniowo w godzinach wieczornych. Ponadto POSK wynajmuje tę salę w godzinach popołudniowych na inne wykłady. Razem, w ciągu sześciu miesięcy, wykorzystano ją ponad 150 razy.

A jest jeszcze *sala wystawowa*, którą zajmuje się Zrzeszenie Plastyków. Przez cały okrągły rok jest w niej jakaś wystawa: malarstwa, rzeźby, grafiki, ceramiki. Wystawiają przede wszystkim Polacy, ale nie brak i innych.

Można wokół podanych powyżej cyfr rozwinąć polemikę, można je skrytykować i powiedzieć, że należało jeszcze więcej osiągnąć. Ale cyfry się obronią. Wykonano olbrzymią pracę.

Na tle polskich klęsk, nonsensów i odwrotów — jakież to prawdziwe zwycięstwo.

W ostatnim „Liście z Londynu” poruszyłem problem polonistyki na terenie Wielkiej Brytanii, biorąc jako przykład pracę *School of Slavonic and East European Studies* londyńskiego uniwersytetu. Praca ta wymaga szerszego omówienia.

Wspomniana wyżej Szkoła powstała w roku 1915 i jest najstarszą uczelnią na terenie Wielkiej Brytanii mającą w programie polskie studia. Zatrudnia ona trzech wykładowców na pełnym etacie i siedmiu dalszych, specjalnie zainteresowanych polską problematyką. Przede wszystkim wyklada się polską literaturę, język i historię a także filologię, system nauczania, wiedzę polityczną, ekonomię, geografę i socjologię. Na czele Szkoły stoi dr Michael A. Branch, specjalista od fińskiego folkloru i sąsiednich ugrofińskich ludów w północnej Rosji.

W ramach sekcji polskiego języka i literatury stale wykładają: dr Norman Davies, docent dr Stanisław Eile i Bolesław Mazur. W okresie 1983/1984 wykladał dorywczo dr Krzysztof Dybciak z Warszawy, pod koniec tego roku przyjedzie z Krakowa nowy lektor i będzie dzielić swój czas pomiędzy Szkołą i Oksfordem.

Studenci robiący pierwszy dyplom słuchają wykładów z polskiej literatury, od Średniowiecza i „Wieku złotego” do chwili obecnej. To samo dotyczy historii, od Mieszka I-go do „Solidarności” włącznie.

Szkoła poświęca wiele czasu na kontakty z polskim społeczeń-

stwem w Wielkiej Brytanii, pomagając Macierzy Szkolnej w organizowaniu kursów i egzaminów z języka polskiego, urządzając konferencje i spotkania z nauczycielami. Dużym sukcesem były międzynarodowe sympozja związane ze stuleciem śmierci Norwida i czterdziestolecie tragicznego zgonu gen. Sikorskiego. W ramach Szkoły opracowuje się temat „Polska Emigracja w Wielkiej Brytanii w latach 1939-1950”. Fundusze na cztery lata zapewniła Fundacja M. B. Grabowskiego, główne badania przeprowadza dr Keith Sword, znający dobrze język polski.

Ze Szkołą wiąże się także publikacje dotyczące polskiej problematyki: dr. N. Daviesa, *God's Playground — a History of Poland*, dr. S. Eile, *Stefan Żeromski: kalendarz życia i twórczości*, i B. Mazura, *Colloquial Polish*.

Rozwój prac Szkoły związanych z polskimi sprawami stwarza nadzieje na osiągnięcie stałej katedry polonistyki w niedalekiej przyszłości.

Dzięki amerykańskiemu wydaniu mojej książki o *Enigmie* skontaktowała się ze mną wytwórnia filmowa, *Columbia Pictures*. Nakręca fabularny film o sekretach Drugiej Wojny Światowej, chce mieć fragment dotyczący *Enigmy*.

Kilka tygodni temu wraz z Tadeuszem Lisickim, który dzięki swej wiedzy technicznej umożliwił mi napisanie książki, znaleźliśmy się w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego. Tam przechowuje się *Enigmę*, którą Lisicki ofiarował Instytutowi i którą, właśnie na użytek *Columbia Pictures*, naprawił. Ze Stanów przyjechał reżyser wraz z całą ekipą techniczną, oraz znany aktor, Jack Pallance, główna postać fabuły filmowej. Udostępniono nam skrypt, nie podobał się nam, zabrakło w nim wyraźnego akcentu o Polakach, którzy złamali sekret niemieckiej maszyny do szyfrowania, ale reżyser nie chciał ustąpić.

W pewnym momencie do sali wszedł olbrzymi mężczyzna o bardzo charakterystycznych rysach twarzy. Poznaliśmy w nim bohatera wielu filmów. Podszedł do nas, wyciągnął rękę i powiedział zupełnie niezłą polszczyzną: „Jak się panowie macie?”. Okazało się, że jego matka, Polka, urodziła się we Lwowie a ojciec, Ukrainiec, w Kijowie. Gdy się dowiedział, że ja także urodziłem w Kijowie, po raz drugi wyciągnął do mnie dłoń. Oczywiście o historii *Enigmy* nie słyszał, ale gdy przedstawiliśmy mu nasz problem ze skryptem, zrobił zdecydowany ruch dłonią. „Nie bójcie się, powiem przy nagrywaniu co trzeba”.

Odpadły wszystkie trudności, reżyser na miejscu przerobił skrypt, przy fotografowaniu pracującej *Enigmy* Jack Pallance bardzo mocno podkreślił, że jej sekret złamali polscy kryptoanalizy i że dzięki temu Brytyjczycy mogli w czasie wojny czytać najtajniejsze niemieckie depesze. Zrobiono także wiele zdjęć różnych sal Instytutu.

Londyn, 1 sierpnia 1984

Józef GARLIŃSKI

Dialog : Europa Zachodnia — USA — Japonia

Mała miejscowość Alpbach w Tyrolu stała się latem br. miejscem nie lada wydarzenia. W dniach 7-13 lipca odbył się tutaj międzynarodowy kongres pod tytułem „Dialog Europa Zachodnia — USA — Japonia”, z licznym udziałem wielu wybitnych polityków oraz przedstawicieli świata kultury, nauki i kół finansowo-przemysłowych z Ameryki, Europy oraz Japonii. Inicjatorem oraz gospodarzem Kongresu był znany ośrodek badań międzynarodowych w Wiedniu „Österreichisches College” we współpracy z Komisją Wspólnoty Europejskiej w Brukseli. Jak już sama nazwa wskazuje, głównym zadaniem Kongresu miała być próba nawiązania konstruktywnego dialogu, a właściwie trialogu, między poszczególnymi blokami sojuszu krajów zachodnich zręczonych, pomimo pewnych obrębności kulturowo-regionalnych, mocnymi więzami ideałów i tradycji demokratycznych. Nie bez znaczenia jest fakt iż kraje te, razem wzięte, przedstawiają największy potencjał ekonomiczny i najwyższy stopień zaawansowania technicznego w obecnym układzie sił w świecie. Głównym przedmiotem obrad Kongresu miało być uporządkowanie spraw „wewnętrznych”, a więc zbliżenie kulturowe czy też wyjaśnienie palących problemów polityczno-ekonomicznych, celem głębszego zrozumienia oraz zacieśnienia wzajemnej współpracy. Niemniej obecny stan „zimno-wojenny” w stosunkach Wschód-Zachód zaciążył mocno nad obradami Kongresu.

Na program Kongresu składały się cztery, równoległe przebiegające sesje: polityczna, ekonomiczna, socjologiczna oraz kulturowo-historyczna. Ograniczę się tutaj do omówienia części politycznej, nie tylko ze względu na doniosłość poruszanych tematów, lecz również na niewątpliwie największy ciężar gatunkowy tej właśnie części obrad. Forum polityczne podzielone było na trzy sesje:

- 1) Wspólne cechy i podobieństwo systemów politycznych Europy Zachodniej, USA i Japonii;
- 2) Kryzys instytucji politycznych oraz systemów stronnictw politycznych w krajach zachodnich;
- 3) Punkty zbieżności i wspólnota interesów w sferze bezpieczeństwa zbiorowego Zachodu, od Atlantyku do Pacyfiku.

Obradom forum politycznego przewodniczyli: Dr A. Mertes, Minister Stanu w Min. Spraw Zagranicznych RFN; Paul Channon, Minister Handlu Wielkiej Brytanii; Dr K. Narjes z ramienia Komisji Wspólnoty Europejskiej (Bruksela); T. Nakajima,

Wice-Min. Spraw Zagranicznych Japonii; Dr W. Schneider, Podsekr. Stanu do Spraw Bezpieczeństwa (Dept. of State USA); Prof. H. Sonnenfeldt z Brookings Institute (były radca Dept. Stanu).

Tematy poruszane w sesji pierwszej sprowadzały się zasadniczo do akademickich debat odnośnie systemów polityczno-ustrojowych w krajach zachodnich. Za jeden z najbardziej ciekawych uważam odczyt Prof. K. Shella, dyrektora Ośrodka Studiów Północno-amerykańskich z Frankfurtu, który poruszył zagadnienie związku między kulturą narodu i jego politycznym systemem, wychodząc z założenia pojęcia tzw. „kultury politycznej”. Koncept systemu politycznego (jako podsystemu Narodu-Państwa) jest, według Shella, pojęciem w pewnym sensie niezależnym od bazy kulturowej danego narodu, albowiem jak wyjaśnić istnienie liberalno-demokratycznych systemów w krajach kulturowo tak różniących się jak USA, Anglia, Francja, Niemcy i Japonia?

Drużna sesja zajmowała się rzekomym kryzysem instytucji politycznych Zachodu. Reasumując, problem ten został ujęty w następujących punktach:

— W pierwszym rzędzie chodzi o kryzys instytucji państwa. Jesteśmy świadkami powolnej erozji poczucia obowiązku obywatelskiego wobec państwa, które przez większość społeczeństwa uważane jest za swego rodzaju „instytucję usługową” (*service corporation*).

— W konsekwencji parlament stał się dziś instytucją zajmującą się głównie sprawami powiększania przywilejów (*welfare state*) ludności (w odróżnieniu od czasów przeszłych, gdy zajmował się on sprawami bardziej wzniosłymi, ogólnonarodowymi).

— Partie polityczne w krajach demokracji zachodnich — pomijając odrębności regionalne — przechodzą przez ogólny kryzys wartości tradycyjnych, a w sumie powolnej utraty zaufania i zobojętnienia coraz to większej części wyborców.

Ma się rozumieć iż zagadnienia te przedstawiają się inaczej w Japonii niż w państwach Europy i w Ameryce. Właśnie dyskusje i klaryfikacje istniejących różnic należy uznać za jeden z najbardziej pożytecznych aspektów tych sesji i osiągnąć praktycznych Kongresu, gdyż pogłębienie wzajemnego zrozumienia odrębnych infrastruktur systemowych jest jednym z nieodzownych warunków na drodze większego, i jakże potrzebnego zbliżenia politycznego Japonii z krajami Europy i Ameryki.

Nie ulega wątpliwości iż najważniejszą częścią forum politycznego była sesja poświęcona omówieniu przyszłości współpracy w sprawach bezpieczeństwa zbiorowego, w obliczu zagrożenia ze strony bloku sowieckiego. Dwa zasadnicze tematy wysunęły się tu na czoło obrad. Po pierwsze — wyjaśnienie i sprecyzowanie elementów podstawowych wiążących USA i Europę Zachodnią z Japonią w jeden, skoordynowany sojusz bezpieczeństwa zbiorowego (*integrated security alliance*). Jak dotąd, „trójkąt sojuszniczy” USA — Europa — Japonia opiera się

na bazie dwu formalnych układów: NATO (wiążącego USA z Europą), oraz Układu Sojuszniczego USA — Japonia. Brak na razie „trzeciego ramienia” w trójkącie, a więc formalnego układu między Europą Zachodnią i Japonią. Głównym problemem w tej luce, zarówno dla Europy jak i Japonii, jest sprawa pełnego dobrojenia, jako warunku zasadniczego przed rozpatrzeniem zawarcia formalnego układu. Drugim głównym tematem było zagadnienie przyszłego kierunku polityki USA jako mocarstwa centralnego w trójkącie sojuszniczym. Wypląnęła tu sprawa rzekomej zmiany kursu polityki USA, w powolnym przechylaniu szali ciężaru gatunkowego sojuszów z transatlantyckiego (z Europą) na pacyficzny (z Japonią). Obawy takie formułowało wielu delegatów europejskich, a W. Schneider (Dept. of State) próbował je rozwiać jako absolutnie bezpodstawne. Według jego wyjaśnień nie ma żadnego przechylenia na korzyść Japonii, lecz równoważenie punktów ciężkości w powiązaniach sojuszniczych USA. Ameryka pozostaje nadal gotowa do przyjęcia z pomocą Europie, lecz jest gotowa w równej mierze do udzielenia takiej samej pomocy i Japonii (co rzekomo nie było wcale taką pewnością jeszcze 10-15 lat temu).

Oceniając ogół wypowiedzi prelegentów zachodnich odnośnie obecnego kryzysu w stosunkach ze Związkiem Sowieckim — przeważał zwykły i znany ton „Realpolitik”, z podkreśleniem konieczności jak najprędszego wznowienia dialogu z ZSSR, w przeciwieństwie do stereotypowego umiarkowania polityków anglosaskich i europejskich, wystąpienia Japończyków zadziwiały polotem, otwartością poglądów oraz niezwykłą ostrością ocen stosunków z Sowietami. Wielkie poruszenie i ożywioną dyskusję wywołał odczyt dr. Fujimaki (dyrektor Biura Spraw Międzynarodowych w Tokio), w którym przedstawił on scenariusz przyszłości świata zmierzającego nieuchronnie do konfliktu wojennego. „Historia ostatnich dwóch wojen uczy nas — stwierdził — iż wyścigi zbrojeniowe oraz poczynania reżymów totalitarnych prowadzą nieodwołnie do wojny. Nie ma żadnych podstaw do sądzenia, iż obecna sytuacja jest wyjątkiem. Chłodna i naprawdę rzeczowa analiza faktów wykazuje, iż ZSSR dąży konsekwentnie do wojny, a kto tego zrozumieć nie chce, kieruje się 'pobożnymi życzeniami', a nie wymową faktów. Tylko taka ocena polityki ZSSR powinna stanowić zasadniczą przesłankę w formowaniu polityki aliantów zachodnich wobec ZSSR”. Słowo Polska oraz bezpośrednio poruszenie kryzysu polskiego znalazły swe miejsce tylko w wystąpieniach japońskich mężów stanu. Już w pierwszym dniu obrad, japoński Wiceminister Spraw Zagranicznych Nakajima ostro zaatakował sowiecką ekspansję militarną jako główne źródło zagrożenia pokoju na świecie. Jako problem numer jeden w obecnym świecie konfliktów wysunął sowiecką agresję w Afganistanie oraz brutalną i stałą interwencję sowiecką w Polsce, a dopiero na drugim miejscu konflikt na Bliskim Wschodzie.

Wielkim zaskoczeniem było wystąpienie innego polityka japońskiego, byłego Wiceministra Spraw Zagranicznych Shinsaku

Hogena (obecnie Dyrektora Badań Polityki Narodowej Japonii przy rządzie w Tokio), w którym mówił o sowieckiej okupacji prawie jednej trzeciej kontynentu europejskiego. Cytuję do słownie:

„Pozwolę sobie tutaj przypomnieć iż granice Europy nie kończą się na Odrze, ani na Łabie czy Dunaju. Prawie jedna trzecia Europy znajduje się pod okupacją sowiecką, gdzie ludzkie jednostki są z dnia na dzień brutalnie deptane, oraz gdzie byt cywilizacyjny i stopa życiowa ludności pogarszają się z każdym następnym rokiem sowieckiego panowania. Polska stanowi tu najbardziej jaskrawy przykład bezwzględności dławienia naturalnych dążeń tego dzielnego narodu do samostanowienia i niepodległości. 20 dywizji sowieckich z jednej strony (NRD) oraz trzy razy tyle ze wschodu mówią same przez się o tragizmie sytuacji tego nieszczęśliwego kraju. Jest to stan rzeczy nader tragiczny, nienormalny, stanowiący główną przyczynę choroby politycznej Europy, główne źródło konfliktu w Europie oraz zagrożenia pokoju na świecie. Jest to problem trudny, lecz tym bardziej nie wolno o nim ani przez chwilę zapominać”.

W prywatnej rozmowie jaką później miałem z Hogenem, przekonałem się, iż jest on nie tylko świetnym znawcą Związku Sowieckiego, lecz również doskonale orientuje się w historii i problematyce politycznej Polski oraz innych krajów bloku sowieckiego. Jego zdaniem największym problemem Zachodu wobec ZSSR jest niezdolność zrozumienia założeń polityki sowieckiej opartych na zasadach skrajnej przebiegłości i oszustwie.

Rozmowy z Hogenem i innymi Japończykami utwierdziły mnie w przekonaniu o ogromnych zmianach jakie zaszły w ciągu niespełna dekady w założeniach polityki zagranicznej Japonii. Niestety, doniosłość tych zmian tylko powoli zaczyna przenikać do świadomości polityków zachodnich. Kraje zachodnie stają tu przed zasadniczym pytaniem, a mianowicie czy są rzeczywiście gotowe do zaakceptowania Japonii jako autentycznego, wartościowego partnera w ramach sojuszu bezpieczeństwa zbiorowego, od Atlantyku do Pacyfiku. Wiele spraw wyjaśniono w trakcie Kongresu, dużo jest jeszcze do zrobienia. Przyszłość pokaże, czy Amerykę i Europę będzie stać na wykazanie większej wizji politycznej.

Janusz MONDRY

Korespondencja z Rzymu

O WATYKANIE BEZ NAMASZCZENIA

„Bóg posłużył się złościwością ludzi i podziałami wśród Włochów” — tę nieco zgrzybliwą reakcję kardynała Enrique y Tarana

con na wybór Jana Pawła II przytacza Benny Lai, wybitny włoski watykanista. Jego książkę* pewien wysoki dygnitarz Kurii Rzymskiej w liście do autora określił jako „cenny wkład do prawdy historycznej zaprezentowany w miłej formie”. Kardynał hiszpański miał na myśli rozłam, jaki nastąpił w czasie ostatniego konklawe pomiędzy dwiema kandydaturami, Siriego i Benelliego, oraz nieugiętą opozycję licznych elektorów wobec jednego względnie drugiego kandydata. Inny kardynał hiszpański, Arnau, skrytykował w czasie jednego ze zebrań generalnych, przygotowujących to konklawe, „nadmierny mistycyzm konfratrów w przypisywaniu elekcji papieża Lucianiego interwencji Ducha Świętego i mówił o sprzecznych tendencjach w kolegium kardynalskim”. Była to pierwsza bezpośrednia aluzja do „bezwzględnej walki, jaka toczyła się już w sierpniu (czyli na poprzednim konklawe) przeciw kandydaturze kardynała Siriego”. W dniach bezpośrednio poprzedzających konklawe „kandydatura Wojtyły nie istniała” — stwierdza autor i wspomina, że kardynał Wyszyński był tak pewny elekcji Siriego, iż powiedział jego sekretarzowi: „twój kardynał zostanie papieżem”.

Jak wielka była nieufność wobec papieża cudzoziemca, dowodzi choćby opinia kardynała holenderskiego Alfrinka: „Najgorszy papież włoski będzie zawsze lepszy od najlepszego papieża zagranicznego”. Kiedy na skutek impasu w kolejnych głosowaniach kardynałowie Koenig, Król i Colombo rozpoczęli sondaż na rzecz kandydatury arcybiskupa krakowskiego, nie brakowało kardynałów, którzy się wahali. Kardynał Vagnozzi, komentując tę chwiejność, stwierdził: „Nie dlatego, że pochodził on z kraju komunistycznego. Trudności wystąpiły u tych, którzy niepokoją się o przyszłość papieżstwa”. W końcu jednak, co ujawnili Francuz Marty i Brazylijczyk Vilela, wszyscy kardynałowie włoscy przyjęli spokojnie ostateczne rozwiązanie, tzn. oddanie głosu na kandydaturę Karola Wojtyły. Zdaniem autora o jego wyborze przesądził fakt przynależności do „Kościoła solidnego z punktu widzenia doktrynalnego, zdyscyplinowanego i posłusznego wobec Stolicy Apostolskiej”.

Autor ogranicza się, jeśli chodzi o obecny pontyfikat, do rekonstrukcji tła, przygotowań i kulisów samej elekcji. Wychodzi bowiem z założenia, iż tylko wtedy, kiedy mamy do czynienia z faktami dokonanymi „sekret musi ustąpić na rzecz wymogów opinii publicznej”. Kiedy papież żyje „sekrety”, rzucające światło na trwający pontyfikat, muszą czekać na historyczną weryfikację. Tytuł książki tłumaczy się zarówno „prowokacją edytorską”, tzn. względami komercyjnymi, jak i tym, że „sekret” w słowniku włoskim nie oznacza jedynie rzeczy utajonej, lecz także rzecz znaną tylko niewielkiej liczbie osób. A książka zawiera kopalnię tego typu „sekrétów”, czyli mało znanych lub wręcz nieznanych faktów, epizodów i anegdot odnoszących się do czterech pontyfikatów: Piusa XII, Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła I.

* „Les secrets du Vatican”, Hachette, Paris 1983; „I Segreti del Vaticano — da Pio XII a papa Wojtyła”, Laterza 1984.

Autor przybliżył nam sylwetki tych papieży, rzuca światło na ich stosunki z Kurią, analizuje przeciwstawne kandydatury na kolejnych konklawe, poufne więzi z włoskim światem politycznym i tajniki finansów watykańskich, poczynając od słynnej afery bankiera Sindony związanego z mafią (napisał *nota bene* na ten temat osobną, udokumentowaną książkę, którą recenzowałem kiedyś na tych łamach). Odtwarza te epizody na podstawie poufnych rozmów i zwierzeń, ale przede wszystkim dzięki wytrwałej i poważnej obserwacji oraz niezawodnej intuicji, jaką zdobywa się jedynie poprzez długoletnie doświadczenie i obcowanie ze światem watykańskim (w jego przypadku z górą 40 lat). Niektórych naszych rodaków razi nie tylko termin „sekret” w tytule, ale również podtytuł: „Od Piusa XII do papieża Wojtyły”. Powinni jednak pogodzić się z tym, co podkreśla autor, któremu na to polskie uczulenie zwróciłem uwagę, że we Włoszech Jan Paweł II jest bardziej znany lub popularny właśnie jako „papa Wojtyła”. A *propos* jeszcze watykańskich „sekrétów”: tych prawdziwych, tzn. zatajonych, jest w Watykanie niewiele, zdaniem włoskiego ministra spraw zagranicznych Andreottiego, wielkiego konesera i miłośnika problematyki watykańskiej. W czasie prezentacji tej książki w klubie prasy międzynarodowej przypominał on m.in. epizod świadczący o tym, że sekrety bywają ujawniane przez samych kardynałów — uczestników konklawe. Np. kardynał Segura zdemontował z ambony rzekomo jednomyślny wybór Piusa XII, stwierdzając oschle: „jest rzeczą pewną, iż mego głosu nie dostał”.

Z lektury tej książki nasi rodacy, zarówno w kraju, jak i z emigracji, tak świeccy, jak i duchowni, mogą odnieść duże korzyści. Wydanie jej w polskim przekładzie uważam więc nie tylko za pożądane, ale nawet za konieczne ze względów pedagogicznych. Stanowi ona dowód, że o papieżach i o Watykanie można pisać bez namaszczenia i bez nadmiernej rewerencji, choć z szacunkiem i powagą, bez nieznośnej tendencji hagiograficznej, zamazującej prawdę, natomiast ze znajomością rzeczy opartej na wszechstronnej analizie i rzetelnej interpretacji faktów. Autor jest dziennikarzem i ekspertem o orientacji laickiej, wychowanym w typowej włoskiej atmosferze zdrowego antyklerykalizmu, obecnej duchowi zakrytści, a uwrażliwionej na otwartą postawę i ducha tolerancji. Na moją prośbę autor określił się sam jako obserwator, który stara się być bezstronny, nie pretenduje do reformowania Kościoła ani z pozycji lewicowej, ani prawicowej. Píše nie po to, by potępiać lub rozgrzeszać, nie po to, by osądzać, lecz wyjaśniać. Książkę napisał, by „uniknąć wyrzutów sumienia z powodu milczenia”.

Kiedy tydzień po śmierci Pawła VI kardynał Siri odprawiał nabożeństwo żałobne, powiedział do braci kardynałów: „zadanie jakie nas czeka nie byłoby należycie wypełnione, jeśli powiedzielibyśmy: ‘o tym pomyśli Duch Święty’ — i dalibyśmy upust pierwszemu impulsowi”. W książce nie brak analogicznych wypowiedzi i epizodów świadczących o zmyśle realizmu członków Ko-

legium Kardynalskiego. Są także inne, świadczące o poczuciu humoru i swoistej autoironii włoskich papieży i kardynałów. Jan XXIII o swoim sekretarzu ks. Capovilla: „jest zdolny do dawania rad Duchowi Świętemu”. Autor przybliży czytelnikowi fascynujący, „tajemniczy” i na pewno unikalny świat Kurii Rzymskiej, którego przedstawiciele potrafili śmiać się z siebie samych i z własnego środowiska. Piszę w czasie przeszłym nie tylko dlatego, że autor odnosi się do przeszłości, ale również dlatego, że z jego rekonstrukcji wynika, iż wraz z drugą połową pontyfikatu Pawła VI to poczucie humoru, ironii i pradawnej kaustyczności — która nie omijała nawet osoby papieża — w dużej mierze zanikło. Autor pisze o tym z nieukrywaniem żalem: „Watykan pogrążył się w konformizmie, a jego mieszkańcy przekształcili się w poddanych bez fantazji”. Potrafią jednak — moim zdaniem — nadal zachować dystans do własnych poczynań, zwłaszcza jeśli rozpoczęli karierę przed obecnym pontyfikatem.

Godnym uwagi zjawiskiem jest włoska, a raczej rzymska (w sensie Santa Romana Chiesa) tolerancyjność. Jednym z najbardziej słuchanych doradców Pawła VI stał się kardynał Siri, arcybiskup Genui, zdecydowany przeciwnik jego kandydatury. Autor tłumaczy to tym, że papież chciał poznać opinię niedawnego przeciwnika, co „dawało mu pewność”. Paweł VI znajdował się nieraz w rozterce, wahał się przed podejmowaniem decyzji — Siri natomiast nie był dręczony wątpliwościami.

Czytelnika polskiego zainteresuje na pewno to, co autor ma do powiedzenia na temat tzw. watykańskiej *Ostpolitik*. Ta problematyka pojawiła się na porządku dziennym obrad zgromadzenia generalnego przygotowującego konklawe po śmierci Pawła VI. Doszło wówczas do krótkiego spięcia pomiędzy kardynałami Wyszynskim i Lekaiem w związku z zastrzeżeniami Prymasa Polski odnośnie braku gorliwości pastoralnej i słabości episkopatu Węgier w stosunkach z reżimem komunistycznym. Kardynałowie, uczestnicy tego zgromadzenia, zweekslowali jednak dyskusję na inne, bezpieczne tory. Mieli bowiem powody do tego, by „nie dopuścić do pogłębienia rozbieżności pomiędzy Wyszynskim i Lekaiem i do przekształcenia ich w proces wobec pontyfikatu Pawła VI”. W Kurii Rzymskiej, w rzeczy samej, rezultaty *Ostpolitik* Pawła VI, łącznie z układem zawartym z Węgrami w 1964 roku i wizytą Podgornego w Watykanie w 1968 roku, uznawano za niedostateczne w zestawieniu z zamierzeniami, a przez pewien nawet odłom za rodzaj kapitulacji. Paweł VI i Casaroli, przyszły kardynał i Sekretarz Stanu, zdawali sobie sprawę z tych krytycznych reakcji. Autor, ujawniając treść rozmowy przeprowadzonej z Casarolim, pisze, że Paweł VI długo się wahał, zanim zdecydował się na podjęcie kontaktów z rządami kraju bloku sowieckiego. O tej decyzji przesądziło pragnienie zmniejszenia szkód wyrządzanych strukturom kościelnym. Casaroli przyznał, że w Polsce napotkał na trudności, na skutek „autorytarnej osobowości” kardynała Wyszynskiego, a na Węgrzech z powodu uporu kardynała Mindszientiego, który odmawiał

stanowczo dobrowolnego opuszczenia aresztu domowego w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie. Ta kontrowersyjna i chwiejna *Ostpolitik* budziła podejrzenia dyplomatów sowieckich. Jeden z nich powiedział pewnemu zakonnikowi z Genui, który pośredniczył pomiędzy kardynałem Sirim i emisariuszami sowieckimi: „Otwierają się drzwi, widać twarze, ale nie wiemy, czy chodzi o rzeczywistość, czy też o pozory”.

Kardynał Siri, rzecz interesująca, już od roku 1961, czyli w czasie pontyfikatu Jana XXIII, rozpoczął bardzo utajone rozmowy z dyplomatami sowieckimi. Z przebiegu tych rozmów zdawał sprawę jedynie papieżowi, który go zachęcał i upoważniał do podtrzymywania tych nieoficjalnych kontaktów. W roku 1974 Siri udał się do Moskwy i Leningradu na czele grupy pielgrzymów genueńskich i był witany wylewnie przez przedstawicieli patriarchatu prawosławnego i władz państwowych. Po powrocie przekazał Pawłowi VI memoriał, w którym „przedstawił swe myśli na temat sposobów ułożenia stosunków z Sowietami”. Jego zdaniem trzeba przede wszystkim rozumieć mentalność Rosjan i należycie doceniać ich stałą troskę o bezpieczeństwo granicy zachodniej. Także Paweł VI zalecił Sirmiemu kontynuowanie kontaktów z przedstawicielami Sowietów poza normalnymi kanałami dyplomacji watykańskiej. Rola, jaką odegrał Siri w przygotowaniu i realizacji watykańskiej *Ostpolitik* jest ważna również dlatego, że rozwiewa mit, iż ZSSR faworyzuje konserwantów „postępowych”, a nie ma jakoby zaufania do konserwatystów. Jak wiadomo jest wręcz odwrotnie, a odnosi się to zarówno do polityków zachodnich, jak i do przedstawicieli Kościoła.

Mimo że autor odżegnuje się od analizowania spraw odnoszących się do obecnego pontyfikatu — oprócz „faktów dokonanych”, czyli rekonstrukcji tła i przebiegu konklawe — zapytałem go, co sądzi o często spotykanym zarzucie, iż w przeciwieństwie do papieży włoskich Jan Paweł II nie tylko nie jest oswojony z mechanizmami Kurii, ale wykazuje ponadto pewną alergię do tych spraw. Rodzi to — według niektórych obserwatorów wewnątrz Kurii i poza nią — zjawisko pewnej dwutorowości. Odpowiedź: „Papież Wojtyła nadał pontyfikatowi specyficzne piętno i odmienny wymiar od tradycyjnego. Paweł VI w ciągu 16 lat odbył 10 podróży apostolskich — były to jednak fakty wyjątkowe. W obecnym pontyfikacie stanowią one regułę, zasadniczy trzon, podczas kiedy działalność Kurii Rzymskiej ulega ograniczeniu (po włosku *viene ridimensionata*). Ten inny wymiar pontyfikatu wymaga jednak odmiennych struktur dostosowanych do nowych potrzeb, to znaczy do tego nowego wymiaru. Tych struktur dotąd brak”. Jak zawsze ostrożny i wyważony, nie chce wydawać pochopnych sądów o obecnym pontyfikacie. Jeśli miałby szukać jakiegoś punktu odniesienia, to przypomina mu pontyfikat Leona XIII, który „słuchał różnych opinii, ale decydował w samotności”.

Kraj

Wywiad z NOW-ą

Piotr PRZEGORZAN: — *Mamy już pierwsze efekty słynnej narady w KC, na której urzędnik Wydziału Kultury do spółki z przedstawicielem Zespołu Pisarzy Partyjnych ostro skrytykowali państwowych wydawców. Powrót do systemu „czarnych list”, czerwone światło dla Miłosza, Bułhakowa i tłumaczeń z Zachodu oraz preferencje, czyli w nowomowie „zielone ścieżki szybkiego druku”, dla partyjnych. Co na to NOW-a? Czy jesteście w stanie wydrukować te wszystkie książki, które z powodów pozamerytorycznych odrzucą państwowi wydawcy?*

NOW-a: — Tak, technicznie jesteśmy w stanie. Ale nasze ambicje sięgają dalej. Nie zamierzamy uzupełniać luk w pierwszym obiegu, ale budować obieg drugi. Niezależny i wobec oficjalnego — alternatywny. Dziś sytuacja jest inna niż przed Sierpnem, kiedy tylko nieliczni decydowali się na współpracę z oficyną podziemną; dziś odmowa kolaboracji z państwowymi środkami przekazu jest zjawiskiem powszechnym. Tak wśród pisarzy i dziennikarzy, jak i aktorów, muzyków, plastyków czy naukowców. Ludzie ci nie mają złudzeń, że margines swobody w oficjalnych instytucjach kulturalnych i oświatowych będzie się — jak utrzymują władze, w miarę „stabilizowania sytuacji społeczno-gospodarczej” — rozszerzał. Że pewien liberalizm, jaki można było zaobserwować jeszcze w latach 1982-1983 w państwowych wydawnictwach, jest elementem jakiejś taktyki wobec środowisk intelektualnych, a nie zwykłym, biurokratycznym niedopatrzaniem. Aresztowanie Marka Nowakowskiego rozwiało chyba ostatnie złudzenia. Partia oświadczyła twardo, że ruch wydawniczy jest naczelnym ogniwem frontu ideologicznego. Jak front, to walka. I to już nie walka z pojedynczymi książkami, ale walka

o całokształt kultury narodowej. Intencje władz są przejrzyste: oglupić, zsowietyzować, opornych wziąć głodem albo posłać za kraty. Główny kierunek społecznej samoobrony jest równie jasny — nie dać się zsowietyzować, upodlić, złamać... Stworzyć społeczeństwo alternatywne. Bogate w niezależne inicjatywy kulturalne i bogate tymi inicjatywami.

P.P.: — *Jakie jest miejsce NOW-ej i innych wydawnictw niezależnych w tym ruchu społecznej samoobrony?*

NOW-a: — Jesteśmy jego elementem, a równocześnie sami tworzymy pewien ruch społeczny. NOW-a — podkreślaliśmy to wielokrotnie — nie jest zwykłym wydawnictwem, które opierałoby się na komercyjnej zasadzie: wydawca — klient. Jesteśmy ruchem, który ma ambicję swymi wpływami jak największej liczby sympatyków, który na samym dole drabiny konspiracyjnej chce doprowadzić do zatarcia wszelkich różnic pomiędzy czytelnikami a współpracownikami oficyny. Który pozostaje otwarty na wszystkie cenne inicjatywy.

P.P.: — *Jak można pogodzić otwartość z wymogami konspiracji?*

NOW-a: — Można, przy zachowaniu pewnych reguł. Pierwszą jest ochrona bazy poligraficznej. Służy temu decentralizacja, podział oficyny na liczne, luźno ze sobą współpracujące ogniwa, brak jednego zakonspirowanego centrum kierowniczego, którego aresztowanie paraliżuje działalność całego wydawnictwa.

P.P.: — *Widzę, że wyciągnęliście wnioski z 13. XII...*

NOW-a: — Owszem.

P.P.: — *...kiedy to wskutek przyjętej przez was zasady jawności działania internowano całe kierownictwo i kilkadziesiąt współpracowników Oficyny.*

NOW-a: — To nie było tak. Jawność działania kolegium redakcyjnego nie wynikała z naszej niefrasobliwości, stanowiła tylko publiczne potwierdzenie faktów, które i tak były znane SB. W ciągu 4 lat istnienia NOW-ej, wskutek ciągłej inwigilacji, setek rewizji i zatrzymań, policja namierzyła kilkadziesiąt mniej lub bardziej związanych z nami osób. To zaowocowało w grudniu, kiedy zatrzymywano także ludzi, którzy już dawno przestali mieć z NOW-ą cokolwiek wspólnego. Zaszkodziła nam również zbyt ścisła współpraca z „Solidarnością”, zarówno w pierwszych

dniach jej istnienia, kiedy wspomagaliśmy Związek naszymi ludźmi i poligrafia, jak i później, gdy współorganizowaliśmy sieć bibliotek związkowych, a nasi współpracownicy urzędowali w siedzibie Regionu Mazowsze. Było niemal regułą, że drukarze NOW-iej przechodzili przez Region, czy to w celu pomocy, czy przeszkolenia.

P.P.: — Zarzuca wam się również cały ten reklamowy szum, jaki robiliście wokół Oficyny — owe spotkania w rodzinnym gronie z Miłoszem i Kottem, koszulki, wywiady dla prasy i próbę oficjalnego zarejestrowania NOW-iej jako wydawnictwa spółdzielczego.

NOW-a: — Chcieliśmy doprowadzić do utworzenia normalnego rynku wydawniczego. Reklama jest jego nieodłącznym atrybutem i nie ona zadecydowała, kto poszedł 13. XII do więzienia, a kto nie. Nie odcinamy się od przedgrudniowych koncepcji, były one wtedy słuszne, a najważniejsza z nich, tj. koncepcja NOW-iej jako otwartego programowo ruchu społecznego, zachowała aktualność do chwili obecnej. Dziś podsumowujemy grudniową wpadkę tak, że zdjęto z nas wtedy nadbudowę, co było nieuniknione, choć mogło przybrać mniejsze rozmiary, ale baza — drukarze, składacze, większość kolporterów, a także maszyny i papier — ocalały.

P.P.: — Ale efekty działania tej ocalałej bazy były początkowo niezauważalne.

NOW-a: — To również nieprawda. Po 13. XII przystąpiliśmy do pracy w kilku nie kontaktujących się ze sobą grupach i nie tylko pod dotychczasowym szyldem. Już w styczniu została wydrukowana pierwsza książka, a w lutym nasi drukarze rozpoczęli wydawanie *Tygodnika Mazowsze*. Reorganizację, a właściwie odbudowę firmy zaczynaliśmy nieomal od zera, bez pieniędzy, z porwaną siecią kolportażu i poukrywanym w niewiadomych miejscach sprzętem i papierem. Okazało się, że jesteśmy wydawnictwem „przeinwestowanym” i że czasy, kiedy NOW-a była największym niezależnym domem wydawniczym, który wszystko miał i wszystko mógł, minęły bezpowrotnie. Pomagaliśmy innym, dawaliśmy książki na kredyt, a wszystkie zyski przeznaczaliśmy na zakup maszyn, papieru, farby. Po wprowadzeniu stanu wojennego część ludzi niszczyła przechowywane u siebie książki (w ten sposób straciliśmy po kilka tysięcy egzemplarzy „Zagadki śmierci Stalina”, „W polu” Rembeka i „Dziennika” Tyrmanda), hurtowi pośrednicy z ośrodków regionalnych zniknęli, zostali aresztowani albo stali się niewyplacalni. Nie mając nawet pie-

niędzy na pomoc dla rodzin internowanych, musieliśmy już wtedy, w najniebezpieczniejszym okresie wyprzedawać z magazynów ocalałe książki. Dopiero później przyszedł czas na nawiązywanie porwanych kontaktów, na dogadywanie się kto może i chce dalej pracować. Czas odtwarzania starych i organizowania zupełnie nowych struktur.

P.P.: — Po „Problemie winy i kary” Jaspersa opublikowaliście „Z dwóch stron drzwi” Mariana Brandysa, Awtorchanowa, Krytykę Nr 12 i Nowakowskiego „Raport o stanie wojennym”. Mogło się wydawać, że odnaleźliście wreszcie właściwy rytm pracy, ale w połowie roku 1982...

NOW-a: — Dokładnie 5 i 6. VIII. 1982 roku SB przeprowadziła kilkadziesiąt rewizji, które miały doprowadzić do ostatecznej likwidacji tego symbolu niezależnej poligrafii, jakim była i jest NOW-a. Aresztowano 8 osób, skonfiskowano trochę książek i papieru i zdezorganizowano pracę, ale główni animatorzy działań Oficyny wyszli z tej przygotowywanej od wielu tygodni akcji bez szwanku. Przed sądem stanęły osoby zupełnie przypadkowe, z których większość zobaczyła się po raz pierwszy na ławie oskarżonych. Byli to ci z zatrzymanych, u których znaleziono choć jedną ulotkę czy matrycę.

P.P.: — Jak brzmiał akt oskarżenia?

NOW-a: — Jednej z oskarżonych zarzucono, że „nie zaniechała działalności w tym związku w ten sposób, że w początkowym okresie stanu wojennego demonstrowała przynależność do NSZZ „Solidarność” nosząc przy sukience znaczek tej organizacji”, innej, że „sporządzała osobiście, brała udział w drukowaniu i składaniu, przechowywała celem rozpowszechnienia i rozpowszechniała opracowanie pt. „Raport o stanie wojennym”, zawierające mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy, oczywiście fałszywe, informacje”. Inne zarzuty to przechowywanie w domu jednej (!) ulotki z „hasłami na 1 Maja”, posiadanie papieru i matryc.

P.P.: — Jakie zapadły wyroki?

NOW-a: — Może i sędziom akt oskarżenia wydał się absurdalny, a może władze chciały uniknąć publicznej dyskusji nad rzekomo fałszywymi informacjami zawartymi w opowiadaniach Nowakowskiego, ale najwyższy wyrok — dwa lata z zawieszeniem — otrzymała osoba najbardziej w śledztwie gadatliwa. Ponadto jednemu z oskarżonych skonfiskowano narzędzie zbrodni — małego fiata.

P.P.: — Czym różni się NOW-a przedgrudniowa od obecnej?

NOW-a: — Cele i program pozostały te same. Zmieniła się tylko struktura Oficyny i hierarchia niektórych elementów jej programu. Dziś najważniejsze jest objęcie naszym ruchem jak najszerszego kręgu ludzi dotychczas biernych lub zastraszonego. Nasza przedgrudniowa otwartość dawała znakomite rezultaty. Każdy, kto się zgłaszał do nas z jakimś pomysłem, miał szansę go realizować. Rodziły się filie, biblioteki, serie wydawnicze. Pierwsi, grubo przed Sierpniem, wyszliśmy z niezależną książką poza środowisko warszawskiej inteligencji. To teraz owocuje. Przykład pierwszy z brzegu — umowa z Ursusem, na mocy której wstawiliśmy na teren Zakładów swoje maszyny. Te maszyny, po 13. XII, mimo pacyfikacji Ursusa, ocalały. Uratowali je robotnicy, którzy czuli się za nie odpowiedzialni, tak jak wcześniej czuli się współodpowiedzialni za to, co będziemy u nich drukowali. Dziś takie formalne umowy nie są ani możliwe, ani konieczne. Wszystko opiera się na kontaktach prywatnych, na zaufaniu. Ludzie nadal udostępniają nam swoje mieszkania, piwnice, budynki gospodarcze i daczki. Pożyczają samochody, organizują sprzęt poligraficzny, papier, benzynę. Kolportując książki i przegrywając kasety stają się uczestnikami ruchu społecznego NOW-ej, ludźmi mniej lub bardziej współodpowiedzialnymi za nasz program wydawniczy i — co za tym idzie — za kształt kultury niezależnej w Polsce.

P.P.: — Jakie są główne elementy waszego programu wydawniczego i w jakim stopniu ten wypracowany wcześniej program jest przez zdecentralizowane struktury NOW-ej realizowany?

NOW-a: — W miarę upływu czasu współpraca pomiędzy poszczególnymi ogniwami staje się coraz lepsza. I coraz mniej w naszej produkcji wydawniczej rzeczy przypadkowych. Proszę pamiętać, że jesteśmy poddani najrozmaitszym naciskom. Jedni chcą książek o zbrodni katyńskiej, inni okolicznościowych ulotek, a jeszcze inni światowej klasyki literackiej. I podobnie jest z kasetami. Część słuchaczy chciałaby tylko programów kabaretowych i piosenek, część publicystyki i rejestrujących rzeczywistość reportaży. Suma tych wszystkich społecznych oczekiwań daje w rezultacie pewien program. Dość eklektyczny z konieczności i w myśl deklaracji drukowanej na naszych okładkach — „nie reprezentujący żadnego kierunku politycznego”. Ale jest to także program uznający niektóre działania za najważniejsze. Po pierwsze: chcemy

być wydawnictwem dla autorów krajowych, prezentację współczesnej polskiej poezji i prozy uważamy za rzecz nadrzędną.

P.P.: — Dlaczego? Nie jest to najczęściej literatura najwyższego lotu.

NOW-a: — Właśnie dlatego. Jeśli społeczeństwo nie weźmie tej sprawy w swoje ręce, to polska literatura współczesna nadal będzie się wszystkim kojarzyć z kilkoma „wielkimi” nazwiskami i szarą masą nijakich, nikomu niepotrzebnych książek, jakie zalegają półki w każdej księgarni. Partyjna polityka wydawnicza jest przecież jasna, nikt chyba nie oczekuje, że władza zaprzestanie popierania miernoty. Zwłaszcza, że wobec upadku państwowej poligrafii, w drukarniach wkrótce nie będzie też miejsca na książki reprezentujące jakiś poziom literacki, ale neutralny ideologicznie. „Zielonymi ścieżkami szybkiego druku”, o których dzisiaj tyle się mówi, dotrą niedługo do księgarni utwory takich literatów, jak Stanuch, Lenart czy Fornalczyk. Efekt trzech „S” w wydawnictwach już widać — to wysokonakładowe, zeszytowe wydania horoskopów, kryminałów i Karola May’a. A więc na najbliższe lata program pierwszego obiegu jest taki: Bratny albo kryminał.

P.P.: — Co wychodzi na jedno... Ale jak drugi obieg może przejąć obowiązki pierwszego? Przecież podziemia nie stać finansowo ani technicznie na drukowanie tej ilości debiutów i utworów średniej klasy, jaka — przy normalnie funkcjonującym rynku — gwarantuje wyłowienie tych kilku wybitnych i ważnych pozycji rocznie?

NOW-a: — Oczywiście, nasze możliwości są stosunkowo skromne. Ale to nie oznacza, że mamy wszystkie swoje moce skoncentrować np. na odkłamywaniu historii i bezczynnie patrzeć, jak władza zmusza pisarzy do milczenia. Jak nie pozwala zaistnieć autorom młodym, o nieznanym jeszcze nazwiskach. Oczywiście, nie będziemy drukować wszystkiego, nie gwarantujemy też — zwłaszcza debiutantom — wysokich nakładów czy luksusowej szaty graficznej. Ale lepszy chyba format A-4 i druk na powielaczku białkowym niż milczenie.

P.P.: — A jeśli strach okaże się silniejszy od chęci „zaistnienia”? Albo jeśli zaleje was grafomania?

NOW-a: — Bariera strachu istnieje, ale nie jest chyba rzeczą najistotniejszą. Od czego choćby stara jak świat instytucja pseu-

donimu? Albo formuła, że „wydano bez wiedzy i zgody”? Za pisanie do niezbyt szczerze zamkniętej szuflady jeszcze nikogo nie wsadzono do więzienia. Jeśli zaś autor boi się, że jego nazwisko znajdzie się na czarnej liście, że zostanie poddany represjom i że nie będą o nim pisać w reżymowych gazetach — to jego sprawa. Dziś wybór jest prosty: druk w podziemiu, ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie może pociągnąć za sobą taka decyzja, albo państwowy wydawca — z cenzurą, dopisywaniem cudzych myśli i kilkuletnim oczekiwaniem aż skończą drukować Nienackiego i Bratnego. Jeśli zaś chodzi o poziom proponowanych nam książek, to — jak na razie — nie narzekamy. Wydaliśmy opowiadania Nowakowskiego i Orłosa, „Przesłuchanie” Bugajskiego, „Noc grudniową” Korunda, debiutancki utwór z gatunku *political fiction* — „Tunel”, „Rozmowy polskie latem 83” Rymkiewicza. Te książki istnieją. I o tych książkach się dyskutuje. W druku jest już kilka następnych pozycji polskich autorów współczesnych, które ukażą się w ramach serii, jaką przygotowaliśmy wspólnie z Komitetem Kultury Niezależnej. Niektóre z nich uznane zostaną za książki wybitne, inne — być może — za niewypały. Ale taki już los wydawcy. Gdybyśmy zajmowali się tylko odkłamywaniem historii, to każda z naszych książek byłaby ważna, potrzebna. A tak, chcąc dać literacki obraz świata, w którym żyjemy, świata na dobrą sprawę jeszcze literacko „nieprzedstawionego”, musimy z góry założyć, że nie wszystkie kamiki w tej mozaice będą takiej samej jakości. Choć potrzebne są wszystkie.

P.P.: — *To rozmijanie się oczekiwań czytelnika z propozycjami wydawców jest chyba problemem szerszym. Inwestując kilkaset złotych — takie są ceny — czytelnik ma nadzieję, że dostanie książkę, do której będzie wracał wielokrotnie. Ten warunek najpełniej zaś spełniają opracowania historyczne.*

NOW-a: — Tak, oczywiście. Takie książki również wydajemy, czego dowodem „Zagadka śmierci Stalina”, monografia KOR-u napisana przez Jana Józefa Lipskiego, czy zakrojona na gigantyczną skalę akcja „Archiwum Solidarności”, którą współorganizujemy. Ale — doceniając znaczenie edukacji historycznej — nie chcielibyśmy konkurować z „Kręgiem”, który przecież wyspecjalizował się w tej dziedzinie. Literatura piękna jest, naszym zdaniem, równie ważna co historia. I o tym, chcąc naprawdę zbudować społeczeństwo alternatywne, nie wolno nam zapominać. O pakcie Ribbentrop-Mołotow wie chyba każdy, ale kto w Polsce naprawdę zna takich pisarzy jak Miller, Nabokov, Zinowiew czy Wojnowicz?

P.P.: — *Jeśli NOW-a ich wyda, to przeczyta ich kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy osób. Co to zmieni?*

NOW-a: — Bardzo wiele. Książka przecież nie kończy swojego żywota raptownie, może krążyć między ludźmi przez całe lata. Wchodzi do krwioobiegu intelektualnego. To po pierwsze. I sprawa druga, która wiąże się z naszą koncepcją NOW-ej jako ruchu społecznego. Wydając przekłady arcydzieł światowej literatury, stwarzamy rynek pracy dla tłumaczy. Ta akcja została nawet sformalizowana organizacyjnie. Utworzyliśmy bank przekładów, z którego usług będą korzystały także i inne wydawnictwa niezależne, emigracyjne i państwowe. Bank zamawia konkretne tłumaczenia i płaci. Może dać zaliczkę lub ufundować stypendium. Później, gdy tłumaczenie jest gotowe, bank przekazuje je zainteresowanemu wydawcy. Taki system powinien być szczególnie atrakcyjny dla oficyn dopiero wchodzących na rynek. Nie mają one najczęściej pieniędzy na długofalowe inwestycje i zaczynają przeważnie od pirackich przedruków. Bank da im gotowy i zredagowany tekst na kredyt, który zwrócą, gdy staną na nogi. I w ten sposób, za jakieś 2-3 lata bank nie będzie nadal wprowadzić przynosił zysków, ale stanie się instytucją samofinansującą.

P.P.: — *A jeśli tłumacz zechce wycofać książkę? Gdy podkupi go na przykład wydawnictwo państwowe?*

NOW-a: — Nie stanie się chyba nic strasznego. Byle porozumiał się z przedstawicielem banku. Zwrócił zaliczkę albo umówił się na inną pracę. Zadaniem banku jest przedstawienie krajowemu czytelnikowi ważnych książek zagranicznych autorów i pomoc dla bezrobotnych tłumaczy, a nie jakaś dziecinna szarpanina: kto, gdzie i pod jakim szyldem.

P.P.: — *Skąd wzięliście pieniądze na rozruch banku?*

NOW-a: — Z Funduszu „Kultury” Paryskiej w Polsce. Między innymi.

P.P.: — *Co? To ten Fundusz istnieje?*

NOW-a: — Oczywiście. Powstał on wprawdzie na mocy umowy zawartej z NOW-ą przez Instytut Literacki tuż przed Grudniem, w zupełnie innej rzeczywistości, ale istnieje, bo umowa nie została wypowiedziana przez żadną ze stron.

P.P.: — *W myśl tej umowy Instytut Literacki przekazał wam posiadane przez siebie prawa wydawnicze i autorskie (z wyłączeniem Miłosza i Gombrowicza) oraz upoważnił do reprezentowania w Polsce wobec wszystkich wydawców, organów administracji i państwa.*

NOW-a: — Ponadto na przedrukowanych książkach winna się znaleźć informacja, że prawa autorskie są własnością Institut Littéraire, Paris, a *copyright* na kraj ma NOW-a. Należność w wysokości 3 % nakładu powinna zostać przekazana na Fundusz „Kultury” Paryskiej w Polsce. *Nota bene* na zachodnich przedrukach książek NOW-ej, a także innych wydawnictw niezależnych powinny być umieszczane nasze *copyright*'y.

P.P.: — *Książek paryskiej „Kultury” ukazuje się w podziemiu sporo, ale tylko na niektórych widnieje odpowiednia adnotacja. Ten brak poszanowania dla praw autorskich to chyba problem szerszy...*

NOW-a: — Ale którego nie należy demonizować. Sytuacja jest bardziej skomplikowana niż przez 13. XII, wiele utworów ukazuje się „bez wiedzy i zgody” autorów bądź tłumaczy. Tu chodzi czasem o „sprawę smaku”, a nie o sztywne — i za wszelką cenę — trzymanie się przepisów. I tak się na ogół składa, że wydawnictwa renomowane ten smak mają. Gorzej z oficynami efemerycznymi, o niewielkim zasięgu i nakładach, a już zgoła fatalnie z tymi, którzy drukowanie książek uznali za intratny interes. Jeśli zaś mowa o Funduszu „Kultury”, to — jak na razie — wpłynęły nań wpłaty od czterech wydawców, w tym jedna od nas (za Koestlera). To trochę za mało, żeby powoływać jakąś radę społeczną, np. przy TKK, o czym wcześniej myśleliśmy. Ci, którzy nie respektują zawartej między nami a Instytutem Literackim umowy, oszukują, pośrednio, samych siebie. Zadaniem Funduszu „Kultury” Paryskiej miało być bowiem udzielanie stypendiów, wydawanie specjalnych numerów „Kultury” i pomoc dla niezależnych wydawnictw. Umowa przewiduje też, że w uzasadnionych wypadkach możemy — jako dysponenci — odstąpić od pobierania należności.

P.P.: — *Jak w ogóle wygląda wasza współpraca z ośrodkami emigracyjnymi? Czy otrzymujecie jakąś pomoc z Zachodu?*

NOW-a: — To szeroki temat, który nie tylko nas dotyczy. Otóż, jak już to wielokrotnie w historii bywało, jest konflikt i wzajem-

ne niezrozumienie pomiędzy krajem a emigracją. Wyjazd na Zachód nieomal automatycznie pociąga za sobą zmianę optyki widzenia, utratę kontaktu z krajową rzeczywistością. A naszym zdaniem siła emigracji jest funkcją siły podziemia w kraju. Oczywiście, w Polsce też czasem zdarzają się niepotrzebne kłótnie, rywalizacja czy nieprzemyślane wystąpienia. Ale można to jakoś racjonalnie wytłumaczyć: brakiem łączności, koniecznością dyskusji i krystalizowania programów czy nieufnością wynikającą z konspiracyjnych warunków. Czym wytłumaczyć swary emigracyjne? Tę monstrualną działalność edytorską, która rozkwitła na Zachodzie? Przecież dziś każda grupka emigracyjna ma swoje własne, stojące najczęściej na niskim poziomie pisemka. Dwoch Polaków — trzy gazety. Ile to kosztuje i czemu służy? Przecież do kraju dociera od lat tylko paryska „Kultura” i „Aneks” a ostatnio także „Kontakt” i „Puls”. Pozostałe spełniają może jakąś rolę wśród emigracji, ale nie tu, w kraju, gdzie przepływ informacji i wymiana poglądów jest przecież najważniejsza. My rozumiemy, że każdy, kto wyjechał, ma coś istotnego do powiedzenia i chce się czuć pożyteczny, ale nie zamierzamy — mówimy to w imieniu chyba całego podziemia — wchodzić w to, kto na emigracji jest z kim, a kto przeciwko komu. I firmować te spory szyldem „Solidarności”.

P.P.: — *Ale przecież jakaś pomoc z Zachodu do Polski dociera. Dziennik Telewizyjny mniej więcej raz w miesiącu pokazuje skonfiskowany na granicy sprzęt poligraficzny.*

NOW-a: — Ta pomoc do nas dochodzi i jesteśmy za nią głęboko wdzięczni. Ale zdarzają się przypadki przykre, świadczące, że wszystkie wady komunistycznego gospodarowania przeniknęły, wraz z emigrantami najświeższej daty, na Zachód. Dostajemy czasem taki sprzęt, że tylko się iść i zapłakać. Raz są to maszyny bardzo drogie, nasycone elektroniką, kapryśne, do których nie ma w Polsce papieru i które nie nadają się do pracy w piwnicach. Innym razem otrzymujemy jakieś zdezelowane trupy, z których w kraju, ogromnym nakładem sił i kosztów, montuje się jeden jako tako działający powielacz.

P.P.: — *Czegóż więc oczekujecie od emigracji?*

NOW-a: — Koordynacji działań i myślenia kategoriami ekonomicznymi. Co bardziej się opłaca i co jest bezpieczniejsze: wysłać kilka używanych offsetów, które może jakoś w kraju naprawią, czy wysłać jeden, ale dobry? Wysłać części zamiennie czy zepsuty powielacz, z którego nawet tych części nie można wy-

montować? Wydać kolejny biuletyn dla kilkudziesięciu czytelników czy zaoszczędzone pieniądze przekazać na rozwój poligrafii podziemnej?

P.P.: — *No właśnie. Pomoc finansowa...*

NOW-a: — Ten nasz spór z ośrodkami emigracyjnymi to nie jest spór o pieniądze czy władzę. To raczej spór o metody działania i rozbieżność poglądów na temat kultury niezależnej w kraju. Część naszych przyjaciół z Zachodu nie rozumie istoty nowej partyjnej polityki kulturalnej. Wydaje im się, że np. Nabokowa i Millera powinniśmy zostawić wydawnictwom państwowym, bo nie są to antykomuniści. Nie rozumieją też (może nie chcą zrozumieć), że niektóre prace trzeba prowadzić w kraju, a nie na emigracji. Jedną z takich prac jest właśnie tłumaczenie i obróbka redakcyjna książek. Wychodzi to taniej, bo w złotówkach, daje zatrudnienie bezrobotnym humanistom i zapewnia jakość, o jakiej emigracyjni tłumacze — mimo całego dla nich szacunku — mogą tylko marzyć. Tego typu konflikty były i będą, ale w perspektywie oczekującego nas zadania musimy jak najszybciej je wyciszyć.

P.P.: — *Jakie to zadanie?*

NOW-a: — To seria wydawnicza pod ogólnym tytułem „Archiwum Solidarności”. Jak wiadomo, istnieje ogromny materiał dokumentacyjny stworzony zarówno przez struktury organizacyjne „Solidarności”, jak i jej działacze czy osoby prywatne. To taśmy z nagraniami przebiegu strajków, wieców, narad i zebrań, setki tysięcy egzemplarzy gazetek lokalnych i ogólnopolskich, książki, kilometry taśmy filmowej, unikalne zdjęcia, ulotki, plakaty... Znaczną część tych świadectw udało się uchronić przed zniszczeniem i ukryć. Od pewnego czasu trwają też prace nad ich uporządkowaniem i scaleniem, które koordynuje grupa złożona z przedstawicieli naszej Oficyny i Zespołu Dokumentalnego. W ramach „Archiwum Solidarności” ukażą się już niedługo w kraju i za granicą dokumenty, protokoły rozmów, zbiory projektów aktów prawnych i postulatów strajkowych, bibliografia czasopism i wydawnictw, reporterskie opracowania najważniejszych wydarzeń i monografie Regionów. Analizy socjologiczne i wspomnienia uczestników wydarzeń. Ta akcja ma wielkie znaczenie polityczne, ekonomiczne i moralne. Stworzy pewną ilość stanowisk pracy dla ludzi ze środowisk intelektualnych. To przedsięwzięcie, które będzie miało wielkie znaczenie dla poznania procesów społecznych, ideowych i kulturalnych zachodzących w kra-

jach totalitarnego komunizmu. To równocześnie próba podsumowania i analizy pewnego okresu w historii Polski.

P.P.: — *O ile wiem, „Archiwum Solidarności” to nie jedyna wasza akcja o charakterze dokumentalnym. Zbieracie fotografie, nagrywacie kasety...*

NOW-a: — Tak. Dokumentacją fotograficzną zajmuje się nasza agenda — FotoNowa. Jej zadania to: przygotowywanie foto-reportaży dla prasy niezależnej, publikowanie zestawów zdjęć i archiwizacja, a w perspektywie — filmy dokumentalne i wywiady. A kasety? To dziedzina przekazu o ogromnych, choć nie poznanych do końca możliwościach. Taśma pozwala na rejestrowanie faktów, umożliwia przeżycie artystyczne, ale też wypowiedź publicystyczną. Jej nakład i zasięg oddziaływania jest praktycznie nieograniczony, a przegrywanie kaset to zajęcie znacznie bezpieczniejsze od kolportażu książek czy bezpośredniej działalności związkowej. Kasetą daje szansę tym wszystkim, których środkiem wyrazu jest dźwięk. Politykom — oczywiście, ale przede wszystkim aktorom, reżyserom, piosenkarzom i muzykom. Tym wszystkim ludziom kultury i sztuki, którym władza wydała wojnę.

P.P.: — *A którym wy, dzięki książkom, kasetom i zbieraniu dokumentacji umożliwiacie twórczą działalność. I zaistnienie wobec czytelnika i słuchacza.*

NOW-a: — Przedstawiciele władzy wielokrotnie wypowiadali opinię, że działa w Polsce pewna grupa ludzi, która chciałaby wprowadzić kulturę polską na emigrację. Z tym się akurat zgadzamy. Taką działalność prowadzą ci, którzy przy pomocy „czarnych list”, weryfikacji i rugowania z gazet, filmu czy radia zmuszają niepokornych do milczenia bądź wyjazdu za granicę. My postępujemy akurat odwrotnie. Staramy się, by kultura polska pozostała tu, w kraju.

Rozmawiał: Piotr PRZEGORZAN

Egzotyczna ekonomia

Kolejna piękna bajka pojawiła się na łamach warszawskiego dziennika *Kurier Polski* z 13-15. 4. 1984. W znakomitym stylu

„dziesięciolecia sukcesu” pani Anna Ostrzycka opisuje blaski dokonania polskiego handlu zagranicznego na rynku irackim i libijskim. Całość rozpoczyna informacja z Iraku: ... „wszyscy przebywający w tym kraju noszą na głowach kolorowe chusty”. Pierwsze kłamstwo i to nie wiadomo po co. Owszem chusta na głowie jest elementem ludowego stroju arabskiego i jest dosyć często używana przez spóółstwo. Wykształcony Irakijczyk nie używa jej nigdy, a zapytany o ten szczegół ubioru często udaje, albo nie wie, jak to się nazywa. Cóż dopiero mówić o cudzoziemcach. Natomiast robotnik z Bagdadu wyjaśnił mi cel używania chusty: „Noszę ją po to, żeby wyróżnić się z grona setek tysięcy robotników przybyłych tutaj z Azji i Afryki”. Oprócz tego chusta chroni twarz od piasku i słońca, a marzeniem każdego Araba jest jasna cera, tak jak powodem do dumy dla Europejczyka jest opalenizna.

Zdarza się jednak, że i Polak przywdziewa arabskie szaty. Robi to dla zgrywy i po pijanemu.

Mówiąc o Polakach pracujących w egzotycznych krajach trudno pominąć problem pijaństwa. Dzielna reporterka warszawskiej gazety zabiera więc głos w tej sprawie przytaczając anegdotę o dyrektorze któremu pracownicy przez pomyłkę zaproponowali kupno butelki wódki, „nie bacząc na prohibicję”. Dyrektor po ojcowsku skarcił winowajców. Nie wiemy tylko dla czego, bo w Iraku żadnej prohibicji nie ma, a alkohol można kupić w sklepach; także handel nie jest tam zakazany, pomimo socjalistycznego charakteru państwa. Może jednak dyrektor jest bardziej przyzwyczajony do przyjmowania prezentów niż do zakupów za własne pieniądze i dlatego tak się zdenerwował. Szkoda, że pani Anna nie zauważyła tych zastępów zamroczonych alkoholem i skacowanych mężczyzn, których jest pełno na pustynnych campach w dni wolne od pracy. W obydwu obozowiskach „Dromexu”, położonych pomiędzy Nasiriya i Basrah, gdzie pani redaktor bawiła, nie jest lepiej. Podstawową rozrywką jest tam magnetowid wyświetlający filmy pornograficzne, a nie jak pani sugeruje zwiedzanie ruin sumeryjskiego miasta Ur. Do obejrzenia tych starożytnych wykopalisk wystarczy kilku godzin, uwzględniając czas dojazdu, a w ciągu rocznego pobytu na pustyni jest kilkadziesiąt wypoczynkowych dni.

Wracając do kieliszka, myślę, że czytelników *Kuriera Polskiego* zainteresowałaby próba odpowiedzi na pytanie: dlaczego Irakijczycy nie upijają się tak jak Polacy? Sytuacja psychologiczna tubylców znad Wisły i znad Tygrysu jest bardzo podobna, jednak obywatel Iraku nie topi swoich kompleksów, fobii i stressów w wódce. Załatwia się z nimi w inny sposób. Jeżeli już pije, to robi to raczej ze snobizmu, z chęci dorównania Europejczykom. Wyjaśnienie tego naprawdę egzotycznego zjawiska przy pomocy hasła: „Prorok Mahomet zabronił!” nie przekracza poziomu szkoły podstawowej i nie wyjaśnia niczego.

W dalszym ciągu opowieści z Mezopotamii dowiadujemy się o sukcesach rodaków. „Nawet bossowie renomowanych firm za-

granicznych widząc tę robotę kręcili głowami” — napisała pani Anna. Natomiast w Polsce prości ludzie patrząc na kolejne fuzerki budowlańców zadają sobie pytanie: jaki szczęśliwy układ gwiazd sprawia, że ci fachowcy potrafią za granicą wybudować coś porządnego? Wysłanniczka *Kuriera* nie ma takich problemów. Spróbuję więc krótko odpowiedzieć na to pytanie. W każdym podręczniku o organizacji i jakości produkcji można przeczytać, że niezbędnym warunkiem uzyskania produktu dobrej jakości jest skuteczny nadzór. W Polsce beztrudno zlikwidowano wszelkie kontrole i nadzory, oczywiście oprócz policyjnego. Za granicą polskich budowlanych pilnują... cudzoziemcy.

Maluczkich nieustannie nurtuje problem opłacalności eksportu budownictwa. Pani Anna porusza także ten temat, podając kilka luźnych liczb dotyczących budowy autostrady przez polską firmę „Dromex” na południu Iraku. Spróbujmy zrobić z tego jakiś rachunek. Tak na chłopski rozum: wartość kontraktu 300 mln dolarów USA dzielimy przez umowny czas realizacji — 72 miesiące, dalej dzielimy przez ilość zatrudnionych specjalistów — 2.200, dzielimy przez miesięczną liczbę roboczogodzin jednego specjalisty (łącznie z nadgodzinami) 220 i w wyniku otrzymujemy wartość robót na jednego specjalistę na godzinę 8,6 dolara. W kwocie tej mieszczą się wszystkie koszty materiałowe, prawne, transportowe budowy, cena utrzymania campów itp. Tutaj należy także szukać zysku. Specjalista z tzw. wolnego świata musi zarobić ponad dziesięć dolarów na godzinę, żeby wybrać się na pustynię. Polak trzy, cztery razy mniej. Może więc w różnicy płacowej znajduje się zysk? Już taki prosty i niedoskonały rachunek każe co najmniej wątpić w zysk polskiego eksportera. Sprawa staje się jeszcze bardziej podejrzana jeżeli wspomni się o praktyce przerzucania kosztów ze starych kontraktów na nowo rozpoczynane. Zwyczaj przeniesiony z polskich placów budów. Zdarzają się także rachunki, na przykład z urzędu celnego, które przychodzą już po rozliczeniu kontraktu i faktycznie przekreślają jego opłacalność. O mnóstwie takich spraw można się dowiedzieć rozmawiając szczerze z eksportowymi specjalistami, z których wielu jest rozżalonych, że przyszło im pracować w takim bałaganie.

W Libii, jak wynika z artykułu, Polacy za własne pieniądze wzniesli cały przemysł budowlany. Argumentem opłacalności jest fakt, że „polskie przedsiębiorstwa podpisują jedynie kontrakty nie biorąc udziału w przetargach” a także ... „każda propozycja kontraktu złożona przez Polaków jest przyjmowana”... Wypada w tym miejscu ostrzec Libijczyków, że taka sytuacja nazywa się rynkiem wykonawcy i zastosowana nad Wisłą doprowadziła budownictwo do rozpaczliwej ruiny. Drugim dowodem opłacalności ma być wybudowanie przez Polaków w Libii 2200 km dróg. Mimo woli nasuwa się fragment znakomitego dialogu pomiędzy żydowskimi byznesmenami: „— Jest interes do zrobienia” — proponuje pierwszy. „— A ile można na nim stracić?” — pyta drugi.

Dla pani Anny już sam fakt zaistnienia interesu — tyle tych dróg i mostów — jest wystarczającym powodem do zadowolenia. Natomiast jej czytelnicy bardziej ciekawi są ewentualnych strat, zgodnie z elementarnym rozsądkiem ekonomicznym. Tym bardziej, że te straty mają wyraźny wpływ na ich poziom życia.

Ostatni rozdział artykułu został poświęcony zagadnieniu: „Jak więc Arabowie akceptują polską obecność na licznych budowach?” Dowiadujemy się z niego, że „w Iraku, gdzie jak wiadomo toczy się wojna, stosunek do Polaków jest poprawny”. Ale już Libijczycy podając Polakom rękę patrzą im w oczy.

Ostatnie zdanie artykułu brzmi: „Polacy udowodnili swą pracę i postępowaniem, że można na nich liczyć”. Z całą pewnością w stwierdzeniu tym jest wiele prawdy. Natomiast Polka pani Anna Ostrzycka nie spełniła oczekiwań czytelników, opisując to wszystko w naiwnym stylu, przeznaczonym dla niedouczonej robotli, chociaż już nawet na najwyższych szczeblach PZPR stwierdzono, że takowych w społeczeństwie polskim nie ma. Mimo tego potknięcia nie wątpię, że pani Anna, jak każda Polka, jest uroczą, pełną wdzięku i dobrych chęci kobietą.

Zdecydowanie bliżej realiów handlu zagranicznego znalazł się pan Michał Korczak publikując w *Dzienniku Ludowym* z dnia 13. 4. 1984 tekst zatytułowany „Judaszowe srebrniki”. Podtytuł „z milicyjnego notatnika” mówi sam za siebie. Milicja wie lepiej od pani Anny. Artykuł rozpoczyna wykład teorii: „...gdy przestępcza działalność wymierzona jest w interesy państwa wybiegające poza jego granice. Tu zawsze osoba sprawcy przestępstwa jest znana od samego początku (...) zadaniem organów ścigania staje się nie odnalezienie sprawcy, lecz ujawnienie przestępstwa”. Po przetłumaczeniu z polskiego na nasze powyższa myśl brzmi — dajcie mi chwileczkę, a ja znajdę mu paragraf. Co jest zaprzeczeniem cywilizowanego prawa. Powstaje jednak pytanie, kto typuje kryminalistów w polskim handlu zagranicznym, czy też wszyscy są winni? Pan Michał Korczak wyjaśnia moje wątpliwości: „Z akt wielu śledztw inicjowanych przez Służbę Bezpieczeństwa (w drugiej połowie lat siedemdziesiątych — przyp. D.T.) wynikało niezbicie, iż ludzie zajmujący nierzadko eksponowane stanowiska w gospodarce narodowej, a głównie w handlu zagranicznym, wyrządzali całemu społeczeństwu nieobliczalne wręcz szkody, działając z najniższych pobudek dla uzyskania korzyści osobistych (...). Nikt zrazu nie zaprzętał sobie głowy pytaniami, czy aby każdy zakup był zasadny...” Oj, zaprzętał sobie, zaprzętał i próbował nawet przewidzieć skutki. Była to opozycja. Coś na ten temat powinien pan znaleźć w archiwach SB. Dziwić się należy, że nie doszło do współpracy pomiędzy dysydentami, a milicją: tyle wspólnych zainteresowań... chociaż mogły być różnice zdań przy typowaniu przestępców.

Nie chcę być złym prorokiem, ale obecna dziesięciolatka może zapisać się w historii PRL jako czas kiepskich rzeczników prasowych.

Danek TURCZYŃSKI

LISTA CZŁONKÓW KOMISJI CHARYTATYWNEJ EPISKOPATU POLSKI

mianowanych przez 199 Konferencję Plenarną Episkopatu
dnia 29 marca 1984

Przewodniczący: Bp Czesław Domin — Katowice.
Zastępca przewodniczącego: Bp Julian Groblicki — Kraków.
Sekretarz: Ks. dr Zdzisław Sawiński — Warszawa.
Zastępca sekretarza: Ks. dr Jan Wal — Kraków.
Członkowie: 1. Bp Jan Kulik — Łódź; 2. Bp Józef Kurpas — Katowice; 3. Bp Jan Mazur — Siedlce; 4. Ks. dr Jan Białobok — Mielec; 5. Ks. kanonik Stefan Gralak — Warszawa; 6. Ks. prałat Konrad Lubos — Piekary Śląskie; 7. O. Bruno Pawłowicz — Gdynia; 8. Ks. prałat Adam Pawłowski — Poznań; 9. O. Prow. Walenty Potworowski OP — Warszawa; 10. Ks. dr Henryk Sobczyk — Katowice; 11. M. Gen. Alma Skrzydlewska, franciszkanka — Warszawa; 12. M. Gen. Akwina Filipowicz, albertynka — Kraków; 13. p. Aniela Lossow — Warszawa.

UWAGA: KOLABORANCI!

W chwili, gdy po rozwiązaniu ZPAP i innych stowarzyszeń twórczych władze PRL zaostryżyły atak na kulturę polską, gdy aresztują twórców, konfiskują ich dzieła, rewidują mieszkania i pracownie — ci oto ludzie zdecydowali się służyć oprawcom. Podpisali „Deklarację programową Związku Polskich Malarzy i Grafików”, w której uznaje się „realia społeczno-polityczne naszego kraju” oraz winę za rozwiązanie ZPAP obarcza „część byłego kierownictwa Związku”.

Ich nazwiska: Jan Anisierowicz, Kiejstut Bereźnicki, Olgierd Bierwiaczonek, Włodzimierz Buczek, Edmund Burke, Halina Centkiewicz, Czesław Ciapała, Tadeusz Ciesiulewicz, Maria Dawska, Stanisław Dawski, Jerzy Duda-Gracz, Edward Dwurnik, Tadeusz Eysymont, Andrzej Foggt, Wiesław Garboliński, Władysław Hasior, Władysław Jackiewicz, Jan Karczewski, Anatol Korzuń, Helena Krajewska, Juliusz Krajewski, Włodzimierz Łajmung, Mieczysław Majewski, Jerzy Mazuś, Stanisław Mazuś, Leon Michalski, Józef Młynarski, Maciej Modzelewski, Andrzej Nowacki, Stanisław Poznański, Mieczysław Romańczuk, Erna Rosenstein, Ewa Semil, Andrzej Skoczyła, Hieronim Skurpski, Artur Starczewski, Halina Stec, Jan Świdorski, Mieczysław Wejman, Bronisława Wilimowska, Marian Wodziszłowski, Maria Wollenberg-Kluza, Jerzy Zabłocki, Jan Ziemiński.

Powinni ponieść konsekwencje swego haniebnego czynu — nie tylko w postaci łask i przywilejów, jakie otrzymują od władz. Wzywamy do ścisłego bojkotu wyżej wymienionych członków-założycieli SPAMiG: do

bojkotu towarzyskiego, odmowy wszelkiej współpracy z nimi i współdziałania w jakichkolwiek imprezach, bojkotu ich wystaw indywidualnych.

Prosimy, aby ten apel przekazać wszystkim, którym los polskiej sztuki nie jest obojętny, w kraju i za granicą.

REDAKCJA KULTURY NIEZALEŻNEJ

nr 194

POSTULATY ŚRODOWISKA ADWOKACKIEGO W PRZEDMIOCIE STATUSU WIĘZNIĄ POLITYCZNEGO

1. całkowite odseparowanie od więźniów kryminalnych,
2. zniesienie upokarzających obowiązków regulaminowych jak wstawanie gdy wejdzie strażnik i meldowanie się w postawie na baczność,
3. nie stosowanie kar hańbiących (twarde łóżce),
4. umożliwienie nauki skazanym w trybie zaocznym, umożliwienie korzystania z książek i czasopism, umożliwienie pracy twórczej,
5. umożliwienie korzystania z opieki lekarskiej i farmaceutycznej spoza zakładu karnego,
6. umożliwienie otrzymywania zwiększonej ilości paczek z żywnością i przedmiotami higieny osobistej od instytucji charytatywnych i rodziny.

Z tym, iż za więźniów politycznych uważałyby się osoby pociągnięte do odpowiedzialności karnej z pobudek ideowo-światopoglądowych, w szczególności zaś za czyny kwalifikowane z przepisów art. 132, 133, 156 § 2, 158 § 1, 160 § 1, 165 § 1, 166, 167 § 1, 171 § 1, 172 § 1, 178 § 1 i § 2, 181 § 1, 196, 197, 212 § 1, 214 § 1, 220, 233, 234, 235, 236, 237, 270 § 1 i § 2, 271, 273 § 1 i § 2, 275 § 1, 276, 278, 279-282, 284, 285, 288 KK — o którym to popełnieniu przestępstwa z pobudek światopoglądowych sąd orzekałby w wyroku, a od orzeczenia w tym przedmiocie służyłoby odwołanie, przy czym przestępstwo popełnione z chęci zysku byłoby wyłączone spod działania uprzywilejowanego traktowania.

STANOWISKO DELEGACJI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W SZWAJCARII W SPRAWIE USTAWY AMNESTYJNEJ

Amnestia ogłoszona w Polsce 22 lipca 1984 roku — trzecia w ostatnich trzech latach — uwalnia z więzień ludzi, którzy nie popełnili żadnych przestępstw.

Uchwalona przez Sejm ustawa nie ma cech amnestii a jest tylko zawieszeniem wykonania kary na okres dwóch lat pod warunkiem, że zwolnieni nie podejmą w tym okresie działalności, którą władze mogłyby uznać za niewygodną dla siebie. Każde otwarte wyrażenie własnej opinii lub stwierdzenie prawdziwych faktów — szczególnie wobec prasy zachodniej — zaprowadzi zwolnionych ponownie do więzienia. Do takiego stwierdzenia upoważniają nas losy ludzi zwolnionych na mocy poprzednich amnestii, z których większość po krótkim okresie wolności została ponownie uwieczniona.

Wprowadzone w ciągu ostatnich dwóch lat do prawa karnego represyjne ustawodawstwo, sankcjonujące dekrety stanu wojennego, nie zostało odwołane. Rząd PRL nie uwzględnił żadnego z zastrzeżeń Międzynarodowej Organizacji Pracy w stosunku do restrykcyjnego ustawodawstwa związkowego a także antyzwiązkowych praktyk — sprzecznych z ratyfikowanymi przez PRL konwencjami.

Amnestia nie może więc być uznana jako akt łaski, ale jako krok wymuszony na rządzie przez społeczeństwo polskie, światową opinię publiczną i katastrofalną sytuację gospodarczą. Pragniemy powtórzyć za Lechem Wałęsą, że obecna amnestia bez dalszych reform społeczno-politycznych pozostanie tylko manewrem taktycznym. Ustawa amnestyjna nie spełnia aspiracji społeczeństwa polskiego. Nie można oczekiwać od Polaków, aby zaprzestali występowania przeciw bezprawiu i samowoli władz oraz gospodarczej anarchii.

Głównym adresatem amnestii jest międzynarodowa opinia publiczna i zachodnie koła bankowe, których poparcie jest niezbędne dla dalszego rozwijania przemysłu zbrojeniowego — zgodnie z 20-letnią umową podpisaną przez Jaruzelskiego na Kremlu w początkach bież. roku. Cele tych zbrojeń są jasno przedstawiane przez propagandę, która usiłuje wzbudzić w narodzie polskim nienawiść do Amerykanów i Niemców, szerzy kłamliwe oszczerstwa wobec Francuzów i Włochów oraz usiłuje wywołać psychozę wojenną.

Apelujemy do banków zachodnich i Międzynarodowego Funduszu Walutowego o rozważny i głęboki namysł przed udzieleniem PRL nowych kredytów, aby Wasze pieniądze nie zostały użyte dla dalszej militarystyki i umocnienia sił agresji Bloku Wschodniego.

DELEGACJA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W SZWAJCARII

(Podpisano: Henryk Czerwiński, Irena Daszczyk, Piotr Gmaj, Jerzy Grębski, Maria Nowak, Krzysztof Podolczyński, Danuta Żurkowska).

POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE POLISH BOOKS & ARTS, INC.

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasyety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Sprawy i troski

Książka polska w Kanadzie

Książka polska dociera do Kanady różnymi drogami. Księgarń zajmujących się wyłącznie rozprowadzaniem polskich książek nie ma w Toronto i chyba w ogóle w Kanadzie. Brak jest także w Toronto księgarń wyłącznie obcojęzycznych, są natomiast niektóre specjalistyczne i kilka o obliczu wyraźnie politycznym.

Przez dłuższy czas funkcjonowała księgarnia mająca na składzie wyłącznie publikacje komunistyczne w tym wydawnictwa moskiewskie, inna też komunistyczna, ale propagująca ideologię chińską. Ta ostatnia utrzymała się dłużej. Inna księgarnia tzw. „specjalistyczna” posiadała na składzie wyłącznie książki autorów Trzeciego Świata i Murzynów oraz prace rzeczników lub obrońców ich polityki i interesów. Nie od rzeczy będzie dodać iż oferowano tam i rozprowadzano tylko literaturę „antyimperialistyczną”. I ta księgarnia zamknęła się przed rokiem, ale zarówno publikacje chińskie jak i dotyczące Trzeciego Świata można znaleźć w różnych księgarniach, natomiast żadna nie ma asortymentu polskich publikacji.

Między ilością osób ujętych statystycznie, jako należących do polskiej grupy etnicznej a ilością deklarujących znajomość języka polskiego, jest duża rozpiętość. I tak według danych powszechnego spisu ludności z 1981 roku w pierwszej grupie było 254.485 osób, a w drugiej — 127.960. Oczywiście nie wiemy jaka jest ich znajomość języka, jak często posługiwano się nim, itp.; zresztą nawet doskonała znajomość języka niekoniecznie idzie w parze z nabywaniem książek. Wszędzie, nie tylko na emigracji.

Ankiety na temat czytelnictwa i zasięgu książki polskiej w Kanadzie wśród polskiej grupy są, niestety, bardzo ułamkowe i stąd nie mogą dać właściwej odpowiedzi, nie dostarczając obiektywnego materiału — nawet fragmentarycznego. Przykładowo: na ankietę Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w 1978 roku odpowiedzi nadeszły niemal wyłącznie osoby czynne w Polonii torontońskiej a więc tylko nikła część społeczności. Zna-

mienne jest np., że choć 75 % respondentów podało, że posługują się językiem polskim, zaledwie jedna trzecia czytała pisma w języku polskim. Niektórzy respondenci zaznaczyli, iż nie czytają z powodu zbyt słabej znajomości tego języka. Odpowiedzi na poszczególne pytania są po prostu sprzeczne.

Importerami i dystrybutorami polskich książek są teraz instytucje polonijne. Dwie prywatne inicjatywy — jedna w Winnipegu, druga w Montrealu — właściwie zlikwidowały się, z tym że dystrybutor z Montrealu od czasu do czasu ogłasza w piśmie zestaw posiadanych pozycji. Polskie książki rozprowadzają w największej ilości następujące pisma polonijne: *Związkowiec* i *Głos Polski* w Toronto oraz *Czas* w Winnipegu. Publikacje wyłącznie krajowe — w tym propagandowe — są na składzie w torontońskiej *Kronice Tygodniowej* — organie komunistycznym pod szyldem Polskiego Towarzystwa Demokratycznego.

Największą, najbogatszą i posiadającą na składzie najwięcej tytułów jest księgarnia *Związkowca*. Stanowi ona jeden z działów wydawnictwa Polish Alliance Press Ltd., będącego własnością Związku Polaków w Kanadzie. Kierownikiem-administratorem wydawnictwa jest od 1980 roku Jan Nowak i do niego zwracamy się z pierwszymi, podstawowymi pytaniami.

— *Jaką rolę odgrywa księgarnia w Wydawnictwie?*

— Różnorodną i poważną. Jak Panu dobrze wiadomo działa ona od dziesiątków lat i rozbudowywano ją systematycznie. Jest w pewnym sensie łącznikiem jeśli nie z całą społecznością polonijną to ze znaczną jej częścią. Księgarnię odwiedzają klienci oraz potencjalni nabywcy. Niektóre pozycje znalazły się na półkach na żądanie czytelników.

— *Czy można wiedzieć jaki jest obrót księgarni i jaki stanowi procent w obrotach wydawnictwa?*

— Oczywiście. W 1983 roku obroty księgarni stanowiły 25 % obrotów wydawnictwa.

— *Jak to się wyraziło w dolarach?*

— Proszę, niech Pan spojrzy na tę kolumnę w sprawozdaniu finansowym — \$ 150.000.

— *Jaki kapitał uwięziony jest w książkach?*

— Pod koniec 1983 roku dokładnie \$ 97.000. Nie mogę powiedzieć ile wynosi obecnie. Zestawienia miesięczne nie stanowią podstawy do obliczeń, gdyż są płynne.

— *Jak kształtuje się sprzedaż książek?*

— Z tym proszę się zwrócić do pani Barbary Dec, kierowniczki księgarni.

Księgarnia zajmuje obszerną, największą część budynku Polish Alliance Press. Wszystkie ściany pod sufit są wypełnione książkami. Paczki książek leżą również na podłodze i stołach. To nowe transporty oraz zamówienia przygotowane do wysyłki. Przysiadam się do biurka p. Dec i rozpoczynam rozmowę.

— *Skąd Pani sprowadza książki?*

— Od lat z tych samych źródeł. W pierwszym rządzie z Polski przez ARS POLONA, która jest oficjalnym i jedynym eksporterem, następnie od bodajże wszystkich wydawców na Zachodzie, w tym najwięcej z Paryża — z Instytutu Literackiego, następnie z Veritasu, Fundacji Kulturalnej, Orbisu, Aneksu, Polonii w Londynie oraz oczywiście książki ukazujące się w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

— *Jakie jest zapotrzebowanie na polskie książki? I na jakie?*

— Nasza księgarnia — i to z naciskiem podkreślam — jest przede wszystkim wyłącznie polską. Staram się wprowadzić asortyment książek o Polsce w języku angielskim, ale jak dotychczas bez powodzenia. Zaraz to dokładniej wyjaśnię.

Książki krajowe zamawiam na podstawie „Zapowiedzi wydawniczych”. Mam wobec tego wiele niespodzianek, gdyż terminy w „Zapowiedziach” są z reguły nie dotrzymywane. Czasami książka ukazuje się w rok później, a niektóre nie ukazują się w ogóle. Od dwóch lat wręcz fantastyczna karuzela cen. Często są wyższe o 200 % od podanych w „Zapowiedziach”.

Moim zdaniem ceny są zbyt wygórowane, szczególnie gdy zważy się, że większość książek wydrukowana jest na lichym papierze a wiele na gazetowym. Niemal wszystkie są źle oprawione. Z tym jest najgorzej, mamy wiele zwrotów. ARS POLONA w takich wypadkach uwzględnia nasze reklamacje, ale procedura trwa tak długo, że nieraz po prostu rezygnujemy i odpisujemy na straty. Natomiast w otrzymywanych rachunkach ceny za książki są wyższe aniżeli te po jakich sprzedajemy. Znowu reklamujemy w ARS POLONA, co czasem odnosi skutek ale często po prostu anuluję zamówienie, lub nie przyjmuję przesyłki.

Z wydawnictw krajowych najlepiej idą dzieła klasyków: Sienkiewicz, Reymont, Krąszewski — zarówno wydania zbiorowe jak i pojedyncze tomy. Dużym popytem cieszą się powieści Rodziewiczówny, Dołęgi-Mostowicza i tanie romanse. Dobry zbytniej mają niemal wszystkie powieści historyczne i popularne dzieła historyczne, dalej monografie postaci historycznych zarówno polskich jak i obcych. Bardzo słaby zbytniej ma poezja, z tym jednak, że

antologii poezji Dwudziestolecia są poszukiwane i szybko u nas znikają.

— *W ciągu ostatnich kilku lat, dokładnie od 1980 roku, przybyło do Kanady kilkanaście tysięcy Polaków posiadających przeciętnie wykształcenie wyższe od poprzednich fal imigracyjnych. Czy i jak odbiło się to na odcinku księgarskim?*

— Owszem, a w szczególności na sprzedaży niektórych książek. Trudno jest ściśle określić jak kształtuje się popyt. Jest płynny, zmienny, a ponadto sezonowy. W okresie letnim, wakacyjnym jest wielkie zapotrzebowanie na książki dla dzieci i powieści. Dla dzieci największy zbytniej mają absolutnie wszystkie pozycje Brzechwy i Tuwima. Nowo przybyli kupują właśnie te książki — jak mówią — aby dzieci nie zapomniały języka.

— *Nie popełnię chyba błędu twierdząc, iż nowi przybysze nie kupują Krąszewskiego, Sienkiewicza czy Rodziewiczówny i chyba nie tylko zaopatrują dzieci w książeczki, a wobec tego co jeszcze ich interesuje? Wątpię też czy szukają książek wydanych w kraju.*

— Z grubsza biorąc 60 % książek jest krajowych a reszta pochodzi z wydawnictw zachodnich. Te ostatnie cieszą się szczególnie zainteresowaniem ostatnio przybyłych, ale i poprzednio zbytniej tych książek był duży. Od dawna niektóre publikacje zagraniczne miały większy popyt od krajowych. Odnosi się to przede wszystkim do wydawnictw paryskiego Instytutu Literackiego. Są one też najbardziej poszukiwane przez nowych. Nie tylko ostatnie publikacje, ale i te najdawniejsze. Niektórzy płacą za jedną, dwie książki ale odkładają na bok kilka dalszych, z prośbą o przechowanie, gdyż nie stać ich na zakup wszystkich.

— *Czy zaopatruje Pani liczne biblioteki polonijne?*

— Powinam powiedzieć, że nasza klientela nie jest li-tylko lokalna. Niewątpliwie Toronto z przedmieściami zajmuje poważne miejsce, ale wysyłamy także książki do najdalej położonych miejscowości. Myślę iż chyba większość bibliotek nabywa u nas. Największym i najpoważniejszym klientem jest biblioteka SPK w Toronto, która zresztą jest najlepiej zaopatrzona wypożyczalnią książek polskich w Kanadzie. Regularnymi odbiorcami są poszczególne oddziały Biblioteki Publicznej w Toronto. Dostarczamy również książki niektórym bibliotekom uniwersyteckim. Ogółem około 40 % książek nabywają biblioteki. Zainteresowanie Polską wzrosło w okresie „Solidarności”. Zwiększyła się wówczas sprzedaż publikacji zagranicznych. W dalszym ciągu wszystko co związane jest z wypadkami w Polsce rozchodzi się szybko. Książki w języku angielskim na temat „Solidarności” były poszukiwane nie tylko jako prezenty dla anglojęzycznych przyjaciół,

ale i przez biblioteki. Mamy na składzie kilkanaście publikacji o Polsce, ale sprzedaż ich jest słaba. Bardziej znane książki wydane w USA lub Wielkiej Brytanii znajdują się w każdej księgarni, ale inne trudno znajdują nabywców. Nasza klientela jest polska i szuka książek tylko w tym języku, a angielskie i wydania albumowe kupuje na prezenty. Dodam iż z albumami mamy wielkie kłopoty z powodu cen. Nie ma nabywców na albumy po \$ 50 gdyż odpowiednie angielskie kosztują najwyżej \$ 25.

— *Na brak klienteli nie narzeka Pani?*

— Nie, widzi Pan przecież, że jestem zajęta — ludzie czekają na załatwienie.

— *Dziękuję, nie zabieram Pani więcej czasu.*



Od 1956 roku księgarnia *Związkowca* ma etatowego pracownika, który zajmuje się wyłącznie książkami. W każdym numerze pisma znajdują się ramkowe ogłoszenia świeżo nabytych książek, a co kilka miesięcy publikuje się katalog książek znajdujących się na składzie. Na łamach *Związkowca* ukazują się niemal regularnie omówienia nowych publikacji. Wszystko to służy propagandzie polskiej książki i jej rozpowszechnieniu. Kierowniczką księgarni — obecna jest trzecią od 1956 roku — stwierdzają, że propaganda na łamach pisma jest jednym z najważniejszych czynników w zbyciu książek.

Księgarnia „Związkowca” nie prowadzi działu czasopism, ale przyjmuje prenumeraty na niektóre: *Kulturę* i *Zeszyty Historyczne*. Ma na składzie kilka czasopism — nazwijmy je „solidarnościowymi”. Natomiast niektóre czasopisma krajowe są do nabycia w kilku sklepach w tzw. polskiej dzielnicy w Toronto.

Pozostałe księgarnie polonijne mają znacznie mniejszy asortyment książek, nie zatrudniają też oddzielnego pracownika, ale także prowadzą propagandę książki i słowa polskiego. Nową placówką jest Towarzystwo Kultury Polskiej w Edmontonie, w prowincji Alberta. Propaguje książkę zarówno na łamach miesięcznego biuletynu-okólnika jak i poprzez kiermasze. Trzeci z rzędu odbył się w sierpniu bież. roku.

Benedykt HEYDENKORN

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Polacy mówią: „sezon ogórkowy”. Rosjanie nazywają go „martwym sezonem”. Ten metaforyczny zwrot przestał być w 1984 roku obrazem literackim, a stał się precyzyjnym określeniem sytuacji na Kremlu: „martwy sezon” — Biuro Polityczne czeka na śmierć kolejnego generalnego sekretarza KC KPZS. Konstantyn Czernienko oczywiście nie jest już młodzieńcem, ale też nie jest — jak na dzisiejsze czasy — tak bardzo stary: jego rówieśnik Reagan rąbie drzewa i szykuje się do następnej kadencji w Białym Domu.

Śmierć Andropowa i ciężka choroba Czernienki pozwolą zapewne lekarzom opisać „syndrom sekretarza generalnego”. Nie trudno zauważyć, że sowieccy funkcjonariusze potrafią przez dziesięciolecia zajmować wysokie stanowiska: Nikołaj Patoliczew siedzi na stanowisku ministra handlu wewnętrznego 30 lat, Andriej Gromyko jest ministrem spraw zagranicznych od lat 27, Jurij Andropow stał na czele KGB przez lat 15. Ledwie jednak funkcjonariusza robią generalnym sekretarzem, ten słabnie, nie wytrzymuje, umiera. Widocznie w pewnym wieku (powiedzmy po 65 roku życia) zbyt długie oczekiwanie i szok zwycięstwa (zajęcie najwyższego stanowiska) błyskawicznie łąmią organizm. Ale to są amatorskie rozważania medyczne.

Spodziewane rychłe zwolnienie fotela generalnego sekretarza każe znowu zastanowić się nad następcami. W Moskwie są przekonani, że „młodzież” i tym razem nie jest jeszcze gotowa. Mówi się o jeszcze jednym „przejsiowym” wodzu na kilka lat. Logika tych domysłów jest prosta: starcy obsadzeni w drugich rolach nie chcą jeszcze odejść. 60-letni młodzieniaszek na stanowisku *genseka* oznaczać będzie przejście na emeryturę licznych „niezastąpionych” członków Politbiura. Nie bez znaczenia jest też, że o ile średni wiek członków Politbiura wynosi po śmierci Andropowa 67,3 lata, to średni wiek dziewięciu głównych przywódców

równa się 68,7 latom. Minister obrony Dimitrij Ustinow liczy sobie lat 76, szef Głównego Zarządu Politycznego Aleksiej Jepszew — 76, dowódca floty Siergiej Gorszkow — 74, dowódca lotnictwa Paweł Kutakow — 69, tyleż samo dowódca wojsk rakietowych Władimir Tołubko. Z „młodych” szef wojsk Paktu Warszawskiego Wiktor Kulikow ma lat 62, szef sztabu generalnego Nikołaj Ogarkow — 66. Łatwo sobie wyobrazić, że za ich plecami stoją młodzi generałowie armii i pułkownicy, oczekujący nadejścia „młodego” generalnego sekretarza.

Wybór „młodych” jest niewielki: dziś pretendują Michaił Gorbaczew i Grigorij Romanow. Zbyt wcześnie jednak, jak się zdaje, zdradzili swe ambicje. Poważny cios zadał kandydatowi M. Gorbaczowowi prezydent Francji, który w czasie swego pobytu w Moskwie wyraził specjalne życzenie spotkania się właśnie z nim. Spotkać im się oczywiście nie dano, ale w aktach Gorbaczowa znalazła się gruba krecha.

Fakt, że prezydent francuski pragnie się spotkać z domniemanym pretendentem i że mu się to nie udaje, to oznaki nowych czasów. William Shirer, amerykański korespondent w Berlinie w latach 30-tych, wspomina w swych niedawno opublikowanych pamiętnikach pt. „Koszmarne lata 1930-1940” spotkania z wodzami hitlerowskich Niemiec, bezustanne bankiety, konferencje prasowe i prywatne rozmowy. Podobnie jak inni dziennikarze, Shirer doskonale znał prywatne życie wodzów i ich biografie. Można się tylko domyślać, jak ewoluowałaby znajomość życia nazistowskich wodzów, gdyby hitlerowskie Niemcy potrafiły dłużej. W republice sowieckiej, w pierwszych latach po rewolucji, przywódcy byli jeszcze dobrze znani szerokiemu kręgowi byłych znajomych. Ale mgła tajemnicy zaczęła się stopniowo zagęszczać: Stalin radykalnie oczyścił teren wokół swego życia, zlikwidował znanych przywódców, dobrał sobie nowych, znanych tylko jemu samemu. Dziś nikt nie wie, skąd trafił na Kreml Czernienko. Jutro zagadka będzie jeszcze większa: nowi przywódcy dojrzejają w zaciszu gabinetów i będą wypływać na wierzchy w maskach, za którymi nie będzie żadnych twarzy.

Doskonały portret przywódców sowieckich maluje Ernst Nieizwiestny w niedużym zbiorze wspomnień i artykułów¹. Udał się kiedyś w Moskwie do gmachu KC na spotkanie ze znajomym. Kończył się dzień pracy i „mózg kraju” zaczął wypływać z gabinetów. Słynny rzeźbiarz uprzytomnił sobie nagle, że „to stado było w całości jednakowe. Przechodzili koło mnie inkubatorowi bliźniacy z absolutnie zatartymi indywidualnymi cechami. Różnica wagi i wzrostu nie miała znaczenia”. Przy bliższym wejściu rzeźbiarz dostrzegł wprawnym okiem artysty, że stado dzieli się na dwa typy. Jedną nazwał „czerwoniutkami”, a drugą „zieloniutkami”. „Czerwoniutcy” to z reguły typ chłopski (typ grubego chłopca, nie zaś szczupłego arystokratycznego ziemianina). Porządne garnitury jakoś źle na nich leżą; *pince-nez*, okulary —

1. „Goworit Nieizwiestnyj”, Frankfurt/Main, 1984.

wszystko jakby na maskaradę, jakby kradzione, cudze. Wszyscy są dziwnie i nienaturalnie otyli. Nie po prostu grubi, co byłoby normalne — nie, ci ludzie są najwyraźniej spasieni pożywieniem, do jakiego nie przywykli... Obżarte wysokokalorycznym pożywieniem i nietamowane żadną pożyteczną działalnością ciało rozrosło się: wszystkiego mają dużo — policzków, brwi, uszu, brzuchów, ud, pośladków”. „Czerwoniutcy” — to *naczelstwo*, kategoria sowieckich nietykalnych, którym wszystko wolno: zgnoić zbiory, zakupić niepotrzebne nikomu towary, przegrać wszystko i wszędzie — nic nie burzy ich spokoju, skoro są nieomylni”. „Zieloniutcy” natomiast to referenci, czyli ci, którzy mają „mamrotanie 'czerwoniutkich' przerobić na zborne wypowiedzi”. Ci rekrutują się „z uniwersytetów, spośród dziennikarzy, filozofów...”. „Są sprytni, nerwowi, bladawi, nie dość czerwoni, chociaż jedzą to samo; ale im to pożywienie nie służy”.

Nie ulega wątpliwości, że głęboka tajemnica, jaka okrywa „czerwoniutkich” potrzebna im jest po to, by w spokoju podejmować niekontrolowane decyzje, wpływające dziś na losy świata.

„Martwy sezon” w Moskwie to nie tylko oczekiwanie na śmierć wodza, ale też niepodjęcie jakichkolwiek decyzji poza odmownymi. Jedyne „pozytywne” decyzje zapadają w dziedzinie represji: liczba aresztowań i procesów znacznie wzrosła. Prześladowania spadają dziś na dysydentów potencjalnych, aby zdusić w zarodku wszelkie możliwości wyrażenia samodzielnego przekonania. Częściej pojawiają się w prasie informacje o procesach „złodziei mienia socjalistycznego”. Prasa zachodnia odnotowała z zadowoleniem notatkę z *Wieczornej Moskwy* (13 lipca br.) o rozstrzelaniu byłego dyrektora moskiewskich delikatesów nr 1, jako zapowiedź kontynuacji andropowowskiej „kampanii walki z korupcją”. Nigdy nie pojmowałem, dlaczego zachodnich dziennikarzy tak cieszy walka z korupcją w ZSSR, za którą zawsze się kryją określone cele polityczne. W dzisiejszych komunikatach o aresztowaniach, procesach i egzekucjach uderza fakt, że przestępstwa — kradzieże, łapówki, korupcja — mają miejsce głównie w republikach narodowych. W rosyjskiej republice także się oczywiście zdarzają odosobnione przestępstwa (wspomniany dyrektor delikatesów), ale w republikach nierosyjskich są one na porządku dziennym. Dużo się pisze np. o „poważnych niedoborach” w Uzbekistanie, na Łotwie pierwszym sekretarzem KC mianowano byłego przewodniczącego KGB (działacz komsomołu a potem partii, siedem lat przepracował w KGB — zdaje się, że niedługo staż w policji politycznej będzie niezbędnym warunkiem do objęcia stanowiska pierwszego sekretarza KC). Ogłasza się komunikaty o aresztowaniach w Kirgizji, Turkmenii, Azerbejdżanie. *Prawda* z 23 lipca br. bez ogródek relacjonuje, że minister wydał 100 tys. rubli przeznaczone na budowę muzeum na postawienie sobie dachy. Ale ten minister nazywa się Udmurtii.

Walka z korupcją należy do kategorii „igrzysk” ku zaspokojeniu potrzeb ludu. Z „chlebem” natomiast, rozumianym jak najdostojniej — kolejne trudności. Zbiory 1984 roku będą według

najoptymistyczniejszych prognoz gorsze od zeszłorocznych. Paryski dziennik *Figaro* z 16 lipca br. informację o przewidywanych zbiorach na świecie opatrzył tytułem „Zboże — dobry urodzaj wszędzie poza ZSSR”. Kolejne „środki”, polegające wyłącznie na planach organizacji i reorganizacji rolnictwa, nie dają żadnych rezultatów. Jedyna możliwość wykarmienia ludności, zakupy zboża za granicą, wykorzystywana jest w pełni. W ubiegłym roku Związek Sowiecki zakupił 33,5 mln ton zboża, z czego 6 mln ton w USA. W bieżącym roku już zakupiono w USA 12,2 mln ton.

Nie ulega kwestii, że rolnictwo będzie się coraz bardziej rozpadało. Przyczyna jest powszechnie wiadoma. Na poświęconym kolejnej reorganizacji rolnictwa plenum KC mowa była o tym, że należy „koniecznie wyraźniej oddzielić funkcje organów partyjnych i organów gospodarczych”, czyli że komitety partyjne mają się odrobinę, ciut-ciut mniej mieszać do spraw kołchozów i sowchozów. Plenum odbyło się w lutym 1984 roku, a w sierpniu można już podziwiać rezultaty — zero. I to jednak jest normalne: jeśli partia dziś przestanie totalnie zarządzać kołchozami, jutro może się okazać, że i inne dziedziny potrafią się bez niej obejść.

Miejsce partii w sowieckim życiu z talentem opisał sowiecki poeta Nikołaj Dorizo. Nie bojąc się skazić przekładem sensu utworu poetyckiego, cytuje: „Biją kuranty w ciszy — serce partii. Atom pławi się w ogniu — siła partii. Wybująco w polu zboże — mądrość partii. Mądrość partii — po wieki wieków”.

Mądrość partii polega przede wszystkim na umiejętności zastąpienia tego, czego nie ma, tym, co jest. Powiedzmy — nie ma chleba, za to jest walka z korupcją i z tymi, którzy przeskadzają sowieckiemu człowiekowi dobrze żyć.

Latem, w „martwym sezonie”, partia zajęła się młodzieżą. W lipcu odbyło się specjalne plenum KC. Rezolucja (półtorej strony *Prawdy*, 7 lipca br.) wskazuje na „poważne niedociągnięcia” w polityczno-wychowawczej pracy wśród młodzieży. Do grzechów sowieckiej młodzieży należą: pijanstwo (dyżurny grzech, który się stale potępia, wiedząc, że nie ma w tym nic specjalnie złego), amoralne postępowanie, „duch konsumpcji”, czyli chęć posiadania.

Główny grzech jednak to „apolityczne, niemoralne i ślepe uleganie zachodniej modzie, indywidualizm”. W tym punkcie wypada się zgodzić z KC KPZS — indywidualizm i naśladowanie Zachodu to zjawiska całkowicie antysowieckie. Należy zatem, stwierdza rezolucja, „postawić zdecydowaną tamę wpływom burżuazyjnej kultury masowej”. W maju, kiedy jeszcze pojawiał się publicznie, Konstantyn Czernienko oznajmił, że „leninowskie wychowanie młodzieży może być realizowane tylko wokół starej gwardii”. Stara gwardia proponuje młodzieży przede wszystkim kolejny ostry zakaz wszystkiego, co „zachodnie”. Natychmiast po plenum wydano uchwałę, zakazującą wszystkim studiom dźwiękowym nagrywanie na płyty i taśmy zachodniej muzyki pop

bez specjalnego zezwolenia. Po drugie stara gwardia proponuje stary wypróbowany sposób — przygotowania wojenne. Między 3-cim a 7-mym sierpnia 140 „dywizji młodzieżowych” uczestniczyło w ogólnokrajowej grze wojennej „Orlątko”. Piętnasto- i siedemnastoletni chłopcy i dziewczynki strzelali z automatów, przepływali wodne zapory w pełnym rynsztunku, rzucali granaty. Krótko mówiąc zabawiali się pod przewodnictwem generałów i pułkowników. Prasa sowiecka, która szydzi z trudności oddechowych sportsmenów, którzy dali się skusić Amerykanom i pojechali na Olimpiadę, nie znajduje słów dla wychwalania prawdziwie pacyfistycznych igrzysk „Orlątko”. W przyszłym roku zorganizuje się podobną grę, pod nazwą „Błyskawica”, dla młodszych dzieci. Stara gwardia o nich oczywiście także nie zapomina.

Arkadij Bielinkow jest twórcą znakomitej formuły „miarą podłości ustrojów jest ich stosunek do sztuki”. I tak np. konferencja prasowa, jaka odbyła się w Mediolanie w lipcu 1984 roku była kolejnym pokazem podłości. Władimir Maksimow i Mstisław Rostropowicz witali na niej Jurija Lubimowa i Andrieja Tarkowskiego, którzy postanowili zostać na Zachodzie. Warte uwagi jest to, że nowi *niewozwraszczeńcy* podkreślają swoją apolityczność i pragnienie dalszej pracy w kraju. Stwierdzają tylko, że pracować im tam dłużej nie pozwalają. Decyzja największego rosyjskiego reżysera teatralnego i największego rosyjskiego reżysera filmowego odzwierciedla zwiększający się nacisk, jaki przygniata sowieckich artystów. Ani Lubimow ani Tarkowski nigdy nie byli dysydentami (podkreślają to także na Zachodzie), byli bardzo utalentowanymi artystami, którym władze pozwalały robić — w ściśle określonych ramach — to, na co mieli ochotę. Czasy się jednak zmieniły.

Nowe czasy doskonale opisał Władimir Wojnowicz, jeden z najciekawszych i najmądrzejszych żyjących pisarzy rosyjskich. Gustaw Herling-Grudziński inteligentnie zauważył, że Wojnowicz jest „anty-Zinowiewem”, myślę jednak, że jego miejsce w literaturze na tym się nie kończy. W pierwszym numerze nowego emigracyjnego pisma *Strielec* ukazał się fragment nieukończony powieści Wojnowicza pt. „Czapka”. Historia jest prosta: w Litfondzie szyje się czapki dla pisarzy, różnym pisarzom z różnych materiałów. Efimowi Rachlinowi, autorowi licznych utworów o porządnym sowieckim obywatelach, należy się czapka z królika, a nie z jakiegoś drogiego materiału, jak niektórym innym. Efim przychodzi do swojego przyjaciela-alkoholika, słynnego pisarza Wasilija Karetnikowa, bohatera pracy socjalistycznej, deputowanego i laureata, i skarży się na tę czapkę z królika. Wasilij Karetnikow, choć pijany, wszystko widzi i wszystko wie, z gniewem strofuje Efima Rachlina, wykładając przy okazji zasadę sowieckiej polityki kulturalnej: „Mądryś ty, jak widzę, bardzo za mądry. Będziesz pisał o porządnym ludziach, jakby nie było żadnej partii komunistycznej ani żadnej władzy sowieckiej. To głupota, mój drogi. Jeśli już chcesz, żeby nas zrównali, to i w innym nie uciekaj od równości. Napisz jak ja, śmiało, bez

ogródek: „Zawsze z partią, zawsze z narodem”. Posiedź z dzieścię-dwadzieścia lat w przydiach... wygłoś ze sto-dwieście głupich mów, a potem, owszem, przychodź po czapkę... Ty mi pewnie zazdrościsz, że jeżdżę za granicę i różne szmatki przywożę. Ale widzisz tylko jedną stronę mojego życia. A nie widzisz, że ja tam jeszcze za pokój na całym świecie, taka jego mać, walczę. A ty przecież też byłeś na wycieczce zagranicznej. Gdzie? W Paryżu? Pytania ci tam zadawali. A ty co odpowiadałeś? Że się polityką nie zajmujesz. A mnie się tak wykręcać nie wolno. Ja muszę odpowiadać wprost i odpowiadam. Co myślę o Sacharowie? Myślę, że obłąkany. Co myślę o Afganistanie? Myślę, że tych bandytów trzeba dusić. Myślisz, że mi jest przyjemnie? Nie... Też chcę pisać o porządnych ludziach i udawać, że nie wiem, kto to taki Sacharow i co to takiego Afganistan. Myślisz, że jak nie piszesz przeciwko władzy sowieckiej, to ci będziemy dziękować? Nie, nam nie wystarcza, że nie jesteś przeciw. Nam trzeba za”.

Pięćdziesiąt lat temu Ilf i Pietrow stwierdzili: nie wystarczy kochać władzę sowiecką, trzeba, żeby ona nas kochała. Przez krótki czas niektórym działaczom kultury wydawało się, że wystarczy nie być przeciw. Dziś wszyscy wiedzą, że trzeba być za. Świadomość tego zmusza do wyboru tych, którzy czują w sobie talent i mają możliwość opuszczenia raju „dojrzałego socjalizmu”. Jest to wybór bardzo trudny nie tylko dlatego, że ciężko jest opuszczać ojczyznę, ale też dlatego, że trudno jest zdecydować się na zaczynanie życia w innym, wolnym świecie. W nowym filmie Andrieja Tarkowskiego „Nostalgia” bohater cytując przypowieść: idzie człowiek, widzi, że ktoś tonie w bagnie, rzuca się w błoto, ryzykując życiem wyciąga topielca i pyta: zadowolonyś? A wyratowany odpowiada: ty durniu, przecież ja tam żyję.

Adam KRUCZEK

12 sierpnia 1984

Kronika niemiecka

Kolońska rozgłośnia *Westdeutscher Rundfunk* nadała w specjalnym programie dwa opowiadania Marka Nowakowskiego — *Stan wojny* (ze zbioru *Raport o stanie wojennym*, t. I, Instytut Literacki, Paryż 1982) oraz *Pies ślepca* (*Kultura* nr 6/1984) w tłumaczeniu Margitty Weber. Audycje poprzedziła szczegółowa nota biograficzna o autorze, w której zaznaczono represje, jakie dotknęły popularnego w kraju i na emigracji pisarza. Opowiadanie *Pies ślepca* było też emitowane w programie polskim *Radio Free Europe*. ■ Z kilkunastu filmów, jakie miały wejść w ostatnich miesiącach

na PRL-owskie ekrany kinomani zobaczyli tylko kilka. Powód — brak taśmy na wykonywanie kopii filmowych. Dostawy z zakładów *ORWO* w NRD pokrywają jedynie 52 % potrzeb. ■ Bożena Kinasz-Mikołajczak śpiewała w premierowej *Turandot* Pucciniego w Wuppertalu, a Jadwiga Rappe w Karlsruhe w premierowym przedstawieniu Haendla — *Juliusz Cesar*. ■ Poseł do *Bundestagu* z ramienia *CDU*, Herbert Czaja, został ponownie przewodniczącym *Związku Przesiedleńców*. Czaja przeszedł do *Związku* od 1970 roku. ■ Opowiadanie Witolda Gombrowicza *Bakakaj* ukazało się w przekładzie niemieckim nakładem monachijskiego domu wydawniczego *Carl Hanser Verlag*. Bardzo przychylną recenzję pióra Wernera Fulda zamieściła *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ Nowo wydana powieść Witolda Gombrowicza *Ferdydurke* (*Carl Hanser Verlag, Monachium*) uzyskała w klasyfikacji 54 punkty i znalazła się na pierwszym miejscu listy najlepszych książek, ogłaszanej przez radiostację *Südwestfunk* (Baden-Baden). ■ Günter Grass zadebiutował wreszcie na NRD-owskim rynku wydawniczym: nowela *Katz und Maus* została wydana przez *Verlag Volk und Welt* (w Polsce ukazała się po raz pierwszy w 1963 roku). ■ Tegoroczną literacką *Nagrode Pokoju im. Konrada Adenauera* otrzymał rosyjski pisarz, b. więzień sowieckich łagrów — Władimir Bukowski. ■ Artyści *Teatru Wielkiego* podbili kilońską publiczność dwoma spektaklami. Były to: *Amadigi di Gaula* Haendla oraz *Manekiny* w reżyserii M. Grzebińskiego. ■ Wystawa obrazów na aluminium Petera Buscha (RFN) otwarta została w *Galerii Rzeźby* w Warszawie. ■ Na międzynarodowej konferencji w sprawie ochrony środowiska naturalnego, która odbyła się w Monachium, podano, że do najbardziej zagrożonych i skażonych krajów Europy należy NRD. Zanieczyszczeniami dotknięta jest szczególnie południowa część NRD; 50 % produkcji koncentruje się w rejonach Lipska, Halle, Drezna i Karl-Marx-Stadt (Chemnitz). ■ Prace Hansa-Jörga Votha zgromadzone na wystawie malarstwa w *Pawilonie BWA* w Krakowie. Zorganizowano ją przy współpracy *Hali Sztuki* z Norymbergi. ■ Na *Uniwersytecie* w Kolonii odbyła się obrona pierwszej na Zachodzie pracy doktorskiej dotyczącej malarstwa Jacka Malczewskiego. Pracę złożyła i obroniła Polka, Izabella Żuralska (opiekę naukową sprawował dyrektor *Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu* w Kolonii — prof. Joachim Gaus). Tematem pracy są powiązania twórczości Jacka Malczewskiego z nurtem malarstwa europejskiego z końca ub. wieku. ■ W Dolnej Saksonii 3.800 gimnazjalistów uczy się języka rosyjskiego (w całej RFN — 22.000). ■ 250 klinik w PRL otrzymało od *Niemieckiego Czerwonego Krzyża (DRK)* sprzęt medyczny i leki wartości 1,2 mln marek (sumę tę *DRK* otrzymał z kasy *Wspólnoty Europejskiej*). ■ Telewizja zachodniemiecka wyświetliła film o *Zakładzie dla Ociemniałych* w Laskach k/Warszawy. ■ Rząd PRL wypuszczając rocznie do RFN po kilkanaście tysięcy Niemców, twierdzi z uporem, iż w Polsce „nie ma problemu tzw. mniejszości niemieckiej”. A jednak ten problem istnieje. Władysław Czapliński w interesującym artykule, zamieszczonym na łamach poznańskiego *Przeglądu Zachodniego*, pisze m.in.: „Wydaje się, że liczba osób narodowości niemieckiej w Polsce nie przekracza obecnie 10 tys. Zwraca natomiast uwagę fakt, że w ciągu ostatnich lat *GUS* nie opublikował danych na temat mniejszości narodowych w Polsce”. W ub. roku wyjechało z Polski do RFN ok. 18 tys. osób narodowości niemieckiej; w zachodniemieckiej ambasadzie w Warszawie zarejestrowanych jest dalszych 200 tys. osób. Prawdopodobnie kandydatów na wyjazd byłoby znacznie mniej gdyby rząd PRL zagwarantował wreszcie należne prawa polskim Niemcom. O korzystaniu z tych praw przez 200-tysięczną Polonię w RFN nie trzeba przypominać. ■ Polska sprzedaje do RFN makulaturę „za artykuły rynkowe i książki”. ■ Prasa NRD wysoko oceniła spektakl *Borysa Godunowa* w wykonaniu *Warszawskiego Teatru Wielkiego* na międzynarodowym festiwalu w Dreźnie. ■ Nakładem *Naszej Księgarni* ukazała się książka Edmunda

Osmańczyka pt. *Wiśła i Kraków to Rodło*. Tematem książki jest walka Polaków zamieszkałych w przedwojennych Niemczech o prawo do zachowania tożsamości narodowej. ■ W Bonn odbyła się konferencja prasowa (bardzo słaba frekwencja!) w sprawie Polaków pozostających w RFN na tzw. *Duldungu* (tolerowanie pobytu) oraz prób przymusowego przeniesienia niektórych członków redakcji *Poglądu* i *Archipelagu* z Berlina Zachodniego do innych części Niemiec. Organizatorami konferencji byli: przewodniczący *Towarzystwa Solidarność* (Berlin Zachodni), Edward Klimczak i mgr. Tadeusz Folek (Kolonja). Przybyli dziennikarze z agencji *Reutera*, kwartalnika *Kontinent* (Christof Hyla), *KNA*, *Życia Warszawy* (Zbigniew Ramotowski) i ekipa... czeskiej telewizji. Z *Ministerstwa Pracy* zjawił się A. Oeffnen. Odgłosy prasowe prawie żadne; po prostu Polacy w RFN ciągle jeszcze nie posiadają skutecznie działającej reprezentacji. ■ W 5-dniowej międzynarodowej konferencji, zorganizowanej przez *Komisję Historyczną Berlina Zachodniego* i poświęconej głównie stosunkowi niemieckiego społeczeństwa do antyhitlerowskiego ruchu oporu uczestniczył dziennikarz i historyk Tadeusz Zencykowski (Zawadzki) z Londynu, który — jak pisze londyński *Dziennik* — stwierdził m.in., że w Polsce ze zdziwieniem obserwowano bezradność ruchu oporu w III Rzeszy, mającego bardziej charakter politycznej opozycji niż walczącego, masowego *Widerstandu*; ruch ten w okresie hitlerowskim nie posiadał ani centralnego kierownictwa ani ogólnego programu; składał się z luźnych i rozproszonych grup („Do AK nikt z niemieckiego ruchu oporu nie zgłaszał się z propozycją współpracy”). ■ *Forum PRL — RFN*, które po czteroletniej przerwie miało obradować w czerwcu br. w Krakowie, zostało odwołane „na życzenie strony polskiej” (*FAZ*). Podobno Ryszard Wojna w imieniu *Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu* wyraził zastrzeżenia co do składu delegacji zachodnioniemieckiej. ■ *Dom Polski* w Recklinghausen zgromadził ok. 400 uczestniczek *V Zjazdu Kobiet*, członkiń proreżymowego *Związku Polaków ZGODA*. Na *Zjeździe* przemawiała posłanka na Sejm Krystyna Marszałek-Młyńczak, która przewodniczyła delegacji *Towarzystwa POLONIA*. Na *Zjeździe* obecny był również konsul generalny PRL Kazimierz Koś. Impreza odbywała się pod hasłem: „Polska jest naszą matką, a o matce nie można mówić źle”... ■ W Polsce bawiła grupa przedstawicieli zachodnioniemieckiej sekcji międzynarodowego ruchu *Pax Christi*. Główny cel wizyty-pielgrzymki grupy, na której czele stali: prezes — bp Walter Kampe oraz sekretarz generalny dr Angsar Koschel, stanowiły byłe obozy koncentracyjne Oświęcim i Brzezinka. Niemiecy goście odwiedzili także krakowski *Klub Inteligencji Katolickiej*, z którym — podobnie jak z całym środowiskiem *ZNAK-u* łączy *Pax Christi* istniejąca od dawna współpraca: *Pax Christi* odegrał znaczną rolę w mobilizowaniu ofiarności społeczeństwa zachodnioniemieckiego na rzecz Polski. Organizacja występowała także publicznie w obronie internowanych i więzionych działaczy polskiego ruchu demokratycznego. W tym okresie szczególną aktywnością odznaczał się Reinhold Lehmann, autor kilku pionierskich prac na temat koniecności zbliżenia niemiecko-polskiego. ■ W zachodniobrzezińskim *Literarisches Colloquium* Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt — *Aus den Gedanken eines polnischen Europäers* (Myśli polskiego Europejczyka). Dużo ludzi, żywa dyskusja; wprowadzenie Joachima Schädlich z *PEN-Clubu* (poprzednio w NRD). Były obszerne echa prasowe w *Berliner Morgenpost* i *Der Tagesspiegel*. ■ Przedsiębiorstwa zachodnioniemieckie i węgierskie zawarły dotychczas 330 porozumień kooperacyjnych, a strona węgierska wyraziła życzenie zawarcia umowy handlowej ze *Wspólnotą Europejską*. W 1983 roku na Węgrzech przebywało ok. 700 tys. obywateli RFN, a ponad 100 tys. Węgrów odwiedziło Niemcy Zachodnie. ■ Rzeźby Henryka Zagadły prezentowane na wielu wystawach są wysoko oceniane przez prasę niemiecką. Polski artysta ludowy mieszka i tworzy od kilku lat w Esslingen (Palatynat). ■ Według

oświadczenia monachijskiego *Związku Katolickich Pracodawców*, władze PRL, bez podania przyczyn, odmówiły dzieciom polskim pozwolenia na spędzenie bezpłatnych wakacji letnich w Bawarii. Przyjechać miało ponad 1.000 dzieci (por. *Kultura* nr 7-8/1984, str. 131). *Związek Katolickich Pracodawców*, który zaprosił dzieci polskie także w ub. roku, nazwał tę decyzję „niehumanitarnym stanowiskiem rządu PRL”. ■ Z inicjatywy *Grupy Roboczych Solidarności* i kolońskiego *Koła P.P.S.* zorganizowano przed ambasadą PRL w Kolonii manifestację z okazji 40-lecia przechwycenia władzy w Polsce przez komunistów. Głównym mówcą był Tadeusz Folek z Kolonii, prawnik i publicysta. Zarzucił on reżymowi PRL popełnienie niezliczonych zbrodni politycznych w ciągu 40 lat sprawowania władzy. Polscy manifestanci wystąpili również z postulatem przyznania wreszcie takich samych praw niemieckiej mniejszości w Polsce, z jakich korzystają Polacy w RFN. ■ Zachodnioniemiecka agencja prasowa *DPA* w korespondencji z Warszawy przyniosła nowe informacje dotyczące przygotowań do uruchomienia *Fundacji Rolniczej*. Skupieni wokół Kościoła eksperci, na czele których stanął prof. Andrzej Stelmachowski, przygotowali już plany kosztorysów poszczególnych, objętych programem, akcji. Ich zdaniem dla całkowitej realizacji pomocy niezbędne są fundusze rządu 5 mld DM w ciągu pięciu lat. Tzw. *projekt pilotowy* wymaga środków ok. 78 mln DM (ma zostać uruchomiony w listopadzie lub grudniu bież. roku). *Komisja Episkopatu Polski* i przedstawiciele rządu prowadzą nadal negocjacje; w dwóch punktach nadal istnieją dość poważne kontrowersje. Agencja *DPA* określa je jako kwestię opodatkowania *Fundacji* (!) i inne sprawy finansowe. Zaznacza się także wyraźnie iż oficjalnie *Kościół Polski* nie jest patronem *Fundacji* (warunek strony rządowej?). ■ Wydział konsularny ambasady RFN w Warszawie wydawał w czerwcu i lipcu br. przeciętnie 2 tys. wiz dziennie. Od 1 stycznia do 30 czerwca br. wizy RFN otrzymało 148 tys. obywateli PRL (w tej liczbie mieszczą się również przesiedleńcy). Dla porównania: Francuzi — 18 tys.; Austriacy — 20 tys.; Anglicy — 8,5 tys.; USA — 8 tys. wiz. ■ Spore zainteresowanie prasy wzbudziły wernisaże polskiego grafika, Marka Leszczyńskiego, w *Galerie Claoise* (Sindelfingen) i w *Landestheater* (Tybinga). Leszczyński współpracuje z *Amnesty International*. ■ Na wielkim *Zjeździe Katolików* (*Katholikentag*) w Monachium kardynał Józef Glemp w krótkim wystąpieniu powiedział m.in.: „Będę myślał w modlitwach specjalnie o tych [Niemcach], którzy tak wspaniałomyślnie w ostatnich latach pomagali polskiemu narodowi”. Nie wiadomo dlaczego nie doszło do zapowiedzianej homilii, która została w ostatniej chwili przez Prymasa odwołana. ■ Wśród polskich wystąpień na monachijskim *Katholikentagu* należy odnotować główny referat Władysława Bartoszewskiego — *Europa — więcej niż nadzieja?*, który podkreślił, że Europa, to nie tylko pojęcie geograficzne, ale również jedność duchowych wartości, które kształtują postawy i zachowania, wybiegające daleko poza granice, wyznaczone sztucznie przez polityków, czy wydarzenia dziejowe. ■ Podziemne pismo *KOS* poświęca ostatnio sporo miejsca sprawom polsko-niemieckim. W jednym z ostatnich numerów K. Grodkowski pisze m.in.: „Stawiać trzeba na nawiązywanie kontaktów z CDU, ponieważ to ona najprawdopodobniej będzie długo sprawować władzę. Trzeba być przy tym ostrożnym i cierpliwym. Wymownym przykładem trudności w tej dziedzinie jest słynne wystąpienie Aloisa Mertesa. Prawda jest taka, że wyszedł nam on naprzeciw, że polskie ziemie zachodnie są w przytłaczającej większości zamieszkałe przez Polaków i, że ten fakt ma znaczenie rozstrzygające. Rząd w Warszawie udął, że tego nie rozumie i natychmiast dał hasło do antyniemieckiej nagonki — zgodnie z interesem rosyjskim, a nie polskim. Gorzej, że nie zrozumiała tego również część opinii niezależnej...”. ■ W wydawnictwie *Verlag C. H. Beck* (Monachium) ukazała się praca Michaela Müllera — *Geschichte der Teilungen Polens: 1772 - 1793 - 1795* (*Historia rozbiorów Polski*). ■ Przemysł

NRD-owski zatrudnia ok. 12 tys. polskich robotników, którzy zarobione w NRD pieniądze niemal w całości przeznaczają na zakupy, głównie żywności, ponieważ w Polsce nie korzystają z kart zaopatrzeniowych. W Zgorzlecu i Jeleniej Górze wokół zatrudnionych w NRD tworzy się od pewnego czasu nie najlepsza atmosfera (wysokie zarobki, możliwości kupna atrakcyjnych towarów). ■ W RFN pracuje zaledwie 109 polskich specjalistów (głównie konserwatorzy zabytków), zatrudnionych na podstawie kontraktów indywidualnych z ramienia *PolSERVICE*. ■ W związku z procesem działaczy *KOR-u* niezwykle ruchliwe bońskie *Towarzystwo Kontinent* zorganizowało szeroko zakrojoną akcję wysyłania telegramów protestacyjnych do władz PRL. Jednymi z pierwszych, którzy podjęli apel i natychmiast depeszowali do przewodniczącego *Rady Państwa*, Henryka Jabłońskiego, byli wybitni prawnicy — M. Kriele i H. Schiedermaier z *Uniwersytetu w Kolonii*. ■ Prasa zachodnioniemiecka odnotowała jubileusz 70-tej rocznicy urodzin Petera Nasarskiego, niemieckiego dziennikarza i publicysty, rodem z Cieszyna, lecz łodzianina z wyboru, po wojnie pracującego w Berlinie a obecnie w Kolonii. Długoletni redaktor *Kulturpolitische Korrespondenz* dawał zawsze dowody jak bardzo leży mu na sercu sprawa pojednania Niemców i Polaków. Współautorstwo wspaniałego albumu *Sąsiedzi od tysiąca lat* (1974) i autorstwo kilku innych książek jest tego najlepszym przykładem.

Andrzej J. CHILECKI

NAKŁADEM ANEKSU

Jacek Kuroń

POLITYKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

ARTYKUŁY I ESEJE

Działy: Etyka zaangażowania. Tradycja i cele. Myśli o opozycji. Próba „Solidarności”. Z więzienia.

Str. 222.

Cena: £ 4.00; US \$ 10,00.

Władysław Bartoszewski

DNI WALCZĄCEJ STOLICY

KRONIKA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Str. 382.

Cena: £ 7.00; US \$ 14,00.

Adam Michnik

SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

WYBÓR ESEJÓW I ARTYKUŁÓW POLITYCZNYCH

Str. 256.

Cena: £ 4.80; US \$ 10,50.

ANEKS

61, Dorset Road, London W5 4HX, England

Kronika kulturalna

Pod znakiem knebla

I. Wytyczne partii o stosunku do literatury niezależnej

W prasie i komunikatach radiowych pojawiają się coraz częściej wiadomości o konfiskatach wydawnictw „nielegalnych”, zarówno emigracyjnych jak i krajowych, opublikowanych „poza cenzurą”. Wydawnictwa te są skrupulatnie wyławiane w czasie rewizji celnych, pocztowych, a nade wszystko tych powszednich, domowych, szeroko stosowanych mimo formalnego zakończenia stanu wojennego. Skala tych zabiegów i gorliwość, z jaką są wykonywane, bije rekordy epoki stalinowskiej, a ostatnio przybiera na sile. Znalazło to wyraz w jawnych wypowiedziach tzw. czynników miarodajnych, wycofujących się z wcześniejszych liberalniejszych wypowiedzi. O ile więc przed rokiem min. Kultury i Sztuki prof. Kazimierz Żygulski „nie orientował się w literaturze emigracyjnej” i przypuszczał, że „kryteria wydawania książek emigracyjnych są takie same jak dla utworów powstających w kraju”, a kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Witold Nawrocki zapewniał wydawców, iż IX Zjazd zezwala na „pełną swobodę wypowiedzi w twórczości i pełny społeczny obieg dzieł” — to obecnie karcą się wydawców za dopuszczanie do księgarń wydawnictw „wrogich socjalizmowi”, usuwa z planów wydawniczych już zatwierdzone tytuły i, jak wynika z lektury dowolnego numeru *Tygodnika Powszechnego*, zaostroża interwencje cenzury. Wypowiedzi „czynników miarodajnych” i wysługujących się im publicystów roją się od oskarżeń o postawę imperialistyczną, antysocjalistyczną i, używaną wymiennie, „antypolską”. Innym przykładem jest stawianie znaku równania między „emigracją polityczną” i „wewnętrzna”.

Stanowisko oficjalne wobec literatury emigracyjnej sformułował niedwuznacznie Kazimierz Molek, zastępca Nawrockiego, na konferencji odbytej w dniu 23 lutego br., poświęconej „ruchowi edytorskiemu dziś i jutro”. Konferencję przewodniczył wysoko postawiony w hierarchii partyjnej Waldemar Świrgoń, sekretarz KC, a celami imprezy były: 1) przywołanie do porządku wydawców, zbyt swobodnie interpretujących zeszłoroczne wytyczne i 2) wprowadzenie zmian do planów wydawniczych na rok bieżący, gdyż uznano je za zbyt liberalne. Myślą przewodnią organizatorów konferencji było nakazanie wydawcom „preferowania twórczości tych pisarzy, którzy własne biografie twórcze związali nierozzerwalnie z socjalizmem” (cytaty według *Życia Literackiego* z 4 marca 1984). Zdaniem Molka wskazana jest obecnie czujność wobec nasilenia działalności „sił antysocjalistycznych i kontrrewolucyjnych” w atmosferze „rozdarcia wewnętrznego”, którego ukryć się nie udaje. Molek poucza więc uczestników konferencji, że u źródeł zła stoi ukute pod wpływem perfidnej akcji obozu wrogię PRL-owi hasło jedności literatury. Ma ono ułatwiać infiltrację utworów „pisanych wprawdzie po polsku, ale osadzonych w innej kulturze politycznej” — słowem antykomunistycznej. Świadectwem tej akcji jest dla tow. Molka „festiwal Miłozsa”, „figury zastępczej, symbolu antykomunistycznej postawy emigracyjnej”, „poety pierwszorzędnej czy zaledwie drugorzędnej”. Mógłby co prawda sięgnąć po inny przykład, bliższy własnego jego podwórka. I tak: trzecie wydanie „Historii literatury polskiej w zarysie” w wydaniu PWN z marca 1983 (w stu tytułach nakładu) kończy się następującym posłaniem:

„Historia sprawiła, że po 1939 roku literatura polska rozwijała się w wielu regionach świata, także na emigracji. Niemniej polska literatura piękna, pisana w języku polskim jest jedna i niepodzielna. Gromadzi ona i wyraża doświadczenia Polaków gdziekolwiek by się oni znajdowali. Wszystkie dzieła pisane w języku polskim, niezależnie od miejsca, w którym powstały, są przedmiotem naszej uwagi”.

Po roku od ukazania się owego popularnego zarysu i „rzuceniu” go do księgarń a prawdopodobnie i wykupieniu nakładu, zorientowano się rzekomo w niewłaściwości tego ujęcia i zarządzono wycofanie książki z obiegu oficjalnego, co automatycznie wzmożło zainteresowanie jej treścią. Wskazują na to ceny czarnorynkowe i duże zapotrzebowanie.

Tow. Molek gorszy się także zjawiskiem „emigracji wewnętrznej” i jako przykłady wymienia nazwiska Marka Nowakowskiego (wówczas jeszcze na wolności), Mariana Brandysa i Tadeusza Konwickiego, którzy — publikując na emigracji dzieła pisane dla „innego sponsora” — chcieliby mimo to być nadal

drukowani w Kraju i proponują wydawcom swoje „dzieła niektóre”. Pójście im na rękę — grzmi Molek — byłoby zabiegiem podobnym do prób „obłaskawiania tygrysa” i równie nieskutecznym. A jednak, o zgrozo!, wydawcy poszli na daleko idące ustępstwa. Gorszy go, że w planach wydawniczych na rok bieżący (1984) figurują tytuły książek autorów „zaangażowanych politycznie przeciwko naszemu państwu”. Poczci ich jest okazały, a osoby takie jak Jacek Bocheński, Andrzej Drawicz, Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Anna Kamieńska, Julian Kornhauser, Tadeusz Konwicki, Jan Kott, Anka Kowalska, Urszula Kozioł, Andrzej Mandalian, Czesław Miłosz, Leszek Prorok, Julian Strykowski, Wiktor Woroszyński, Juliusz Żuławski „reprezentują fałszywą hierarchię wartości” i poważnym błędem były zawarte z nimi umowy. (W podtekście przewijała się prawdopodobnie myśl, iż łatwiej i taniej nie dopuścić zawczasu do umowy z krnąbrnym autorem, niż niszczyć gotowy już nakład).

Zdaniem Molka potrzebny jest „kanon czterdziestolecia”, ustalenie żelaznego repertuaru książek prawomyślnych i nasycanie nimi księgarń i bibliotek. (Tu dodać warto, że próbę ustalenia takiego kanonu podjęła *Polityka* w plebiscycie, o którym dalej będzie mowa).

Molek krytykuje także nadmiar przekładów książek autorów z krajów kapitalistycznych i nieostrożny dobór tytułów w ogóle i jako przykład błędnej polityki wydawniczej przytacza „festiwal Michaiła Bułhakowa” (w tym wypadku gorszy go także książka Drawicza o Bułhakowie).

Ze zgorzeniem cytuje wreszcie opinię krążącą w kołach wydawców, iż oto „mówi się, że w naszym pejzażu wydawniczym jedynie ruch katolicki posiada oficyny o wyraźnie określonym profilu ideowo-politycznym”. Wobec Miłozsa „obowiązuje błyskawica” — skarżą się wydawcy rozbijający się o prawo druku dalszych jego książek! Niesłuszne jest także drukowanie książek po pierwszym wydaniu w paryskiej *Kulturze* itd.

W dyskusji po przemówieniu Molka bardzo zdenerwowany sytuacją był, jak się zdaje, min. Żygulski. „Pamiętajmy — pouczaj zebrań — że wydawcą jest socjalistyczne państwo”, co w przekładzie na język kapitalistyczny oznacza: ja płacę, ja wymagam. „Pamiętajmy — kontynuował — i o tym także, że trzy lata temu były próby wywłaszczenia państwa także i w tej dziedzinie. Żadna reforma nie może przesłonić prawdy, że książka jest orężem politycznym. Jeśli przeciwnik drastycznie stosuje wybór, to z tego prawa musimy skorzystać także my”.

Przewodniczący konferencji, Waldemar Świrgoń, skarcił surowo wydawców za to, „że w większości działali przez 8 miesięcy

tak, jakby w czerwcu ub. roku (1983) nie było podobnej narady, wytyczającej drogi socjalistycznego kursu w wydawaniu książek. Jakby plany wydawnicze na rok 1984 były konstruowane bez wiedzy o ideologicznych zaleceniach XII i XIII plenum". A przecież — tu głos mu się prawdopodobnie załamywał — „imperialiści przeszli od prób rozmiękczenia polskiego społeczeństwa, w tym także świata twórców, do otwartej wojny ideologicznej”.

W omówieniu dyskusji „twórczej i kontrowersyjnej” (?) zwięźle streszczono wypowiedź Feliksa Fornalczyka, przemawiającego w imieniu Zespołu Pisarzy Partyjnych. Przypuszczalnym odpowiednikiem tego wystąpienia jest zapewne artykuł pt. „O sprawach książki” (*Argumenty*, 1. IV. 1984). Fornalczyk uważa, że zasadniczą rolę w obecnym kryzysie książki odgrywa postawa autorów i błędy lub przemilczenia recenzentów, którzy urabiać powinni opinie czytelników. „Zamiast sprzężenia wzajemnie wspomagających się czynników orzekających o kondycji literatury mamy do czynienia z rozkojarzeniem”. Powołując się na Irzykowskiego uważa, iż jest „najwyższa pora [aby] ogłosić walkę o treść, o treść naszej literatury”, domagać się jej „oryginalności i niezależności od wpływów obcych”. Skarży się na modny typ recenzji, z których „nie można najczęściej dowiedzieć się, o czym recenzowana książka traktuje” i jaka jest jej wartość ideowa. W praktyce oznacza to, że recenzenci pisząc mętnie i nie na temat uchylają się od roli cenzorów i, o zgrozo, wolą pisać felietony. Skutek jest taki, że czasopisma społeczno-polityczne, z wyjątkiem *Argumentów*, „zdominowała felietonistyka, która przynajmniej dwukrotnie w ciągu powojennego czterdziestolecia przyniosła niepowetowane szkody polskiemu życiu umysłowemu”. „Musimy wyraźnie sobie uświadomić, jakich książek nie chcemy, jakie książki są niepożądane”. A to wytłumaczył właśnie tow. Molek.

II. Plebiscyt „Polityki”

Wysuwana na konferencji opinia, iż potrzebny jest „kanon czterdziestolecia” w formie reprezentacyjnego zestawu dzieł literackich powstałych w okresie powojennym znalazła wyraz w ogłoszonym przez Redakcję *Polityki* plebiscycie czytelników: „Czterdzieści książek na Czterdziestolecie”. Wyniki ogłoszono w numerze z 7 kwietnia* — i natychmiast rozpętała się wokół nich ostra

* Wyniki plebiscytu (według *Polityki* z 7 kwietnia 1984, z dwiema poprawkami: Różewicz ma na imię Tadeusz, nie Stanisław, — autorem „Bolesława Chrobrego” jest Antoni Gołubiew, nie Gołubiew): 1. „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego, 2. „Kolumbowie” Romana Bratnego, 3. „Cesarz” Ryszarda Kapuścińskiego, 4. „Kamienne tablice” Wojciecha

polemika. Komentarz redakcyjny podpisany literą „K”, wyraża pogląd, iż nadeszło odpowiedzi „aż 1.564 osób”, dyskretnie ujawniając następnie, że nie wszyscy respondenci podali swe nazwiska i adresy. W stosunku do ćwierć miliona — a jak chce Rem nawet 350.000 — nakładu pisma jest to, Bogiem a prawdą, procent znikomy — zgodzić się jednak można z opinią, że materiały mówią dużo o upodobaniach ogółu.

Od przypuszczalnej listy zaleceń Wydziału Kultury KC PZPR wiele różni wyniki plebiscytu. Uderza w nich wysoka lokata autorów źle lub nawet bardzo źle widzianych i równie rzucająca się w oczy nieobecność książek autorów lektur szkolnych z „Pamiętką z Celulozy” Newerlego i „Trenem” Czeszki włącznie. Figuruje więc na niej np. Paweł Jasienica (5, 8, 18), Czesław Miłosz (23, 29, 30) i Tyrmand (36).

„Zniewolony umysł” Miłosza okazał się pozycją szczególnie kłopotliwą, gdyż brak dotąd legalnego wydania. Pośrednio świadczy to o rozmiarach infiltracji literatury emigracyjnej a także o odwadze głoszących (zwłaszcza jeśli podawali nazwiska i adresy na kartkach z proponowanymi przez siebie zestawami tytułów). Niemiła jest także gorliwcom partyjnym książka Tyrmanda (36), nie wznawiana od czasu opuszczenia PRL przez autora a tkwiąca, podobnie jak „Pierwszy krok w chmurach” Hłaski (35) w pamięci czytelników. Uderza także nie słabnąca popularność Wańkowicza (7, 12, 27) — i ułokowanie „Sennika współczesnego” Kon-

Zukrowskiego, 5. „Polska Piastów” Pawła Jasienicy, 6. „Sława i chwała” Jaroława Iwaszkiewicza, 7. „Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza, 8. „Polska Jagiellonów” Pawła Jasienicy, 9. „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego, 10. „Konopielka” Edwarda Redlińskiego, 11. „Miazga” Jerzego Andrzejewskiego, 12. „Ziele na kraterze” Melchiora Wańkowicza, 13. „Obłąd” Jerzego Krzysztonia, 14. „Niemcy” Leona Kruczkowskiego, 15. „Siedem polskich grzechów głównych” Zbigniewa Załuskiego, 16. „Sprawy Polaków” Edmunda Osmańczyka, 17. „Spizowa brama” Tadeusza Brezy, 18. „Rzeczpospolita Obojga Narodów” Pawła Jasienicy, 19. „Opowieści biblijne” Zenona Kosidowskiego, 20. „Medaliony” Zofii Nałkowskiej, 21. „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima, 22. „Najeźdźcy” Jana Dobraczyńskiego, 23. „Dolina Issy” Czesława Miłosza, 24. „Koniec świata szwależerów” Mariana Brandysa, 25. „Tango” Sławomira Mrożka, 26. „Dzieła” I-V Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, 27. „Karafka La Fontaine’a” Melchiora Wańkowicza, 28. „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego, 29. „Poezje” Czesława Miłosza, 30. „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza, 31. „Kartoteka” Tadeusza Różewicza, 32. „Sztuka kochania” Michalina Wisłockiej, 33. „Bolesław Chrobry” Antoniego Gołubiewa, 34. „Szachinszach” Ryszarda Kapuścińskiego, 35. „Pierwszy krok w chmurach” Marka Hłaski, 36. „Ży” Leopolda Tyrmanda, 37. „Ptasi gościniec” Haliny Auderskiej, 38. „Bołdyn” Jerzego Putramenta, 39. „Pożegnanie z Marią” Tadeusza Borowskiego i 40. „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego.

Cyfry w nawiasach w toku artykułu odnoszą się do kolejnych miejsc w wynikach plebiscytu.

wickiego na ostatnim miejscu, co wygląda na zabieg karny. Wyssokie, czwarte, miejsce przypadło „Kamiennym tablicom” Wojciecha Żukrowskiego, które na liście książek najgorszych mogłyby otrzymać wyższą lokatę. Wpływem filmu, lektur szkolnych i niedawnego zgonu autora tłumaczy się pierwsze miejsce „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego, a świeżą datą wydania i „kluczowością” powieści „Miazga” (11). O dobrym rozeznaniu aluzyjności „Cesarza” (3) i „Szachinszacha” (34) Kapuścińskiego świadczą wysokie ich lokaty. Zastanawia niska ocena Iwaszkiewicza, zredukowanego do „Sławy i chwały” (6).

W oczy rzuca się nieobecność Dąbrowskiej, Zawieyskiego, Słonimskiego, Kuncewiczowej, Kuśniewicza, Małewskiej, Parnickiego, Skamandrytów (z wyjątkiem Tuwima) (21) — oraz zagadkowo się rysująca a wymowna nieobecność Kazimierza Brandysa, Zbigniewa Herberta, Stefana Kisielewskiego oraz co najmniej dwu pokoleń literackich z Woroszyłskim i Barańczakiem na czele. Stawiają one pod znakiem zapytania rzetelność obliczeń.

Wyniki plebiscytu nasuwają zresztą wiele innych obserwacji. W głosowaniu wzięło udział 1.564 czytelników. Jeśli każdy z nich wylczył w odpowiedzi 40 tytułów daje to 62.560 głosów. Z ogłoszonych w *Polityce* cyfr wynika, że „laureaci” otrzymali łącznie 6.353 głosy (ok. 10%). Z komentarza redakcyjnego dowiadujemy się, że głosy uległy rozstrzeleniu pomiędzy 500 tytułami. Osłabia to i tak skromne wyniki głosowania, w którym wzięła udział znikoma garstka czytelników; świadomy rzeczy Jan Rem (pseud. Jerzego Urbana) określa ją w *Tu i Teraz* (2. V. 1984) na znikomy procent: 1.564 odpowiedzi na 350.000 nakładu przy „znacznie wyższym wskaźniku czytania”; Wiesław Rogowski (*Argumenty*, 22. IV. 1984) pisze „na bodajże ćwierć miliona kupujących *Politykę* ludzi (a pomnóżmy to przez 2-3 Polaków, członków rodziny kupującego) te półtora tysiąca to zaledwie 0,75%”. Plebiscyt ma wobec tego w najlepszym razie wartość ostrożnej *Stichprobe*.

Na marginesie warto przypomnieć wcześniejsze imprezy o pokrewnym charakterze. Jedną z nich, z roku 1959, przypomniał b. redaktor *Życia Warszawy* Henryk Korotyński w *Polityce* z 14 maja rb. W głosowaniu na najlepszą książkę polską z literatury pięknej wzięło wówczas udział 8.072 czytelników. „Zdecydowanie zwyciężył (jak teraz, w tyle lat później) 'Popiół i diament' Jerzego Andrzejewskiego”. Pouczająco wygląda lista książek, które znalazły się w czołówce: 1. „Popiół i diament” Andrzejewskiego; 2. „Bolesław Chrobry” Gołubiewa, 3. „Ziele na kraterze” Wańkowicza, 4. „Kolumbowie” Bratnego, 5. „Listy Nikodema” Dobraczyńskiego, 6. „Sława i chwała” Iwaszkiewi-

cza, 7. „Miasto niepokonane” Kazimierza Brandysa, 8. „Monte Cassino” Wańkowicza, 9. „13 opowiadań” Ksawerego Pruszyńskiego, 10. „Gwiazda zaranna” Dąbrowskiej. „Z tych dziesięciu książek — pisze Korotyński — aż 6 znalazło się po 25 latach wśród wyróżnionych w plebiscycie *Polityki*”.

Niezależnie od ankiety *Życia Warszawy*, w rok później (1960) Biblioteka Polska w Londynie ogłosiła dane statystyczne, odnoszące się do poczytności książek krajowych w jednym tylko miesiącu — lutym 1960. Ogółem wypożyczono 882 tomów — w tym (na pierwszych dziesięciu miejscach) 64 tomy Dobraczyńskiego, 28 Iwaszkiewicza — i dalej: Wiecha, Morcinka, Bunscha, Kosak-Szczuckiej, Małewskiej, Kazimierza Brandysa, Wańkowicza i Dygata. Na dalszych miejscach figurują jednak nazwiska z plebiscytu *Polityki*: Tyrmand, Gołubiew, Żukrowski, Bratny, Breza, Andrzejewski, Krzysztoń, Konwicki, Różewicz. (Według artykułu pt. „Miłosz contra Kraszewski” w *Kulturze* nr 7/8 z 1960). Warto dodać, że na liście emigracyjnej prym wiodą Miłosz, Tadeusz Nowakowski, a autorki artykułu (niżej podpisana i Zofia Wilczyńska) tłumaczą, że cyfry dotyczące Miłosza byłyby wyższe, gdyby introligator nie spóźnił się z oprawami „Rodzinnej Europy”, która wtedy była nowością.

Przypomnienia te wskazują, iż — w odniesieniu do książek krajowych — wysoki procent tytułów powtarza się we wszystkich sondażach. Zasadnicze znaczenie, w odniesieniu do danych londyńskich, ma obecność zarówno pisarzy emigracyjnych, jak i krajowych, podczas gdy pojawienie się nazwiska Miłosza i to jako autora „Zniewolonego umysłu” wywołało obecnie błyskawicznie falę protestów i złośliwych komentarzy.

Polemikę rozpoczął w dwa tygodnie po ogłoszeniu wyników Wiesław Rogowski w *Argumentach* (22. IV. 1984). Konstatuje on ironicznie na początku artykułu pt. „Polityka literacka”, że „wiarygodność (listy) nie ulega wątpliwości — wyrosła zapewne z naturalnych zainteresowań głosujących, wśród których co najmniej 79 reprezentuje „wyższy stopień wtajemniczenia”, ma dostę do tzw. 'drugiego obiegu' literacko-politycznego, gdyż optowało za 'Zniewolonym umysłem' [30 miejsce, 79 głosów] Czesława Miłosza, nigdy nie opublikowanym legalnie w Polsce, ponieważ utwór ten jest absurdalnie antykomunistyczny”. I dalej: „Trzech Miłoszków na czterdzieści miejsc to nie wybór literacki, a polityczny” — i dyskwalifikacja Miłosza, „rozeźlonego antykomunisty”. Oberwało się przy okazji i *Polityce*, która w tysiącach egzemplarzy ujawniła sukces Miłosza, przez innych określany jako „drugi Nobel”.

Despekt *Polityki* zabolął Jerzego Urbana, który jako Jan Rem

pisze w *Tu i Teraz*. W „Samosądach”, stałej jego rubryce w tym piśmie, ukazał się felieton pt. „Lista czterdziestu” (21. V. 1984), wymowne świadectwo natychmiastowości reakcji na artykuł Rogowskiego. Nie podobał się także Remowi komentarz redakcyjny *Polityki* (przy wynikach plebiscytu), gdyż autor jego „K” pisze w nim, iż „plebiscyt *Polityki* na książkę 40-lecia dowodzi, że literaturę mamy jedną, niepodzielną i niepodzieloną”, że „rezonans dzieła jest niezależny od tego, czy autor tkwi w partii czy w opozycji, w kraju czy na emigracji” — „pisarze wszelkich orientacji tworzą dobro wiecznotrwałe, no i buźki, Kochajmy się”. „Wszystko jest akurat na odwrót”. Tu słychać trzask, załamują się mosty budowane w imaginacji Lichniaka w jego książce o „Panoramie literatury emigracyjnej”.

Rogowski pytał w *Argumentach*: „Komu wygodne było ogłoszenie wyników plebiscytu?” Przecież — domyślamy się — w interesie Partii byłoby ich zatłamszenie. A tu *Polityka* „wspiera Miłosza”, tego Miłosza wokół którego — to informacja Rema — „odbywało się nabożeństwo ogólnonarodowe, bo z udziałem niektórych pism i wydawnictw partyjnych”! Gorzej: „opozycja twierdzi, że przejęła trwale rząd dusz i całe życie kulturalne”... „Wszystkich wartościowych twórców i całą liczącą się twórczość wyprowadziła na emigrację i w podziemie. Zostały resztki”. A w rzeczywistości — dowodzi Rem w dalszym ciągu felietonu — „stosunkowo mizerne miejsce noblisty Miłosza w tym spisie pokazuje, że jest on jako pisarz i jako symbol polityczny idolem mniejszości, a jego wielbiciele stanowią garstkę w przymiarce do tych, którzy swoje literackie opcje wiążą z wyborem 'za Polską Ludową'”. I Rogowski i Rem nie uświadamiają sobie najwidoczniej, że wpisanie na listę książki Miłosza było aktem odwagi cywilnej i że w plebiscycie wzięło udział zaskakująco niewielu uczestników — a reszta — to milcząca większość nieskłonna do demonstrowania „postawy uczestniczącej w socjalizmie”. „Obecność Miłosza na liście — roi się Remowi — nie stanowi aktu wręczania mu drugiego Nobla, a tylko pokazuje, jakie i wśród ilu zajmuje on realnie miejsce na mapie ideowych sympatii”. Tym gorzej dla *Polityki*, posądzonej o „program zamazywania kontrastów politycznych” — „nie rokuje [to] dobrze mądrej walce politycznej, której polem na długo jeszcze pozostanie kultura”. Tak oto, może niechcący, plebiscyt *Polityki* ujawnił w pełni temperaturę nienawiści w stosunku do niezależnej literatury — a kozłem ofiarnym stał się Miłosz.

Bo np. właśnie Miłosza dotyczy jadowny felieton Małgorzaty Kąkiel w *Perspektywach* z 7 maja br. Dziwi się ona i gorzy, że na liście uhonorowanych plebiscytem *Polityki* książek 40-lecia

„na 30-tym miejscu figuruje [’Zniewolony umysł’] książka, która nigdy legalnie nie była w kraju wydana (i chwała krajowi za to, bo papieru i tak nam brakuje). Książka opluwająca socjalizm, książka w której łączy się, wprawiając czytelnikom, że reżim niszczy, deprawuje dobrze zapowiadających się pisarzy. Na 30 miejscu wymienia się tytuł książki laureata nagrody Nobla, który powiedział radującym się do łez z jego przybycia do Polski wielbicielom, iż wrócił do kraju swej... pierwszej emigracji”. A czy nie jest adresem podobnie „emigracyjnym” Toruń dla Wilnian czy Wrocław dla Lwowian?

Cieszy natomiast tow. Kąkiel, że wszyscy czterej „rozgniecieni” przez Miłosza pisarze — Andrzejewski, Gałczyński, Putrament i Borowski — są reprezentowani obok niego na liście 40 książek. (Co oznacza, że i ona, podobnie jak Rogowski, książkę wydaną nielegalnie — czytała).

Dyskusja na temat plebiscytu rozlała się szeroką i płytką falą po prasie, z tym jednak ciekawym szczegółem, że punkt ciężkości przesuwać się zaczął ze zgorzenia obecnością Miłosza na trafność zestawu lektur i rażące autorów artykułów luki. Taki punkt widzenia reprezentuje np. Leszek Żuliński w *Tu i Teraz* z 18. IV, gdy upomina się o Herberta i Jastruna oraz „żyjącego i czytelnego” Czeszkę, Myśliwskiego, Newerlega, a „Kamienne tablice” przesuwa z czwartego na trzydzieste ósme miejsce. „Zabawa w książki” skusiła nawet redaktora *Tu i Teraz* Kazimierza Koźniewskiego, który liście *Polityki* przeciwstawił swoją „samorządną i niezależną” z 51 tytułami, są wśród nich: „Wariacje pocztowe” Kazimierza Brandysa, „Jezioro bodeńskie” Dygata, „trójksiąg o Piłsudskim” Andrzeja Garlickiego, „Szkice o Szekspirze” Jana Kotta, „Zdążyć przed Panem Bogiem” Hanny Krall, „Austeria” Juliana Strykowskiemu a nawet „Poezje” księdza Jana Twardowskiego, co Koźniewski motywuje jak następuje: „Jestem ateuszem, więc nie wiem czy Bóg wie, że pod tą sutanną kryje się bodaj najbardziej chwytający za serce polski poeta współczesny”. Wyliczenie swe opatruje wnioskiem, że „czterdziestolecie było dla literatury polskiej czasem znakomitym” (*Tu i Teraz* z 18. IV).

W tydzień później, na łamach tegoż pisma, felietonista „Cyryl”, który uważa, że „mogło być gorzej”, gdy idzie o wyniki ankiety, podchodzi do sprawy Miłosza bardziej rzeczowo. Wątpi mianowicie w masowe czytanie (jego książek) gdyż „nie należy on do pisarzy łatwych”, „jest intelektualnie pokrętny i wysmakowany i żeby go czytać ze zrozumieniem, trzeba samemu bardzo dużo wiedzieć”.

Wreszcie: obecna jest na liście 40-stu książek Michalina Wisłocka, „polski van der Velde” ze „Sztuką kochania” (32) uloko-

waną między Różewiczem a Gołubiewem. Nieobecny jest — Gombrowicz, co od biedy wyjaśnić można faktem, że „Ferdydurke” jest książką z Dwudziestolecia, a „Dziennik” nie ukazał się w wydaniu krajowym.

Wygawor *Argumentów* i zdenerwowanie wybrykami *Polityki* w kołach rządowych stoją u początku kampanii obronnej, podjętej w numerze *Polityki* z dnia 19 maja. Na 1, 8 i 9 stronie ogłoszono w nim pt. „Stan posiadania” — wypowiedzi Henryka Berezy, Tadeusza Drewnowskiego, Jerzego Lisowskiego i Wacława Sadkowskiego z rozmowy prowadzonej z ramienia Redakcji przez Adama Krzemińskiego („K”?) i Zdzisława Pietrasika. Ponadto na ostatniej i przedostatniej stronie rozpisal się na temat plebiscytu Daniel Passent. Intencje odsieczy formuluje najprzejrzyściej ten ostatni. Okazuje się, że *Politykę* zabolal do żywego zarzut manipulowania wynikami i uwzględniania w obliczeniach „głosów nieautentycznych”. Passent pyta przeto wręcz Rogowskiego i Kąkiel: „A co wy byście zrobili z taką ankietą? Jak byście postąpili? Czy nie ogłosilibyście ankiety w ogóle ze strachu, że wśród wymienionych książek znajdzie się pozycja wroga? Czy podliczając wyniki dokonalibyście cudu nad urną (cud w *Argumentach* to byłoby nawet coś!)”. Atutem plebiscytu jest w bujnej imaginacji Redakcji *Polityki* to, że — jak ujął to Rem — większość „swoje literackie opcje wiąże z wyborem 'za Polskę Ludową'”. Przypomnieć tu jednak warto, że owa większość stanowi część... 1564 uczestników plebiscytu, co na pewno nie jest ani wynikiem imponującym, ani miarodajnym.

Rozmowa ze „znanymi krytykami i znawcami literatury” wyraźnie wekslowała ocenę przedsięwzięcia z walki z literaturą emigracyjną i „nielegalną”, uosobioną przez Miłosza, na wdzięczne pole ocen ulubionych autorów, ich „niedopieszczona” lub wręcz przemilczenia. Najpoważniej wyglądają pretensje Drewnowskiego, upominającego się o Dąbrowską — winą jest chyba to, że „Noce i dnie” zaćmiły powojenne jej książki. „Ta lista ukazuje niepospolitą dezorientację i mętlik!” — woła, rozdzierając szaty. Sadkowski ocenia ją łaskawiej, dopatrując się w niej aż... „głodu wiedzy, pragnienia poznania świadectw”, czego wyrazem jest przewaga literatury faktu nad tzw. literaturą piękną. Henryk Bereza, *kingmaker* genialnych debiutantów z *Twórczości*, uważa, iż „do tej listy trzeba podejść cynicznie, układali ją ludzie, którzy wcale nie czytali wielu książek”. Tak więc na łamach *Polityki* najwierniejsi jej czytelnicy, którzy odważnie podawali swe adresy i podpisywali nie dość prawomyślne wybory zostali sprowadzeni do naiwnych prostaczków, kierujących się nie znajomością, ale pocztynością książek i obiegowymi opiniami. W obronie ich wy-

stąpił Jerzy Lisowski: „Nie ma co załamywać rąk, że czytelnicy nie wiedzą co wybierają, ani że dzieła wybitne nie są na tej liście promowane. W końcu wystarczy przejść się po księgarniach, by przekonać się, że rzeczy naprawdę wybitne znikają w mgnieniu oka — stąd tylko jeden wniosek, że jest na nie nabywca”. Nutę pocieszenia wnosi wyrażone w końcowych wypowiedziach przypuszczenie, że za dziesięć lat — jak spodziewa się Bereza — „dokona się wyraźne przesunięcie upodobań czytelniczych”, bo — jak ujął to Sadkowski — obecnie „następuje szybka i bolesna zmiana pokoleniowa w literaturze polskiej. Tak wielu pisarzy odchodzi na zawsze że ostatnie lata stanowią wyraźną cezurę”. Czy aby na pewno? — czy cezury tej nie wyznaczają raczej *Zapisy*, *Arki* itp. — słowem literatura „drugiego obiegu”, wyrażająca się imponującym plonem wydawnictw podziemnych, w których z NOW-ej rodzi się nowe.

III. Wokół „Ostatniego rozdziału” Mariana Stępnia

W marcu 1984 ukazało się w stu tysiącach egzemplarzy trzecie poszerzone wydanie „Historii literatury polskiej w zarysie”, firmowane przez Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, redagowane przez Mariana Stępnia i Aleksandra Wilkonia. Nakładca, a jest nim Państwowe Wydawnictwo Naukowe, oddał je do druku w początku stanu wojennego, do rąk czytelników doszło po 15 miesiącach, rozkupiono je szybko — i dobrze że rozkupiono, bo oszczędziło to księgarniom trudu wycofywania z półek i magazynów nie sprzedanych jeszcze egzemplarzy, gdy książka uznana została za szkodliwą. Banicję wywołał opracowany przez Mariana Stępnia rozdział ostatni „Literatura po 1939 roku”, a zwłaszcza jego poddział VI „Ostatnia dekada” (od roku 1968) i VII „Zamknięcie”. Zawierają one obraz najnowszej literatury polskiej, traktując łącznie Kraj i Emigrację, przy czym — wbrew atakowi Kryski — ta ostatnia nie wybija się u Stępnia na plan pierwszy i nie jest bynajmniej preferencyjnie oceniana.

Jeśli nie liczyć dotyczących literatury emigracyjnej materiałów bio- i bibliograficznych (Czachowska, Maciąg, Polski Słownik Biograficzny) jest to najobszerniejsze opracowanie łącznie literatury po 1939 roku, zasługujące na docenienie intencji autora i wybaczenie mu może niezawinionych skrótów i opuszczeń. Zrozumiała ostrożność nakazywała mu stosowanie eufemizmów w rodzaju „utwory Broniewskiego, które nie mogły ukazać się w kraju, wyszły w Paryżu w tomie 'Wiersze'” (1962, str. 246) — albo takich jak o Stawarze informacji: „Pod koniec życia wyje-

chał do Paryża, tam w Instytucie Literackim w serii 'Dokumenty' ukazały się jego 'Pisma ostatnie' z przedmową Pawła Hostowca (Jerzego Stempowskiego), Paryż 1961. Stało się to powodem ponownego, tym razem dłuższego, bo trwającego aż do końca lat siedemdziesiątych okresu milczenia o bogatym i oryginalnym dorobku tego krytyka literackiego" (str. 269).

Minął rok od ukończenia druku „Historii literatury polskiej w zarysie” — i oto w pierwszym numerze *Barw* z bież. roku Sławomir Kryski wystąpił z totalnym potępieniem „Ostatniego rozdziału”. Uważa on za zasadniczy grzech Stępnia traktowanie jako „jednej i niepodzielnej” literatury polskiej gdziekolwiek by ona nie powstawała i była publikowana. Jest to — zdaniem Kryski — stanowisko antypolskie. Dalszym grzechem autora jest podsuwanie czytelnikowi wrażenia, „że rzeczywiście duża część literatury polskiej powstawała poza — jak to się ładnie mówi — zasięgiem cenzury, to jest będąc drukowaną we Francji, Anglii, czy innej Szwecji, lub na powielaczach, produkcji oczywiście tychże krajów, tyle że w Polsce”.

Czytając wywody Stępnia odnosimy wrażenie, że stosuje częściowo metodę wyliczanek, ograniczających się do najważniejszych, jego zdaniem, przykładów — słowem, że warto byłoby dać ich więcej. Kryski jednak „czuł się przygnieciony bardzo szczegółowym wyliczaniem nazwisk i tytułów pozycji opublikowanych właśnie na Zachodzie, czy na powielaczach w Kraju”. Jest tego, jego zdaniem, tak dużo, iż wydawnictwa „legalne” „stają się tylko dodatkiem, mniejszą częścią ogromnego bogactwa literackiego, które ujrzęło światło dzienne za sprawą poligrafów pracujących za dolary”. „Nie przypuszczam — kontynuuje — żeby na dzisiejszej emigracji znajdowało się tylu potencjalnych Mickiewiczów, ilu ich wylicza autor 'Ostatniego rozdziału’”. Są u Stępnia natomiast „utwory które są doraźnie zgrabnie lub mniej zgrabnie zbeletryzowanym plakatem antypolskim, antysocjalistycznym, propagandową agitką przeznaczoną do indoktrynowania społeczeństwa polskiego w duchu diametralnie przeciwnym duchowi polityki naszego państwa”. Jako przykład upatryzył sobie Stępień... „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego, autora, określonego w „Historii literatury” mianem intelektualnego komentatora „ważnych problemów współczesnego świata” — pełny sens oceny Stępnia kryje się w podtekście. To samo da się powiedzieć o potępieniu Kryski: domyślamy się łącznie, że chodzi mu o herlingowską ocenę Sowietów określoną jako „paskwilantstwo” w odniesieniu do... „okresu błędów i wypaczeń”. W mózdzku Kryski rysuje się po owym, zakończonym w jego pojęciu, okresie obraz kraju w którym ludzie oddychają swobodnie, a obozy i

więzienia przerobiono na magazyny żywności, której nadmiar otrzymują bratnie państwa satelickie.

Dalszy ciąg artykułu Kryski ma charakter denuncjatorski w stosunku do np. Jana Kotta i Adama Ważyka. Pierwszemu wypomina przemówienie na Zjeździe Szczecińskim, drugi rzekomo przeszedł do opozycji, „kiedy odebrano mu naczelną redakcję *Twórczości*”. Oskarża Stępnia o „parnasistowskie” traktowanie utworów o wydźwięku politycznym, opozycyjnym, gdyż prowadzi to do błędnej oceny poszczególnych autorów. Sądzi, że „wartościuje polskie piarstwo wedle modelu narzuconego przez wielorakie działania propagandowe, z plotką na czele”. I tu ostrze ataku przerzuca się na Jana Józefa Lipskiego, potraktowanego rzekomo zbyt wspaniale w „Małym słowniku pisarzy polskich, cz. II” pod red. Włodzimierza Maciąga. Na boczku atakuje i to wydawnictwo za pominięcie szeregu pomniejszych pisarzy krajowych np. B. Bartnikowskiego, J. Domagalika i in., gdyż są oni „źle, albo wcale nie notowani na krzykliwej giełdzie rozdającej pisarskie szlify”.

Z pasją potępia Kryski następujący sąd Stępnia: „Z marcem 1968 roku związane jest jeszcze jedno zjawisko łączące się z szerszym a dotąd do końca nie objaśnionym manewrem politycznym... (i dalej) Niektóre decyzje ówczesnych władz mogłyby być zrozumiane jako podyktowane antysemityzmem, i w pewnych kręgach wyzwały postawy antysemityczne”. A tu — Kryski wie lepiej — była to „inspirowana z Zachodu próba zbuntowania inteligencji przeciw ustrojowi” a w ogóle wydarzenie marginalne, niegodne zatrzymania w pamięci, a przypominanie go przez Stępnia jest nieaktym, „na rękę wrogiej propagandzie”.

W końcowej części artykułu (w nrze 1 *Barw*, 1984) Kryski zatrzymuje się przy trzech autorach, niewłaściwie, jego zdaniem, potraktowanych przez Stępnia. Pierwszy z nich to Stefan Kisielewski, publikujący swe satyryczne powieści u wydawcy „znanego na rynku krucjat antysocjalistycznych”. Kryski ma za złe Stępniovi, że nie podaje nazwy instytucji wydawniczej, firmującej książki Kisielewskiego, ale luki tej nie wypełnia, gdyż widocznie cenzura nie pozwala na wymienienie jej w *Barwach*.

Jeszcze bardziej denerwuje go piarstwo Stanisława Barańczaka i Leszka Szarugi. Ten ostatni, jeden z „batalionu krytyków”, w którym są więksi od niego, znalazł się u Stępnia pospołu z Jackiem Bierezinem i Zdzisławem Jaskułą, „którzy jeśli są znani polskiemu odbiorcy, to chyba tylko z, pożałuj Boże, opowieści o męczeństwie dręczonej przez reżim Polski emitowanych przez RWE”.

Barańczak miał co prawda, zgodnie z tym co pisze o nim Stę-

pień, pewne trudności, „kiedy niektórym pisarzom utrudniano wydawanie książek, co dzisiaj, a i rok temu, i pięć lat temu powetowano im z nawiązką”. „W zmitologizowanym przekazie wyglądają oni tak, jakby w latach siedemdziesiątych ryli w minach i kamieniołomach, ciągnąc do nogi przyczepioną 25-ciofuntową kulę”. Sąd Stępnia o poezji Barańczaka, jako atakującej „rzeczywiste problemy naszego życia”, wprowadza w błąd czytelników, znają oni bowiem lepiej „kolportowane przez wrogie nam ośrodki wypowiedzi natury publicystycznej” [a nie znają poezji] i na ich podstawie urabiają sobie pogląd o Barańczaku. (Jest to niewątpliwie komplement pod adresem „wrogich ośrodków”, których działalność ma tak szeroki i zasadniczy wpływ).

Reasumując: Kryska, podobnie jak, czynili to dygnitarze partyjni na omówionej w początku artykułu konferencji dla wydawców, sprzeciwia się gwałtownie publikowaniu ocen, a nawet przytaczaniu tytułów książek, wydanych w wolnym świecie i w Kraju „poza oficjalnym obiegiem wydawniczym”. Idzie nawet o krok dalej, sypiąc jak z rękawa przykładami „pomyłek” Stępnia.

Jesteśmy w pełni nowego sezonu błędów i wypaczeń. Światła w tunelu nie widać.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejój pod Lizboną, 28 maja 1984

P.S. Podajemy poniżej wybór *Argumentów*: Lista obejmuje 47 nazwisk pisarzy: J. Andrzejewski — „Popiół i diament”, H. Auderska — „Babie lato” i „Ptasi gościniec”, M. Białoszewski — „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego”, T. Borowski — „Opowiadania obozowe”, R. Bratny — „Kolumbowie — rocznik 20”, T. Breza — „Spizowa brama”, W. Broniewski — „Wybór wierszy powojennych”, B. Czeszko — „Pokolenie”, „Tren”, M. Dąbrowska — „Na wsi wesele” i inne opowiadania, J. Dobraczyński — „Najeźdźcy”, St. R. Dobrowolski — „Wybór wierszy”, St. Dygat — „Jezioro Bodeńskie”, K. I. Gałczyński — „Wybór wierszy i poematów”, A. Gołubiew — „Bolesław Chrobry”, St. Grochowiak — „Wybór wierszy”, T. Hołuj — „Osoba”, J. Iwaszkiewicz — opowiadania powojenne, „Sława i chwała”, „Wybór wierszy”, J. Kawalec — „Tańczący jastrząb”, Z. Kosidowski — „Opowieści biblijne”, L. Kruczkowski — „Niemcy”, „Pierwszy dzień wolności”, M. Kuncewiczowa — „Tristan-46”, A. Kuśniewicz — „Królestwo obojga Sycylii”, St. Lem — „Obłok Magellana”, W. Mach — „Jaworowy dom”, W. Machejek — „Rano przeszedł huragan”, Z. Nałkowska — „Medaliony”, I. Newerly — „Pamiętka z Celulozy”, H. Panas — „Według Judasza”, J. Parandowski — „Alchemia słowa”, T. Parnicki — „Srebrne orły”, S. Piętak — „Odmieniec”, K. Pruszyński — opowiadania, J. Przybóś — „Wybór wierszy”, J. Putrament — „Bołdyn”, T. Różewicz — „Wybór wierszy”, L. Rudnicki — „Stare i nowe”, Z. Safian — „Pole niczyje”, A. Sandauer — „Śmierć liberała”, L. Staff — „Wiklina”, J. Szaniawski — „Dwa teatry”, S. Szmaglewska — „Dymy nad Birkenau”, K. Truchanowski — „Zmowa demiurgów”, J. Tuwim — „Kwiaty polskie”, W. Zalewski — „Pruski mur”, Z. Załuski — „Siedem polskich grzechów głównych”, St. Ziełiński — „Ostatnia szabla”, W. Żukrowski — „Z kraju milezienia”, „Kamienne tablice”.

Książki

Przypadek szczególny

Koncepcję przeniesienia redagowanego i wydawanego w kraju od 1977 roku kwartalnika *Puls* do Londynu należy uznać za jedną z najsmielszych decyzji grupy współredaktorów i wydawców pisma. I nawet abstrahując tutaj od powodów decyzji należy przyznać za całym naciskiem, iż operacja się udała, a pacjent żyje; co więcej, ma się coraz lepiej. Napisałem „lepiej”: na czym polega odmiennosc i wyższa jakość obecnego *Pulsu* wobec poprzedniej edycji krajowej? (Oczywiście pominiawszy tutaj zrozumiałą różnicę w technice poligraficznej).

Puls, zainicjowany między innymi przez wielce zasłużonego dla krajowej opozycji Jacka Bierezina, nosił na sobie wszelkie cechy tego utalentowanego poety i nieco watażkowego felietonisty. Bywał błyskotliwy, twardo rewindykujący wobec ówczesnej władzy w Polsce prawo do wolności słowa (choćby tym, iż się ukazywał), ostrzeż od *Zapisu* stawiał problemy polskiej literatury i jej ocenę. Z tym wszystkim bywał w swoich impetach niepoważny, często niezrównoważony w pośpiesznych atakach, kiedy to werwa miała zastąpić rację.

Niewątpliwie jednak w takim kształcie był *Puls* pismem czytany. Odegrał też znaczną rolę w ożywieniu środowisk intelektualnych i młodo-literackich i w zwiększeniu ich stopnia odporności na zakażenie sowietyzmem czy też postępującym za Gierka zniżaniem polskiej kultury i jej nihilizacją. (W tym ostatnim wyróżniały się co poniektóre oficjalne pisma warszawskie: *Polityka*, która straciła wówczas swoją technokratyczną tożsamość i uzasadnienie dla głoszonych socjalistycznych haseł; czy *Kultura*, cynicznie mrugająca okiem, która brnęła coraz to głębiej w uzależnienie od propagandy sukcesu późnego Łukaszewicza).

Puls krajowy był wyzwaniem rzuconym tyleż władzy co i polskiemu *establishment*owi literackiemu. Był jakby potwierdzeniem na przekór wszystkim i wszystkiemu swoistej normalności życia w tej późnogierkowskiej i straszącej łukaszewiczowską pro-

pagandą Polsce. Normalności, którą jednak trzeba było sobie wywalczyć wbrew i na przekór zarówno przemocy jak i własnemu tchórzostwu, bądź bezradności. Pismo było świadectwem odreagowywania nowomowy i podwójnego myślenia panujących niepodzielnie naokoło i powrotu do formuły protestu artystycznego: groteski, *happening'u*, prowokacji intelektualnej, co w warunkach socjalizmu musiało mieć i miało znaczenie polityczne.

Napisałem to wszystko, co powyżej, nie gwoli laurki dla krajowego wydania *Pulsu*, lecz aby się zastanowić, jaka była możliwa transplantacja tego na londyński grunt. Tym bardziej że — o ile wiem — jest to pierwszy konkretny tego rodzaju przypadek wyprowadzenia w całości pisma krajowego poza granice PRL. (Inne: *Spotkania* lubelsko-warszawskie, *Krytyka* — są wydawane zarówno w kraju jak i na emigracji, zaś nieodżałowana *Res Publica* uległa likwidacji — jej kontynuacją zdają się co prawda być coraz lepsze *Zeszyty Literackie* Barbary Toruńczyk).

Zadziało tu kilka czynników: z jednej strony rozszerzenie redakcji o nowych redaktorów przebywających w Londynie: Jana Chodakowskiego (zarazem będącego dyrektorem pomyślnie rozwijającego się wydawnictwa londyńskiego „Polonia”), Tadeusza Kadenacego, byłego redaktora krakowskiego „Klinu”, oraz Grzegorza Sowuli, plastyka i obecnego sekretarza redakcji *Pulsu* (z krajowej redakcji pozostają: Bartosz Pietrzak, Witold Sułkowski oraz członkowie redakcji, których *Puls* nie ujawnia). Z drugiej niezwykle umiejętne połączenie problematyki krajowej, czy to pod piórami ludzi z Polski, czy emigrantów, czy wreszcie cudzoziemców, z wyczerpaniem na sprawy innych państw bloku sowieckiego (głównie Czechosłowacji) oraz samej Rosji.

W takiej lub innej formie próbują to zresztą robić i inne, nowopowstałe pisma emigracyjne, *Puls* jednak jako jedyny zachował formułę kulturalno-społeczną. I chociaż podtytuł mówi, iż jest to „nieregularny kwartalnik literacki”, niech nas to nie myli. W rzeczywistości mamy do czynienia z charakterystyczną dla prasy krajowej hybrydą, gdzie tematy publicystyczne, polityczne i społeczne stykają się bezpośrednio i nakładają na zagadnienia literacko-kulturalne. Oczywiście ma to swoje dobre i złe strony. Złe, gdyż nie zawsze zyskują na tym poszczególne dziedziny sztuki a doraźność efektu publicystycznego zabija uniwersalność. Dobre, kiedy *Puls* najwyraźniej ze wszystkich edycji emigracyjnych opiera się o krajową tradycję czasopiśmienniczą, o sposoby tamtejszego redagowania pism. Jest nawiązaniem do najlepszych osiągnięć powojennej *Twórczości*, *Przeglądu Kulturalnego*, *Nowej Kultury* czy wreszcie *Odry* lub słynnego *Studenta*. Charakterystyczne, iż wszystkie one miały szybszy cykl wydawniczy od *Pulsu*, były tygodnikami bądź miesięcznikami.

Ale bo też i *Puls* londyński jest właśnie redagowany niczym tygodnik w jego odmianie krajowej, czyli nieco zbliżonej do miesięczników (w Polsce te różnice są niewielkie). Z werwą, śmiało, sięgając po drażliwe sprawy i zmieniając często front natarcia

i sposób argumentacji. Jest taki jak i część współczesnej sztuki: łączy zdjęcia z wycinkami z gazet, poezję polityczną i abstrakcyjną, dokumenty i krańcową kreację.

To ostatnie naprowadza nas na ważny trop: dla kogo jest właściwie *Puls*? Chyba nie będzie grubą pomyłką jeżeli odpowiem, iż nade wszystko dla czytelników w kraju. Byłoby najlepiej, gdyby przede wszystkim mogli go czytać ludzie w Polsce, przyzwyczajeni do takich form piśmienniczych i uwrażliwieni na bliskie sobie sposoby widzenia świata.

Gorzej jest z czytelnikiem emigracyjnym, szczególnie starszego pokolenia. Im *Puls* może się wydać za mało solenny, za jaskrawy w swojej poetyce redakcyjnej. Przyznam, że mnie czasami razi makietą graficzną pisma i sposób łamania nieco „architektoniczny” w stylu. Warto pamiętać, że od żywości niedaleko bywa do skostnienia i sztancy.

Przydałoby się też częstsze kontynuowanie wątków już raz podjętych i unikanie przypadkowego doboru tekstów, branych na zasadzie „dobrego nazwiska”.

Czy znaczy to, iż tęsknię do programowości w *Pulsie* i do programotwórczego pisma? Broń Boże! Jednak problem identyfikacji, tożsamości wciąż pozostaje zasadniczą sprawą każdego z nowopowstałych pism. Paryska *Kultura* pracowała na to długie lata, *Puls* wychodzi od niedługiego czasu (przynajmniej w edycji londyńskiej), nie zmienia to jednak istoty problemu — starań o wydobyć z siebie własnego głosu.

W numerze, który mam na stole (20, zima 1983-1984) takie znaczenie mają teksty Krzysztofa Zawrata czy Romana Zimanda (rewelacyjny esej o Andrzeju Bobkowskim). Są to ludzie z różnych pokoleń, przeciw swoją intelektualną dociekliwością i brakiem poszanowania dla przeróżnych tabu myślowych górują nad najmłodszymi.

Szansą *Pulsu* londyńskiego jest właśnie bezceremonialne odejście od stref zakazanych, od patriotycznego milczenia, kiedy trzeba krzyknąć; i kiwania głową, gdy trzeba dyskutować.

Tego nie można robić w kraju, w żadnej postaci, nawet i w tej podziemnej (bo inne warunki, bo obiekcje, a i przeciwnik dobiera się do skóry i na nim trzeba skupić całą uwagę). A bez tego, bez prób sceptycznego ujmowania w nawias polskich mitów, także i tych najnowszych, posolidarnościowych, nie pójdziemy dalej. Ostaniemy się jako rezydenci i pamiętnikarze kolejnego przegranego polskiego powstania, którzy nie chcą siebie spytać: dlaczego?, bo pragną już tylko emerytury i spokoju.

Jeżeli walczy się z kłamstwem socjalizmu — a taki jest generalny cel wszystkich pism polskiej emigracji — warto też przekłuć ochronne balony zaporowe i rozprawić się z własnymi wmówieniami i zafałszowaniem siebie czy też zahamowaniami.

W tym ostatnim widzę wielkie zadanie dla *Pulsu* i możliwość do urzeczywistnienia w niedalekim czasie. Odklamianie polskiej rzeczywistości można bowiem przeprowadzić wtedy, kiedy zacz-

nie się równocześnie odkłamywać siebie. Niegdysiejsze powieści Andermana, niektóre wiersze poetów *Pulsu* są na to dowodem.

Stałby się wówczas *Puls* przypadkiem szczególnym pisma, które rzeczywistości nie redukuje do przeciwników politycznych czy ideowych i które nie zapomina o mitach czy błędach własnego obozu.

Marek ZIELIŃSKI

Jeden w polu to też wojsko

Mówi się, że stare małżeństwa nawet zewnątrznie się do siebie upodobniają. Oczywiście jest, że wewnątrznie stają się niemal nie do rozróżnienia — uczucia i myśli stają się wspólne. „Droga Pani”¹, zbiór artykułów Barbary Toporskiej i Józefa Mackiewicza, jest przykładem nie tylko wspólnoty poglądów, ale też pokrewieństwa stylu, nawet słownictwa, które nadają książce taką jednolitość, że można wręcz mówić o jednym autorze.

Zebrane w tomie artykuły powstały na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza. Pierwsze, co rzuca się w oczy czytelnikowi, to nieugięta stałość poglądów autorów. Można je sprowadzić do jednego słowa — antykomunizm. Józef Mackiewicz zastrzega się, że nie jest politykiem, po czym dodaje: „jeśli jednak kiedykolwiek brałem udział w działalności politycznej, to zawsze po stronie kontrrewolucji” (str. 87). Wierność tym pozycjom zdecydowała o losie autorów, o ich wyborach politycznych, etycznych i estetycznych, a także o głównym celu (jak się wyrażał Stanisławski), jaki przyświeca ich działalności literackiej — zrywaniu „wszelkich masek” z komunizmu, obnażaniu wszystkich hipostaz, w jakie się umiejętnie przyoblekał. Doskonałym dowodem przenikliwości autorów jest fakt, iż rozumieją, że nacjonalizm jest jednym z najbardziej przewrotnych przebrań, pod którym występuje komunizm. W tym także nacjonalizm polski.

Od roku 1949 (z którego pochodzą pierwsze z zawartych w książce tekstów) po rok 1983 autorzy nie przestają powtarzać prawdy, której nikt nie chce uznać (powiedzmy, że prawie nikt) ani w Polsce, ani na Zachodzie: że Rosja i Związek Sowiecki to nie to samo. „Uporczywe nazywanie Związku Sowieckiego Rosją przez polityków i publicystów Zachodu jest tendencyjnym okłamywaniem się, że jest to normalne państwo, z którym można prowadzić normalną politykę, zawierać normalne układy pokojowe lub też prowadzić normalne wojny...” (str. 96). Józef Mackiewicz powtarza tę myśl przez dziesiątki lat z podziwu godnym

1. J. Mackiewicz, B. Toporska, *Droga Pani*, wyd. Kontra, Londyn 1984.

uporem, upatrując w niej — słusznie — podstawę podstaw w walce z komunizmem. Decyzja, czy Związek Sowiecki jest lekko „na czerwono” podmalowaną Rosją czy nowym, nieznanym jeszcze człowieczeństwem zjawiskiem decyduje o psychicznym stosunku do ZSSR obserwatorów strefy sowieckiej, o politycznych i etycznych wyborach zachodnich działaczy politycznych i społecznych, o losie ludzkości wreszcie.

Wystarczy dziś otworzyć dowolną zachodnią gazetę, w tym i emigracyjne publikacje w językach „bloku”, aby raz jeszcze przekonać się, jak bardzo temat jest aktualny. To „rosyjskim”, a nie „sowieckim” zagrożeniem straszono „Solidarność”, przekonując Polaków, że mają do wyboru albo polski komunizm, albo najazd Rosjan. Józef Mackiewicz pisze, że historię Polski, a także dwie główne jej doktryny polityczne — Piłsudskiego i Dmowskiego — nazaczyło założenie, że „bolszewizm jest tylko dalszym ciągiem Rosji” (str. 111). Różnica między tymi dwiema wielkimi szkołami politycznymi polega — zdaniem Mackiewicza — na tym, że identyfikując bolszewików z Rosją, Piłsudski wołał „czerwoną” od „białej”, a Dmowski na odwrót (str. 238).

To tragiczne pomieszanie pojęć właściwe jest nie tylko Polakom. Józef Mackiewicz wspomina, że słyszał kiedyś na naukowej konferencji wystąpienie ukraińskiego nacjonalisty, który oświadczył: „Nie ma żadnego komunizmu i nie było żadnego komunizmu. To co było i to co jest, to tylko ta sama Rosja” (str. 221). Barbara Toporska w artykule napisanym w 1960 roku używa terminu „dezinformacja”, który stał się w zachodniej publicystyce modny dopiero w połowie lat 70-tych, podczas gdy w słownikach sowieckich figuruje od połowy lat 40-tych. „Dezinformacja” nazywa się dziś kłamliwe informacje, wprowadzające w błąd przeciwnika. Dużo się dziś pisze o najróżniejszych „akcjach dezinformacyjnych”, zorganizowanych przez specjalny oddział „D” w KGB. „Droga Pani” przyczynia się do obalenia głównej tezy dezinformacji, tezy która się najlepiej przyjęła i która jest brzemenna w najtragiczniejsze konsekwencje: mianowicie twierdzenia, że ZSSR jest normalnym państwem jak każde inne państwo, przedłużeniem Rosji.

Teza ta działa nie tylko na Polaków i inne narody sowieckiej strefy, ale stanowi jeden z głównych instrumentów sowietyzacji Rosjan w ZSSR i tylko ona skutecznie oddziałuje na zachodnich działaczy państwowych. To ona sprzyja rozbudzeniu uczuć nacjonalistycznych, które stają się nośnikiem ideologii komunistycznej. Barbara Toporska wyraża myśl wspólną obu autorom, stwierdzając „całkowitą nieprzydatność nacjonalizmów w obronie przeciw sowietyzacji” (str. 27). Historia ostatnich dziesięcioleci dowiodła, że nacjonalizmy przyspieszają sowietyzację. Umiejętne wykorzystywanie nacjonalizmów jest jedną z przyczyn rozprzestrzeniania się komunizmu.

Wojna, jak wiadomo, rządzi się swoimi prawami. Na wojnie jak to na wojnie, powiadają Francuzi. Przyjęta strategia zależy jednak także od natury przeciwnika. W ostrości niektórych są

dów Mackiewicza łatwo odnaleźć lustrzane odbicie nieustępliwości Lenina: albo — albo. Sojusznik albo wróg. W znakomitym wizerunku Władysława Studnickiego Józef Mackiewicz kreśli sylwetkę człowieka mądrego, owładniętego polityką ale niezręcznego działacza, który został całkiem sam i poniósł całkowitą porażkę. Z właściwą sobie prostolinijnością wylicza Mackiewicz błędy koncepcji Studnickiego: identyfikował Rosję z Bolszewią, nie interesował się losem Ukraińców, Łotyszów i innych narodów wschodniej Europy; dostrzegał i w czerwonych i w białych Rosjanach tylko wroga (str. 68). Krótko mówiąc, Studnicki chciał walczyć ze Związkiem Sowieckim (czyli w jego pojęciu z Rosją) bez sojuszników, jeśli nie liczyć Niemiec, choćby i hitlerowskich. Józef Mackiewicz szuka sojuszników w walce z komunizmem tam, gdzie oni rzeczywiście są: wśród narodów podbitych przez komunizm. Sądzę tylko, że nie dość jasno zdaje sobie sprawę z tego, że komunizm jest nie tylko systemem politycznym, skuteczną techniką władzy, ale także — mitem. W „Drodze donikąd” Józef Mackiewicz porównał sowietyzację z operacją pod hipnozą. To bardzo trafne, bardzo słuszne. Ale do operacji pod narkozą nie wystarczy zaarrestować pacjenta i przywiązać go do łóżka, trzeba jeszcze koniecznie zadziałać na jego mózg, uspić go — przy pomocy słów i magicznych gestów. Dostojewski mówił o trzech siłach, łamiących duszę człowieka i zmieniających go w niewolnika: o cudzie, tajemnicy, władzy. Fizyczną siłę — władzę — wymienił dopiero na trzecim miejscu, ale i tu nie małą rolę odgrywa element irracjonalny.

Józef Mackiewicz uparcie prowadzi wojnę z potężnymi przeciwnikami — mitami komunizmu i nacjonalizmu. W wojnie tej odtrąca jednak tych, którzy mogliby być jego sojusznikami, bo przyczyniają się do obalenia komunistycznego mitu. Dopiero Dmitrij Panin przekonał Mackiewicza, że Sołżenicyn nie uczestniczy w żadnej „ukartowanej grze” (str. 108), czyli że nie jest agentem KGB. Być może, że autorzy „Drogi Pani” zrozumieli już także całkowitą bezzasadność swych napaści na Andrieja Sacharowa. Błędy „Solidarności” i brak jasnej koncepcji politycznej w tym najbardziej masowym ruchu naszych czasów, o których pisze J. Mackiewicz, nie pomniejszają siły ciosu, jaki organizacja ta zadała mitowi komunizmu i, mam nadzieję, mitowi nacjonalizmu. Oczywiście także A. Sołżenicyn i A. Sacharow potężnie wstrząsnęli mitem komunizmu.

Józef Mackiewicz toczy ciężki bój. Jego odwaga budzi podziw. Jego samotność jest — o czym na pewno wie — wynikiem przekonania, jego koncepcji politycznej, jego postawy moralnej. Ale ta samotność, nawet jeśli jest dobrowolna, budzi jednak niepokój. W jednym z artykułów Mackiewicz cytuje rosyjskie przysłowie: „Jeden w polu to nie wojsko”. Chciałbym autorem „Drogi Pani” przypomnieć dewizę jednej z rosyjskich szkół piechoty: „Jeden w polu to też wojsko”. Szkoła ta — dziwnym zbiegiem okoliczności — mieściła się w Wilnie.

Michał HELLER

Tola Korian

Jak uwiecznić ku pamięci potomnych „artystkę słowa i pieśni”? Nie o słowo drukowane przecież chodzi, lecz o ów *timbre* z lekka matowego głosu, o niepowtarzalną *poesis* słowa wypowiedzianego tak, jak tylko Tola Korian potrafiła je wypowiedzieć. Sensu i melodii słowa nie oddasz żadnym, najbardziej wymyślnym systemem muzycznej notacji. A w nagraniu na taśmie zabraknie znowu jej twarzy i mimiki i delikatnego gestu, patosu czy dowcipu aktorskiej kreacji. Na dobrą sprawę nawet film dźwiękowy nie potrafiłby oddać nieuchwytnego czaru osobowości wielkiej artystki.

A jednak oddają ten czar wspomnienia przyjaciół i współpracowników Toli Korian, zebrane w książce wydanej nieco ponad rok po jej nagłej a przedwczesnej śmierci (2 marca 1983). Impionująca to galeria: poeci i pisarze (Stanisław Baliński, Zdzisław Broncel, Tadeusz Nowakowski, Zofia Romanowiczowa), dziennikarze i krytycy (K. A. Jeleński, Tamara Karren, Kazimierz Smogorzewski, Wiktor Weintraub), muzycy (Maria Drue, Czesław Halski, Szymon Laks), reżyserzy i brać aktorska (Helena Kaut-Howson, Leopold Kielanowski, Włada Majewska i Henryk Vogelfaenger czyli „Tońcio” z Lwowskiej Fali) i wielu innych, w sumie 33 osoby, więc niepodobna wszystkich wymienić. Ale trzeba wymienić dodatkowo Feliksa Topolskiego, którego dwa portrety Toli, przejmująco prawdziwe i wdzięczne, zdobią przednią i tylną okładkę książki, jak i dwa szkice ołówkowe nieżyjącego już francuskiego wielbiciela Toli Jacques’a Audiberti, oraz cały szereg zdjęć wielkiej *disease* na scenie, od wczesnego występu w rodzinnym Poznaniu w roku 1932 aż po jej ostatnie reakcje, między innymi w „Małej Apokalipsie” Konwickiego na krótko przed śmiercią w Londynie. Wszystko to razem daje migotliwy obraz kariery artystki na scenach polskich w kraju i na emigracji i na światowych estradach po obu stronach oceanu. Daje obraz kobiety, której niezwykły talent zdawał się być dla niej tylko zobowiązaniem do coraz to nowych wysiłków w nieustannej służbie pięknu (a piękno, jak wiadomo, kształtem jest miłości).

Zdumiewająca była skala talentu Toli Korian, co nie pozwala jej zaszeregować pod jedną tylko etykietą i sprawia, że była ona zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. Tak, *disease* ze szkoły Yvette Guilbert, ale o ile jej mistrzyni operowała repertuarem wyłącznie francuskim, Tola Korian recytowała i śpiewała w przynajmniej siedmiu językach. Interpretowała z równym przejęciem wielkich poetów jak anonimowych autorów ludowej kołody czy

negro spirituals. Nie gardziła „scenką”, muzą kabaretową czy satyrą Mariana Hemara, ale potrafiła też w pojedynkę wypełnić wielką scenę patosem Antygony albo w jednej sztuce wygrać do ostatka trzy albo cztery całkiem różne role (jak ostatnio w „Małej Apokalipsie”).

Książka jednak nie spełnia swego zadania do końca. Redaktorka tomu, pani Katarzyna Fejcher (młody teatrolog z Warszawy, która poznała Tolę Korian dopiero na dwa lata przed jej śmiercią) doskonale zdaje sobie sprawę z tych braków. W redakcyjnym posłowie pani Fejcher tłumaczy, dlaczego w tomie nie znalazł się udokumentowany życiorys Toli Korian i zestawienie jej olbrzymiego repertuaru. Zabrakło miejsca, co znaczy zapewne, że zabrakło i sił i pieniędzy. Redaktorka wie najlepiej, jak trudno było w krótkim terminie wykonać to zadanie z naukową ścisłością, bo to ona uporządkowała archiwum Toli Korian przed przekazaniem go do Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. To archiwum jest cenne nie tylko jako materiał do przyszłej monografii, ale również jako swoista antologia poezji i pieśni, które stanowiły repertuar artystki. Tola Korian nie zadowalała się tym, co leżało niejako na wierzchu i prosiło się o estradowe wykonanie. Była poszukiwaczem zapomnianych klejnocików poezji i muzyki ludowej, nie tylko polskiej, ale w każdym ze znanych jej języków europejskich i w języku amerykańskich Murzynów. Była przy tym szczególnie znawczynią literatury francuskiej (jej specjalnością był Mallarmé) i teatrologiem.

Prawda, że nikt nie mógł wymagać od redaktorki pamiętkowego tomu zgłębienia i opracowania tego ogromnego materiału. To będzie zadaniem Instytutu Sztuki PAN w Warszawie jako oficjalnego depozytariusza. Ale trudno nie mieć pretensji, że w pięknej skądinąd książce o Toli Korian czytelnik nie znajdzie nawet dat jej urodzenia i śmierci. W pewnej mierze brak życiorysu zastępuje najdłuższe w tomie wspomnienie pióra Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, ale najbardziej elementarnych danych w tym wspomnieniu też brak. Ostatecznie wystarczyłyby choćby suchy biogram na jedną stronę. Urok wspomnień nic by na tym nie stracił. Bo Tola Korian była wprawdzie lotnym Arielem, ale była też żywą kobietą, która chodziła nogami po ziemi.

Antoni POSPIESZALSKI

Prymas Frank

Redaktor londyńskiego *Telegraph*'u przysłała mi niedawno do recenzji książkę pod intrygującym tytułem „Mój brat, Lech Wałęsa” autorstwa Waltera Brolewicza, wydaną przez Robson Books. Okładka przedstawia duże zbliżenie Wałęsy i obwieszczenie: Ze wstępem Lecha Wałęsy.

Pragnę podzielić się z czytelnikami *Kultury* swoimi spostrzeżeniami, gdyż książka ta jest z kilku powodów niezwykła. Po pierwsze, Walter Brolewicz wcale nie jest bratem Wałęsy lecz kuzynem zamieszkałym w USA i jego znajomość Wałęsy sprowadza się do dwóch kilkutygodniowych wizyt w Polsce w 1982 i 1983 roku. Brolewicz wyjaśnia, że nazwał się bratem Wałęsy gdyż „Polacy uważają słowo 'kuzyn' za zbyt sztywne w odniesieniu do bliskiej rodziny”.

Brolewicz jest inżynierem w New Jersey i przyznaje, że nigdy przedtem nie pisał zawodowo. Dziękuje on trzem tajemniczym współpracownikom „za pomoc w ukończeniu książki w wielkim pośpiechu”. Należy się domyślać, że są to wynajęci dziennikarze, którzy pozlepiali w całość notatki Brolewicza i nadali książce charakterystyczny styl taniej żurnalistyki — książka jest cała zaśmiecona zwrotami typu „nienasycony duch polski”, „jej emocje sięgały nowych szczytów”, etc.

Lecz nawet wynajęci dziennikarze nie wyjaśniają fenomenalnej wprost pamięci autora. Brolewicz pisze, że zapisywanie czy nagrywanie czegokolwiek w Polsce byłoby zbyt ryzykowne i przyznaje, że jego wspomnienia spisane zostały w samolocie, gdy dłużyl mu się lot z Warszawy do Nowego Jorku. Nie wyjaśnia jednak jak mimo to jest w stanie odtworzyć kilkadziesiąt stron bezpośrednich cytatów wypowiedzi Wałęsy, zawierających między innymi nieprzerwaną, dwustronicową lekcję historii, daną mu przez Wałęsę, banalne uwagi na temat pogody i mało prawdopodobne wyrażenia Lecha jak: „*Mamma mia*, ciekawe kto to może być?” — na dźwięk dzwonka u drzwi.

Genialna pamięć zawiódła Brolewicza w odniesieniu do zwykłych faktów. „Wilija” (ortografia oryginału — przyp. R.S.), na które Wałęsa nie mógł być obecny w okresie internowania to „przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia”; w Gdańsku autor ogląda ciekawostki takie jak pomnik polskiego króla Neptuna oraz budynek poczty polskiej, gdzie na początku ostatniej wojny personel cywilny stawiał opór regularnej armii niemieckiej przez czterdzieści dni!

Peregrynacje po Polsce prowadzą go do Częstochowy skąd przywozi opowiadanie o tym jak: „Podczas drugiej wojny światowej, gdy hitlerowcy okupowali Polskę, Adolf Hitler mianował generała Hansa Franka prymasem Polski. (...) Hitler znał wagę tego stanowiska, dlatego wyznaczył na nie jednego ze swych generałów aby w ten sposób rządzić Kościołem. Generał Frank przyjechał na Jasną Górę w 1940 roku z żoną i wszedł do kancelarii, aby podpisać księgę pamiętkową. Odmówiono mu, ale on nalegał, że jako prymas ma do tego prawo, i nikt nie mógł mu się przeciwstawić”. Frank wpisał się do księgi pamiętkowej, lecz wtedy stał się cud. Kropla atramentu kapnęła z jego pióra i rozlała się na cały jego podpis. Brolewicz sam widział kleks.

Czytelnicy zapewne zechcą się dowiedzieć co skłoniło Wałęsę do napisania wstępu do tego śmiecia. Najprostsza odpowiedź brzmi: NIC. List od Arkadiusza Rybickiego, sekretarza Wałęsy stwierdza, że: „Z wymienioną książką Lech Wałęsa nie ma nic wspólnego, nie miał żadnego wpływu na jej powstanie i treść ani też nie pisał do niej żadnej przedmowy”.

Cóż, nikt rodziny sobie nie wybiera. Być może wydawcy pomyślą o zmianie okładki. „Mój Brat, Lech Wałęsa” może być zaliczony do tej samej kategorii co „Wódka Solidarność”, produkowana przez grupę przedsiębiorczych rodaków w Kanadzie czy znaczki angielskich trockistów z napisem „Akcja socjalistyczna”, graficznie do złudzenia przypominające plakiety *Solidarności*. Kto następny?

Oxford, lipiec 1984

Radek SIKORSKI

Nadestane nowości wydawnicze

- MICHNIK (Adam). *Szanse polskiej demokracji. Artykuły i eseje*. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn 1984, cena £ 4.80).
- DRZYCIMSKI (Adam), LEHNERT (Marek). *Osiem dni w Polsce*. Str. 138 i 22 nlb. Liczne fotografie z pobytu Jana Pawła II w Polsce. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1984).
- PAWLAK (Antoni), TERLECKI (Marian). *Każdy z Was jest Wałęsą*. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1984).
- LEOPOLD (Czesław), LECHNICKI (Krzysztof). *Więźniowie polityczni w Polsce 1945-1956*. Str. 73 i 7 nlb. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1984).
- LERSKI (Jerzy). *Emisariusz Jur*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1984).
- Spotkania. Niezależne pismo młodych katolików*. Nr 19-20. (Przedruk podziemnego pisma krajowego, wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1984, str. 221 i 3 nlb).
- ARON (Raymond). *Widz i uczeń*. Przekł. Adam Zagajewski. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984).
- KAWCZYŃSKI (Stanisław). *Dzieje jednego życia*. Str. 176. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1984).
- KAZ-OSTASZEWICZ (Kazimierz). *Dłgie drogi Syberii*. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- SILBERNER (Regina). *Strzępy wspomnień. Przyczynek do biografii zewnętrznej Brunona Schulza*. Str. 28 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- Wiktoria wiedeńska (1683)*. Praca zbiorowa pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Str. 90 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984).
- Polska 1983. Zbiór opracowań o sytuacji w kraju przygotowanych przez Komisję Spraw Krajowych na Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii odbyty w Londynie w dniach 12 i 13 listopada 1983*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1984).
- ZANIECKI (Zbigniew). *Powstanie i potem*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. Londyn 1984).
- KĘDZIORA (Juliusz). *Pomiędzy ludźmi. Uwertura do Szymona syna Jony*. Str. 184. (Wyd. Veritas, Londyn 1984).
- BEJ-KRESOWICZ (Stefan). *Skrzydłaci najemnicy. Kulisy wykorzystywania lotnictwa cywilnego krajów komunistycznych do przewozu broni i sabotażystów*. Str. 398 i 2 nlb. (Wyd. Icarus Enterprises, Atlantic City NJ, USA, 1984).
- KONECZNY (Feliks). *Dzieje Rosji. Tom III: Schyłek Iwana III 1492-1505*. Str. 268. (Wyd. Veritas, Londyn 1984).
- WATOWA (Ola). *Wszystko co najważniejsze...* Str. 151 i liczne fotografie. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1984).
- TARNAWSKA-BUSZA (Celina). *Higiena życia codziennego według zasad stosowanych w lecznicy dr. A. Tarnawskiego w Kosowie*. Wyd. III. Str. 200 (Wyd. Veritas, Londyn 1984).
- MAREK (Edmond). *Cyprian Kamil Norwid — życie i twórczość*. Str. 32. (Wyd. Centre de Télé-Enseignement, Lille 1980).
- BILEK (Romuald). *Jak powstał Kongres Polonii Amerykańskiej*. Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. KPA, Chicago 1984).
- PARNAS (Józef). *Sylwetki moich nauczycieli*. Str. 36. (Wyd. Tow. Miłośników Nauki i Sztuki, Kopenhaga 1984).

- FRANKOW (Tadeusz, ks.). *Rodzina przekaznikiem wartości, norm i zwyczajów*. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, 1984).
- KWOLEK (Edward). *Bomby w celu*. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. w Brighton, Wielka Brytania 1984).
- ŁAPIŃSKI (Zdzisław). *Norwid*. Str. 177 i 3 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków 1984, cena zł 180).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *1859 dni Warszawy*. Wyd. II. Str. 824. (Wyd. „Znak”, Kraków 1984, cena zł 1200).
- BORZOBOHATY (Wojciech). *„Jodła” Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK. 1939-1945*. Str. 466 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1984, cena zł 650).
- Kalendarz Słowa Bożego 1985*. (Wyd. Księży Werbiści, Pieniężno 1984).
- PATOČKA (Jan). *Platon et l'Europe. Seminaire privé du semestre d'été 1973*. Przekł. z czeskiego Erika Abrams. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Verdier, Paryż 1983).
- DANIŁEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Un drame romantique inconnu: Don Sebastien de Portugal par Alexandre Przędziński*. (Nadbitka z *Antemurale XXVI* 1982-1983, str. 53-67).
- ZIELIŃSKI (Adam). *L'intervention diplomatique portugaise en faveur de la Pologne insurgée 1863*. (Nadbitka z *Antemurale XXVI* 1982-1983, str. 39-49).
- MIŁOSZ (Czesław). *The History of Polish Literature*. Wyd. II. Str. 583 i 3 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley 1984, cena \$ US 10,95).
- MIŁOSZ (Czesław, opr. i wybór). *Postwar Polish Poetry*. Wyd. II. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley 1984, cena \$ US 6,95).
- TARNAWSKI (Wit). *Conrad the Man, the Writer, the Pole*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Polish Cultural Foundation, Londyn 1984).
- SIEWIERSKI (Henryk). *Four Essays on Norwid*. (Nadbitka z *Antemurale XXVI* 1982-1983, str. 147-215).
- PADOCH (Jarosław). *The Indestructible Society. On the 110-th Anniversary of the Shevchenko Scientific Society*. Str. 24. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, Nowy Jork 1984).
- Violations of Human Rights in Soviet Occupied Lithuania. A Report for 1982*. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Lithuanian American Community in the USA, Glenside 1983).
- SKALMOWSKI (Wojciech). *Wheel within Wheel: Remarks on Bundahism*. (Nadbitka z *Middle Iranian Studies*, wyd. Uitgeverij Peeters, Leuven 1984, str. 269-311).
- ORTON (Lawrence D.). *Paweł Jasienica — A Rectification and Appreciation*. (Nadbitka z *The Polish Review* vol. XXIX nr. 1 i 2, 1984).
- International Dialogue* nr 3. Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1984).
- PESZKOWSKI (Zdzisław, Msgr). *The Polish Year. Reflections on Polish Culture, Religious and Folk Observances*. Str. 55 i 1 nlb. (Wyd. Orchard Lake School, Orchard Lake MI, USA, 1984).
- Annual Survey of Violations of Trade Union Rights 1983/1984*. Str. 25 i 26 nlb. (Wyd. International Confederation of Free Trade Unions, Bruksela 1984).
- ZEYDLER-ZBOROWSKI (Piotr). *Reforming Poland's Socialist Economy in the 1980s: An Impossible Task? Cz. I: Historical Setting*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Center for Economic Research, Swiss Federal Institute of Technology, Zurych 1984).
- TARNAWSKIYJ (Ostap). *Sotnia sonetiw*. Str. 100 i 10 nlb. (Wyd. Objednanija Ukrajinśkich Pysmennykiw „Słowo”, Filadelfia-Toronto 1984).
- NADDNIPRIANEĆ (Wołodymyr). *Ukrajinśki nacjonat-komunisty. Ich rola w wyzwolnij wiini Ukrajinu 1917-1956 r.* Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Spilka Wyzwolennja Ukrajinu, Nowy Jork - Toronto - Sydney 1983).

- Wybrani tysty Pantalejmona Kulisza ukrajinskoju mowoju pysani.* Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Ukrajinska Wilna Akademia Nauk u USA, Nowy Jork - Toronto 1984).
- NIEIZWISTNYJ** (Ernst). *Goworit Nieizwistnyj.* Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Posjew, Frankfurt/M. 1984).
- GIPPIUS** (Zinajda). *Izbrannaja poezja.* Str. 140 i 6 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1984).
- KONSON** (Lew). *Kratkije powiesti.* Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. La Presse Libre, Paryż 1983).
- STRIJKOVSKI** (Julijan). *Tomazo del Kavalijere.* Str. 111 i 1 nlb. Przeł. Petar Vujičić. (Wyd. Grafos, Belgrad 1984).
- SIEWIERSKI** (Henryk). *Mito e verdate na Mensagem de Fernando Pessoa.* (Nadbitka z *Boletim cultural da Assembleia Distrital de Lisboa*, III seria, nr 88, tom 2, 1982).
- Hotel Örnköld* (teksty Cz. Miłosza, L. Wałęsy, A. Michnika, Z. Herberta, K. Brandysa, A. Smolara i in.) Str. 112. (Wyd. Polsko-szwedzkie Centrum Kultury, Sztokholm 1984).
- SKALMOWSKI** (Wojciech). *Extra muros: Poolse literatuur van de emigratie.* (Nadbitka z *Dietsche Warande et Belfort* nr 3/1984, wyd. Standaard Nitgeverij, Belgia 1984, str. 175-189).
- Nobelsfredspris 1983 / Pokojowa Nagroda Nobla 1983.* Broszura dwujęzyczna norwesko-polska, wyd. Międzynarodowa Konfederacja Związków Zawodowych, str. 62).
- Katyn. Kronikker om mordet på polske soldater i 1940 i Sovjetunionen.* Str. 74. (Wyd. Komitet Katyński w Szwecji, Pro Polonia Dansk Forening i Kronika, Kopenhaga-Sztokholm 1984).

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833 .

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIĄŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE

w wielkim wyborze

KSIĄŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE
ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Wolna trybuna

Od pozycji geopolitycznej do geostrotęgicznej

Ta niezmiernie ważna zmiana roli PRL, wymieniona w tytule niniejszego artykułu, wynika z oczywistych kłopotów z Polakami jakie ma sowieckie Politbiuro od kilku lat.

Z punktu widzenia Politbiura ideałem byłoby, żeby w Polsce żyli tylko ludzie potrzebni do wykonywania nowej roli, wyznaczonej jej w ostatnich latach przez Sowiety. Dawniej można było setki tysięcy ludzi deportować (Węgry) a ponadto pewną ilość rozstrzelać. Teraz już na ten „luksus” nie można sobie pozwolić. Wobec tego zamiast deportacji można zabawić się w liberalizm. Zmiatajcie Panowie i Panie na Zachód! Tak wygląda ten liberalizm jak się na niego popatrzy od strony interesów sowieckich.

Pozostaje kluczowa kwestia: dlaczego Polsce wyznaczono nowy status „geo-strategiczny”. Oczywiście przede wszystkim dlatego, że przeszła przez bunt „Solidarności”. Wszystkie wielkie ruchy i organizacje, jak mądrze uczył Max Weber, przeżywają fazę dysfunkcji. Zwykle zbiega się to z fazą zainstytucjonalizowania ruchu. „Solidarność” nie zdążyła, bo była od zarania ruchem poronionym. Działaczom „Solidarności” przypisywano rozważę, która przeszła w zbyt nadmierną ostrożność. To że nie wystąpili z jasnymi i niedwuznacznymi deklaracjami politycznymi zostało uznane za dowód ich mądrej wstrzeźliwości. Solidarnościowcy byli rzeczywiście rebeliantami, ale ograniczenie ich rebelii do spraw wolności związków zawodowych nie wynikało z ich ostrożności, ale z tego, że nie chcieli się buntować inaczej jak na gruncie ustroju KDL-owskiego czyli mówiąc po prostu sowieckiego. Nie neguję czynników umiaru i obaw o losy Narodu — ale zasadniczą ideą przewodnią była afirmacja systemu sowieckiego. Obecnie wykpiwa się modne przed dwoma laty powiedzenie: „Polak z Polakiem zawsze się dogada”. Wypada je zastąpić innym: „Człowiek sowiecki zawsze dojdzie do porozumienia z innym człowiekiem sowieckim”. Ale to też jest nieprawda, bo w systemie sowieckim istnieje tylko jedna „prawda” — zadecydowana na samym szczycie, która oczywiście z prawdą nie ma nic wspólnego. Prawdopodobnie 90 procent — bo na pewno nie wszyscy działacze „Solidarności” — wystąpiło z tym absurdalnym, jak się nam obecnie wydaje, zadaniem — by stworzyć wolne związki i zachować system. Zastanawiałem się

jak po ogłoszeniu generalnego strajku na czwartek mogli się spokojnie położyć do hotelowych łóżek w Gdyni, sądząc że obudzą się nie tylko jako wolni ludzie, ale kontynuujący swą działalność. Przypisywałem to jakiejś zdumiewającej niefrasobliwości i przekonaniu, że siła opinii publicznej, która ich wspiera, uchroni ich przed uderzeniem władz. Teraz widzę, że był to nie tylko kompletny brak rozeznania systemu, ale i to że oni sami byli produktem systemu i że nie byli w stanie wyjść poza pewne kategorie myślenia i system ten bezapelacyjnie odrzucić. Przed nimi byli już mądrzejsi ale tak upupieni afirmacją systemu, że również padli ofiarą zaskoczenia. Czyż nie ma lepszego przykładu niż Dubczek? Przypuszczam, że Wałęsa i wielu jego politycznych przyjaciół niewiele się po wydarzeniach czeskich nauczyli, bo mało albo wcale o nich nie wiedzieli. Wałęsa chwalił się kiedyś, że nie czytał w życiu ani jednej książki. Nie była to prawda, ale on chciał pokazać światu jaki z niego genialny intuicjonista.

Jeśli wszelako rebelia wszczęta przez „Solidarność” i poprzedzona wydarzeniami radomskimi 1976 roku limitowana była warunkami działania na gruncie systemu sowieckiego — to dlaczego Sowiety redukują obecnie jej rolę do funkcji czysto geopolitycznej? Dlatego, że Sowiety nie tolerują żadnej rebelii, choćby jej przywódcy i zwolennicy podpisywali się obiema rękami pod systemem sowieckim. Lojalni wobec władzy sowieckiej rebelianci sądzą, że wyjęcie jednej cegiełki z fundamentu państwa po-stalinowskiego i zastąpienie jej inną — w ich przekonaniu lepszą, bo dającą Polakom przywileje nie naruszające ustroju — jest w granicach tolerancji Sowietów. Dla mnie jest to dowodem bezgranicznej naiwności — ale ci w Moskwie, którzy ostatecznie decydowali o wszystkim i prawdopodobnie na samym początku nie mogli się w fenomenie „Solidarność” rozeznać, mogli dojść do wniosku że mają do czynienia z wrogami. Czy z wrogami systemu czy tylko takimi, którzy ten ustrój chcą usprawnić — to dla nich nie było sprawą najważniejszą. Ruch trzeba zniszczyć bez względu jaką legitymację ideową prezentuje. Albowiem ten kto nie zgadza się z władzą sowiecką i rzuca jej kamienie pod nogi jest wrogiem. Do tego dochodziła sprawa 10 milionów Polaków, których w pewnym momencie kierownictwo Solidarności mogło nie móc już kontrolować. W rezultacie musi to zrobić Ludowe Wojsko Polskie plus milicja. „My mamy cały świat 'do obsłużenia'. Musimy myśleć o Angoli, Kubie, Nikaragui, Etiopii — a przede wszystkim o Ameryce Środkowej, w której nasza pozycja słabnie. Nie mamy na to ludzi”.

Sowieckie upupienie Polaków datuje się już od dawna. Symbolem jego było powiedzenie: „Czy się stoi czy się leży 2000 się należy”. Był to proces „zafrykanizowania Polaków”, którzy w warunkach sowieckich doszli do wniosku, że lepiej jest mniej fatygować i mniej zarabiać. Ten stosunek Polaków do pracy trwał już bardzo długo. Żadnych bodźców materialnych nie było więc sprawa została biernie zaakceptowana — w obalenie ustro-

ju nikt już nie wierzył. W ten sposób psychika przeciętnego Polaka została zsovietyzowana, choć on sam o tym nie wiedział. Mógł nawet urągać na rząd, co w pewnych granicach zostało dozwolone za czasów Gomułki i później — Gierka. Można np. było opowiadać w knajpie dowcipy antykomunistyczne i za to nikogo MO nie aresztowała. Rządowi owe dowcipy niewiele szkodziły a Polak po wypowiedzeniu kilku kąśliwych żartów miał czystsze sumienie. Zamanifestował swoją opozycję wobec reżimu. Była to klapa bezpieczeństwa troszkę podobna do tej, jaką spełniają obecnie liczne wydawnictwa Solidarności.

Oczywiście od tych czasów dzieli nas epoka. Epoka „Solidarności”. Zamiast 2.000 dostaje się 5 a może 7 albo jeszcze więcej. Pewne grupy, jak np. górnicy, są jeszcze bardziej uprzywilejowane. Ale kupić za nie można jeszcze mniej niż dawniej albo nic.

Jeśli Polacy dojdą do przekonania, że nawet proporcja: minimalna praca i minimalne zarobki nie może się utrzymać czy uwolnią się od swego sowieckiego kompleksu? Może. Ale trzeba na to poczekać. Osobiście jestem przekonany że do tego dojdzie. Klucz ma w rękach obecna administracja Reagana. Dlatego utrzymanie sankcji jest absolutnie niezbędne. Trochę to wygląda jak wielokrotnie potępiana zasada: „Im gorzej tym lepiej” — ale niestety zasada ta musi być czasem stosowana.

W filmie amerykańskim, który był oczywiście fikcją, ale opartą na przesłankach bardzo możliwych, jest scena która dzieje się w sowieckim biurze politycznym. Robotnicy Moskwy, Kazania i Leningradu wyszli na ulice. NKWD — boi się do nich strzelać. I Sekretarza (b. pozytywny typ w filmie) informuje o tym szef MWD. Robotnicy atakujący gmachy publiczne, rozbijający skiepy krzyczą, że nie są przeciwni władzy sowieckiej. Domagają się tylko chleba.

„Solidarność” w chwili swego powstania była ruchem, który nabrał nieprawdopodobnego rozpędu. Jednocześnie, jak pamiętamy, był to ruch reformatorski. W tym sensie, że odżegnywał się od gwałtu będąc poza tym głęboko religijnym. Sama zasada miłości bliźniego wykluczała gwałt.

To wszystko przybrało w rezultacie obrót, w którym na placu boju (boju symbolicznego, bo prawdziwego nie było) pozostały dwie strony: Kościół i władza wojskowa. Jak wiele jest rzeczy których się nie przewiduje, a które rozumie się *post factum*. Takich mądrych którzy wiedzieli wszystko z góry jest mało. Powiedzenie „Mądry Polak po szkodzie” też się nie sprawdza. Niestety Polacy w swojej masie nie zmądrzeli. Tylko niektórzy.

Do nich należą wydawcy *Niepodległości*. W numerze *Niepodległości* z maja bież. roku mowa jest o propozycjach zawieszenia broni między opozycją a władzami. „Przepraszam — pisze autor komentarza — co oni mogą zawiesić, to wiemy, ale co opozycja ma do zawieszenia?” Innymi słowy organizacja fizycznie bezbronna proponuje zawieszenie broni uzbrojonomu po zęby przeciwnikowi. Oczywiście nonsens.

Pamiętamy że w okresie rozkwitu „Solidarności” Wałęsa zażądał rozwiązania się KOR-u. KOR uczynił to posłusznie. Obecnie główne oskarżenia pod adresem byłych KOR-owców kierują ci, którzy najbardziej wspierają sojusz między Kościołem a władzą PRL.

Trudno o większy fałsz. Ci Korowcy ze swoją przeszłością komunistyczną czy socjalistyczną — lub ogólniej marksistowską — lepiej od innych wiedzą czym jest system sowiecki — i że nie ma w jego obrębie żadnych możliwości reform. Jeśli obecnie główne ataki ze strony części Kościoła i PRL kierują się przeciwko nim, potwierdza to jedynie moją hipotezę — jak dalece ruch solidarnościowy przywiązany był do sowietyzmu. Już prawie oficjalną tezą pewnych kół, jak np. *Narodowca* we Francji czy *Myśli Polskiej* w Londynie jest oskarżanie byłych KOR-owców o to, że ich zamiarem było restytuowanie nowej wersji komunizmu w Polsce w wydaniu trockistowskim. W ten sposób rozpowszechnia się stara i do znudzenia oklepaną bzdurę: „Solidarność”, spontaniczny ruch ludowo-katolicki, KOR-owcy chcieli przejąć dla własnych celów. Żeby zastąpić dawny system sowiecko-podobny, w którym ludzie jakoś żyli i z którym jakoś się zżyli (właśnie, jak się zżyli — to ciekawe) systemem trockistowskim, który chyba jest jeszcze gorszy — bo żydowski. I drugą zupełnie sprzeczną — że chcieli zastąpić socjalizm kapitalizmem. To co pisze Morga w *Zeszytach Historycznych* w artykule pt. „KOR — Szkoła Wolności” — jest bardzo słuszne i mądre. W *Przedmurzu*, jednym z wydawnictw prasy podziemnej, zaatakowano KOR za to, że niszczy wrażliwość moralną Polaków. Pomyśleć — to KOR niszczy! Nikt inny tylko KOR. Poważne były błędy KOR-u, ale zupełnie inne. Zbliżone do tych które popełnił Lech Wałęsa mówiąc, że: „przemoc nauczyła go nienawidzić przemocy”. Bo to przecież nie było nic innego jak zwierciadło *appeasement*'u — filozofia kapitulacji. Gdyby się mówiło, że: nie możemy przeciwstawić się przemocy bo nie mamy na to środków, bo jesteśmy w tej sytuacji bezbronni, byłoby to realnym rozeznaniem sytuacji.

Oczywiście nie zamierzam twierdzić, że wszyscy działacze Solidarności byli pod wpływami sowietyzmu. Wielu z nich działało tak, jakby na ich barkach spoczywała wieczysta i niezniszczalna potęga. Na pewno pokaźna liczba spośród nich, jak np. Andrzej Gwiazda, byli jak najdalej od ulegania jakimkolwiek wpływom sowieckim. Pamiętam powiedzenie Jana Rulewskiego, delegata regionu bydgoskiego, na jednym z dwóch zjazdów „Solidarności” w końcowym etapie poprzedzającym katastrofę. Powiedział mianowicie, że ze zdumieniem obserwując obrady Solidarności może je przyrównać do obrad moskiewskiego sowietu w roku 1917. Bardzo był wówczas niepopularny ów Jan Rulewski wśród swoich towarzyszy. Za to, że nie miał złudzeń.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 1 sierpnia 1984

Z pustyni i z puszczy

Kopciuszek

Zacznijmy od cytatu z warszawskiej *Kultury*:

„Znana jako prozaik i dramaturg rozpoczęła Auderska działalność (podkreślenie moje — J.B.) literacką zaraz po ukończeniu szkoły średniej wystawiając w roku 1925 sztukę 'Kopciuszek'”. Koniec cytatu

O pisarzach zwykło się mówić, że zaczęli pisać, o grafomanach, że rozpoczęli działalność literacką. Ale, ani żeśmy się nie obejrżeli, a nasz Kopciuszek skończył osiemdziesiąt lat i przeżywa kolejne sukcesy w działalności oraz kolejne jubileusze — pięćdziesięciolecie pracy pisarskiej, trzydziestodzieciocielecia podjęcia pracy leksykografa, czterdziestodzieciocielecia współpracy z radiem, dwudziestosiedmiocielecia podróży do Peru, piętnasto- lub dwudziestokrotnego pobytu w Moskwie i w kieszeni Moskwy, i tak dalej, i tak dalej.

Generał Jaruzelski znalazł srebrny pantofelek, przymierzył go do stópki dostojnej jubilatki, okazało się, że pasuje jak ulał i prezesem nowopowstałego ZLP (Związku Lojalnych Pisarzy) została na starość Halina Auderska. W ten sposób, jak by to określił mój przyjaciel Janusz Głowacki, Kopciuszek został Kopciuchem albo też był nim od zawsze.

Jak scharakteryzował ją pewien człowiek dowcipny w 1969 roku, jest to osoba „bezpartyjna, pokorna, dbająca bardziej o własne interesy niż o dobro ogółu; dzięki temu zdobyła zaufanie egzekutywy Związku Literatów Polskich i została wybrana na prezesa warszawskiego oddziału ZLP”.

Halinie Auderskiej, cierpiącej na kompleks niedoceny i zapomnienia nigdy nie szczędzono nagród. Jej nagrody literackie uprawniają absolutnie do tego, żeby towarzyszył docent Jan Kurowicki, nowy dyrektor Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk wysunął jej kandydaturę do nagrody Nobla. Jemu wystarczy druga pensja z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a później nagroda leninowska, natomiast naszego Kopciuszka obsypywano od zawsze nagrodami, jak na przykład (cytuje za *Trybuną Ludu* z roku 1960):

„Za słuchowisko 'Chcemy być inni' otrzymała III nagrodę w konkursie radiowym”.

„Za sztukę 'Ścieżka przez pole' otrzymała II nagrodę w konkursie Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego z okazji 1000-lecia”.

Kopciuszek jest także matką chrzestną statku „Andrzej Frycz-Modrzewski”. W ogóle imponująca jest ilość odznaczeń, jakie otrzymał za działalność na niwie literackiej i poza nią. Z okazji Dnia Działacza Kultury został w 1965 roku odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, w 1969 roku Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, w 1971 roku otrzymał nagrodę miasta Warszawy z okazji dwudziestej szóstej rocznicy wyzwolenia, w 1974 roku obwieszony został Orderem Sztandaru Pracy II klasy, w 1975 roku udekorowany złotą odznaką za pracę społeczną dla miasta Krakowa, w 1944 medalem 40-lecia PRL, i tak dalej.

Kopciuszek lubi podróżować. Był w Peru, w Rzymie, a także we wszystkich Bukaresztach, Berlinach, Moskwach, w składach wszystkich delegacji na wszystkie posiedzenia — wedle słów *Trybuny Ludu* — „przedstawicieli kierownictwa związków pisarzy krajów socjalistycznych”. Jest znany nawet na Ukrainie. Jak donosi *Trybuna Ludu* z marca 1980 roku: „Lwowskie Wydawnictwo 'Kamieniar' wypuściło w języku ukraińskim książkę Haliny Auderskiej 'Jabłko granatu'. Dyrektor wydawnictwa, Mirosław Nieczaj powiedział, że książka Auderskiej jest kontynuacją publikacji dzieł polskich pisarzy w języku ukraińskim. Wcześniej wydano na Ukrainie 'Moralność pani Dulskiej'”.

Pisanie w ogóle nie jest mocną stroną Kopciuszka, ani też szczególnie ważnym elementem ekspresji jego niezwykłej, ekspansywnej osobowości. Dlatego też nie będę zajmował się tutaj tym stosem makulatury, w którym aż dziwi przyzwoitość „Ptasiego gościńca” i „Babiego lata”.

Zresztą z książek Auderskiej, z książek tego tytana pióra i pracy, pisali recenzje tacy giganci krytyki literackiej jak Janusz Wilhelmi (minister), Zygmunt Lichniak (działacz Stowarzyszenia „Pax”), Wojciech Żukrowski (działacz PRON-cia) i Janusz Termer (służbowo).

Znacznie ważniejsza od pisania jest działalność Kopciuszka przejawiająca się w mówieniu o pisaniu, bądź o przyjaźni z Krajem Rad. W *Argumentach* z listopada 1971 roku Auderska wyznaje: „(...) napisałam około 60 słuchowisk. (...) Każda literatura musi mobilizować moralnie, musi być uczciwa i rzetelna. Powinniśmy więc pisać prawdę”.

W związku z poszukiwaniem prawdy „jako członek Prezydium Zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP spotkała się z Józefem Tejchmą w celu omówienia aktualnych problemów środowiska literackiego” (*Trybuna Ludu*, styczeń 1972), „jako prezes Zarządu OW ZLP, wzięła udział w spotkaniu J. Kępy z członkami egzekutywy POP i prezydium Zarządu OW ZLP” (*Trybuna Ludu*, sierpień 1972), a także „uczestniczyła w KC PZPR w spotkaniu

E. Gierka z członkami ZG ZLP” (*Trybuna Ludu*, czerwiec 1975).

Ponieważ rodzima prawda nie zawsze Kopciuszkowi wystarcza, często w jej poszukiwaniu udaje się do Moskwy. Owocem jednego z wyjazdów był artykuł „Gwiazdy przyjaźni” opublikowany w *Prawdzie*, artykuł — jak podaje *Trybuna Ludu* z listopada 1974 roku — „znanej polskiej pisarki Haliny Auderskiej poświęcony związkom pomiędzy Krajem Rad a PRL, współpracy i serdecznym, codziennym związkom pisarzy polskich i radzieckich”.

Rezultatem ostatniej wizyty w Moskwie w listopadzie 1983 roku jest wywiad w *Literaturnoj Gazecie*, w którym Auderska — w ramach przysłej umowy ze Związkiem Pisarzy Radzieckich — zapowiada wydanie w moskiewskim wydawnictwie „Raduga” swojej powieści „Warszawska syrena”, która — wedle jej oczekiwań — ma „podbić serca czytelników Kraju Rad”.

Halina Auderska nie zapomniała przyłączyć się do chóru ogólnokomunistycznych ubolewań po śmierci Jurija Andropowa. „Śmierć J. Andropowa jest poważnym ciosem nie tylko dla społeczeństwa radzieckiego, ale i dla całej postępowej ludzkości” — powiedział Kopciuszek.

Na szczęście ani cała, ani postępową, ludzkość — pomijając recenzentów-masochistów — nie musi jeszcze czytać złotych myśli i książek naszego Kopciucha, warszawskiej syrenki, członka PRON-cia, bezpartyjnej gwiazdy przyjaźni.

Jacek BIEREZIN

KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków
i współpracowników NSZZ Solidarność

Adres Redakcji 31, rue Dauphine, 75006 Paris.

Zamówienia kierować na adres:

55, rue Montorgueil, Paris 75002.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;
półroczna F. 155.

Konto bankowe: Credit Lyonnais, 3, rue de Turbigo,
75001 Paris, Agence 404, compte N° 52145 G
KONTAKT.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

4-6-84

Zmarł w Warszawie w wieku 60 lat Zbigniew Sawan-Nowakowski, popularny aktor i reżyser.

28-6-84

Fundusz Literatury przyznał nagrody za rok 1983. Otrzymali je pp. Wiesław Myśliwski za książkę „Kamień na kamieniu”, Stanisław Czyż za opowiadania „Nie wiem, co ci powiedzieć”, Stanisław Zieliński za „Lot wermini”, Roman Sliwonik za „Potęgowanie dramatu”, ks. Jan Twardowski za tom poezji „Który stwarzasz jagody”, Tadeusz Różewicz za dramat „Pułapka”, Zygmunt Lichniak za szkice poświęcone literaturze na emigracji „Zanim powstanie panorama”, Wacława Komarnicka za tłumaczenie wspomnień Ilii Erenburga „Ludzie, lata, życie”, Andrzej Mularczyk za reportaże „Czym ja żyłem życiem”, Stanisław Szenic za monograficzne opracowanie „Cmentarz powązkowski 1891-1918” oraz Jacek Wojciechowski za osiągnięcia w upowszechnianiu czytelnictwa.

Nagrody zespołowe za dokonania wydawnicze otrzymali: zespół redakcyjny Instytutu Badań Literackich PAN za edycję dzieł Jana Kochanowskiego, komitet redakcyjny Biblioteki Poetów wydawanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą oraz zespół redakcyjny Wydawnictwa Literackiego za edycję dzieł zebranych pisarzy polskich XX wieku. Stanisław Czyż odmówił przyjęcia przyznanej mu nagrody, jak również ks. Jan Twardowski.

1-7-84

Nowy Związek Literatów Polskich ma w tej chwili 16 oddziałów oraz 602 członków i 28 kandydatów. Zarząd Główny przyjął do czerwca br. ponad 70 nowych członków. Są to pisarze, którzy złożyli podania o przyjęcie właśnie już do nowego Z.L.P. Oddział warszawski liczy obecnie 299 członków. Zarząd Główny podpisał już umowy o współpracę z organizacjami pisarzy wszystkich krajów socjalistycznych. Integracja więc postępuje.

2-7-84

Na miejsce aresztowanego Bogdana Lisa został mianowany członkiem TKK „Solidarności” jego zastępca w Gdańsku — Bogdan Borusewicz. Liczy on lat 35, był członkiem KOR-u i jednym z organizatorów strajków w sierpniu 1980 w Gdańsku. Od grudnia 1981 roku działa w podziemiu.

12-7-84

Zmarł w Warszawie w wieku 79 lat Leon Kasman, wybitny działacz PZPR, parokrotny redaktor naczelny *Trybuny Ludu*, członek KC PZPR. Od 1968 roku był na emeryturze.

14-7-84

Prokuratura Wojskowa w Warszawie skierowała do Sądu Rejonowego akt oskarżenia przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszko oraz przeciwko adwokatowi Maciejowi Bednarkiewiczowi. Adw. Bednarkiewicz został m.in. oskarżony o udzielenie pomocy w ukrywaniu się dezertrowi z ZOMO oraz o ujawnia-

nie wiadomości, stanowiących tajemnicę państwową i służbową w resorcie spraw wewnętrznych. Ks. Popiełuszko zaś został oskarżony o nadużywanie wolności sumienia i wyznania na szkodę interesów PRL, o przechowywanie wydawnictw nielegalnych oraz amunicji i materiałów wybuchowych.

16-7-84

Wyrok w procesie o zabójstwo Grzegorza Przemyka. Sąd w składzie Janusz Jankowski — przewodniczący, Ewa Gutowska-Sawczuk i Andrzej Lewandowski jako członkowie zespołu orzekającego skazał na 2,5 roku więzienia Michała Wiesława Wysockiego — kierowcę karetki pogotowia i na 2 lata więzienia Jacka Romana Szyzdeka. Obaj otrzymali karę dodatkową w formie zakazu wykonywania pracy w placówkach służby zdrowia w ciągu pięciu lat. Funkcjonariusze MO Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkiewicz zostali uniewinienni, natomiast w stosunku do lekarzy Pawła Kazimierza Wilmana i Bronisława Olgierda Jasickiego postępowanie zostało umorzone na podstawie ustawy o amnestii uznając, że działali oni nieumyślnie.

19-7-84

144 „wybitnych twórców kultury” otrzymało medale 40-lecia PRL. Wśród odznaczonych byli m.in. pp. H. Auderska, L. Bartelski, B. Czeszko, J. P. Gawlik, T. Hołuj, St. Kubiak, B. Poręba, J. Putrament, A. Sandauer, W. Sokorski.

22-7-84

PZPR posiada 600 lektorów KC, 5.000 lektorów KW i 15 tysięcy lektorów w instytucjach partyjnych niskiego stopnia. ■ Z okazji 40-lecia PRL-u posypał się deszcz orderów: 28 osób zostało odznaczonych Orderem Budowniczych Polski Ludowej, m.in.: Halina Czerny-Stefańska, Bogdan Czeszko, Marian Podkowiński i Bogdan Suchodolski, zaś Komitet Nagród Państwowych przyznał nagrody państwowe szeregowi osób, m.in. Kazimierzowi Dejmowski, Krzysztofowi Pendereckiemu, Halinie Auderskiej i Teodorowi Parnickiemu.

27-7-84

W KC PZPR w Warszawie odbyło się spotkanie z delegacją pisarzy sowieckich kombatanów z okazji 40-lecia PRL. Ze strony polskiej w spotkaniu wzięli udział: Wojciech Żukrowski, Andrzej Przyppkowski, Edward Kurowski, Józef Wójcicki, Marian Popiełek i Bogdan Barnikowski.

31-7-84

Zmarł w Gdańsku bp Lech Kaczmarek. Był on protektorem „Solidarności”, utrzymywał bliskie kontakty z Lechem Wałęsą.

3-8-84

W Warszawie zmarł w wieku 86 lat prof. dr Janusz Groszkowski, członek rzeczywisty P.A.N., wybitny specjalista z zakresu radiotechniki. W latach 1963-1971 był prezesem P.A.N.

6-8-84

W Warszawie zmarł nagle w wieku 86 lat Jerzy Zagórski, poeta, tłumacz, eseista i krytyk teatralny. Jego początki literackie były związane z Wilnem, z grupą „Zagary”. *Kultura* zamieszczała szereg jego wierszy, jak również jego dramat pt. „Olimp i Ziemia”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

26-5-84

Prezesem Instytutu J. Piłsudskiego w Londynie został inż. Mieczysław Stachiewicz. ■ *Budżet Rządu Emigracyjnego w Londynie na rok 1984:*

Wpływy:

1. Wpłaty Skarbu Narodowego	£ 45.000.00
2. Wpływy z wydawnictw	£ 2.000.00
3. Inne wpływy i zwroty budżetowe	£ 7.000.00
4. Z funduszu rezerwowego Rządu i Skarbu Narodowego ..	£ 13.730.00
	£ 67.730.00

Wydatki:

Dział A. Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej	£ 3.540.00
Dział B. Rada Narodowa R.P.	£ 2.100.00
Dział C. Najwyższa Izba Kontroli	£ 50.00
Dział D. Rada Ministrów	£ 10.310.00
Dział E. Zewnętrzna akcja niepodległościowa	£ 9.650.00
Dział F. Wewnętrzna akcja niepodległościowa	£ 19.550.00
Dział G. Utrzymanie gmachu przy 43 Eaton Place	£ 22.530.00
	£ 67.730.00

19-6-84

Zmarła w Londynie Stefania Sakowska, wdowa po dyrektorze Polskiej Fundacji Kulturalnej.

30-6-84

Na Walnym Zebraniu Wspólnoty Polsko-Francuskiej wybrano nowy zarząd w składzie: prezes Leszek Talko (korespondent Radio France Internationale i prezes Radia „Solidarność” w Paryżu), 1-szy wiceprezes — Edward Kozik (radny m. Roubaix i wspólnoty miejskiej m. Lille), 2-gi wiceprezes — Bruno Wiecek (z Biura Studiów we francuskim Min. Obrony Narodowej), 3-ci wiceprezes — Bolesław Szpięga (adwokat), sekretarz generalny — Janusz Deryng (urbanista).

1-7-84

Stefan Wilkanowicz, redaktor naczelny miesięcznika *Znak*, został mianowany przez Papieża członkiem Papieskiej Rady do Spraw Świeckich. W poprzedniej kadencji członkiem tej Rady był Marek Skwarnicki z *Tygodnika Powszechnego*.

5-7-84

Organizacja Aide à l'Eglise en Détresse przyznała dotację w wysokości 10 tys. dolarów jako pomoc na rozbudowę seminarium duchownego w Lublinie. Seminarium to ma obecnie 226 seminarzystów diecezjalnych, w tym 21 Ukraińców.

7-7-84

W Johannesburgu zmarli pp. Róża z Potockich Kazimierzowa Mycielska w wieku lat 78, a 9 lipca br. Kazimierz Mycielski, 80 lat, doktor praw,

były sekretarz Poselstwa R.P. w Budapeszcie i do 1945 roku sekretarz Ambasady R.P. w Paryżu.

26-7-84

W Perugii odbyła się konwencja organizacji pacyfistycznych z udziałem 1.200 delegatów. Przedstawiciele niezależnych ruchów pacyfistycznych w wschodniej Europie nie mogli przybyć. Przedstawiciele „Solidarności” odmówili udziału. Natomiast duże zdziwienie wywołała obecność przedstawiciela KOS-u.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Aetna Institut Gallery w Hartford, CT została otwarta 19 lipca br. wystawa Richarda C. Hardena, która jest zatytułowana „An American Artist in Poland”. ■ W marcu i kwietniu br. przebywał przez kilka tygodni w Stanach Zjednoczonych Władysław Bartoszewski, zaproszony przez Fundację Kościuszkowską i American Jewish Committee. Poza Nowym Jorkiem odwiedził Waszyngton, Chicago, Detroit, Ann Arbor, Orchard Lake, Milwaukee, Los Angeles, San Francisco i Baltimore. Podejmowany był przez lokalne oddziały American Jewish Committee oraz przez różne organizacje i kluby polskie (w tym przez Instytut Józefa Piłsudskiego i Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku oraz Koło A.K. w Chicago). Wł. Bartoszewski wygłosił kilkanaście odczytów na temat sytuacji kultury polskiej oraz z zakresu problematyki polsko-żydowskiej. Kilkakrotnie występował wobec gremiów uniwersyteckich (Columbia University w Nowym Jorku, University of Wisconsin w Milwaukee, University of Chicago). W kilku poważnych pismach amerykańskich (m.in. w *Los Angeles Times*) ukazały się obszerny artykuły na jego temat oraz wywiady. Szczytowym punktem pobytu Wł. Bartoszewskiego w Stanach Zjednoczonych była uroczystość nadania mu doktoratu *honoris causa* nauk humanistycznych przez Baltimore Hebrew College, jeden z uniwersytetów żydowskich w USA, odgrywający poważną rolę w życiu naukowym. W uroczystości tej uczestniczył nagrodzony równocześnie przez ten uniwersytet Telford Taylor, emerytowany profesor Columbia University, generał armii USA i jeden z oskarżycieli w procesach w Norymbierdze, znawca problematyki drugiej wojny światowej. W swym wystąpieniu w Baltimore, poświęconym w znacznej części sprawie zagłady Żydów, prof. Taylor mówił m.in. o zasługach polskiego Podziemia, działającego w porozumieniu z rządem polskim w Londynie, w informowaniu opinii wolnego świata o tym, co naprawdę dzieje się z Żydami w Europie Wschodniej. W tym kontekście prof. Taylor wspominał o Wł. Bartoszewskim, o jego działalności w czasie okupacji hitlerowskiej i o roli jego badań historycznych. ■ Na dorocznym zjeździe Związku Klubów Kulturalnych w Stanach Zjednoczonych przyznano nagrodę Zbigniewowi Brzezińskiemu w dziedzinie służby państwowej i pracy naukowej. W dziedzinie publicystyki otrzymał nagrodę Jan Nowak, autor książki „Kurier z Warszawy”. W dziedzinie pracy dla organizacji przyznano nagrodę Annie Chrypińskiej przewodniczącej klubów w latach 1972-1977. Prezesem na rok następny została wybrana pani Blanka Rosenstiel. ■ Komisja Budżetowa Senatu USA uchwaliła nadanie terenowi, na którym znajduje się ambasada ZSSR w Waszyngtonie, nazwy 1, Place Andrei Sakharow, Washington, D.C. Uchwała ta wejdzie w życie z chwilą zatwierdzenia jej przez Senat i przez Izbę Reprezentantów.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

W Centralnym Domu Polskim w Adelajdzie odbyło się spotkanie (zorganizowane przez Społeczny Fundusz Kulturalny) Krzysztofa R. Apta, dyrektora paryskiego kwartalnika *Zeszyty Literackie* z miejscową Polonią. Krzysztof R. Apt wygłosił prelekcję na temat działalności polskiej emigracji we Francji. ■ Staraniem Polskiego Biura Pomocy i Informacji w Sydney ukazała się książka-poradnik pt. „Kącik emigranta”, opracowana przez F. Rozmusa — „Wujka”. Książka ta jest bardzo pomocna, szczególnie dla nowo przybywających polskich emigrantów. Zawiera dużo praktycznych informacji. ■ W federalnej stolicy Canberze oraz w stolicach stanowych Melbourne i Sydney wystawiona została w reżyserii i scenografii Bogdana Kocy, 32-letniego aktora i reżysera z Teatru Polskiego we Wrocławiu (obecnie zamieszkałego w Sydney) sztuka Sł. Mrożka „Emigranci” w wersji angielskiej. Główną rolę grał również Bogdan Koca. Występując w Polsce, Bogdan Koca otrzymał nagrodę na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych za rolę Henryka w „Ślubie” Gombrowicza. Zdobył także trzy nagrody jako najlepszy aktor. ■ Według sprawozdania sekretarza generalnego Ogólnaustralijskiego Komitetu Pomocy Polsce „Help Poland Live”, Krzysztofa Majewskiego, ogólna suma zebranych pieniędzy zamknęła się, z końcem ub. roku, kwotą 2 milionów i 100 tysięcy dolarów. Komitet ten powstał w końcu 1981 roku. Oblicza się, że pomoc indywidualna i zbiorowa od australijskiej Polonii dla kraju nadal wynosi w skali rocznej około ośmiu milionów dolarów (tj. przeciętnie 50 dolarów na każdą osobę z polskiej grupy etnicznej). ■ Dr Agnieszka Syrokoma-Stefanowska została mianowana kierownikiem wydziału studiów orientalnych uniwersytetu w Sydney. ■ W Melbourne został oficjalnie otwarty przez stanowego ministra imigracji i spraw etnicznych Dom Polski „Syrena” (jest to już czwarty Dom Polski w Melbourne), poświęcony w ub. roku przez biskupa Szczepana Wesołego. Nowo otwarty polski ośrodek jest własnością Stowarzyszenia Polaków Wschodnich Dzielnicy Melbourne, mieści się na 10-akrowym placu. Planuje się dalszą rozbudowę Domu oraz utworzenie na tym terenie Domu Spokojnej Starości. Stowarzyszenie Polaków Wschodnich Dzielnicy Melbourne jest obecnie największą i przejawiającą najwięcej działalności z około 40 polskich organizacji w Melbourne. ■ Dr Seweryn Ozdowski, pełniący obowiązki dyrektora Ogólnaustralijskiej Komisji Praw Człowieka, z siedzibą w Canberze, jest jednym z czterech australijskich naukowców, którzy uzyskali w tym roku amerykańskie stypendium Harkness Fellowship. Dr Ozdowski będzie przez 21 miesięcy badał zagadnienia ochrony praw człowieka, jej konstytucyjne i prawne podstawy na uniwersytetach Harvard, Georgetown i California oraz zapozna się z działalnością amerykańskich federalnych i prywatnych organizacji działających w obronie praw człowieka. Dr Ozdowski, absolwent uniwersytetu w Poznaniu (prawo i socjologia) opuścił Polskę w 1973 roku. Do Australii przybył w 1975 roku. ■ W głównej sali koncertowej Monash University w Melbourne odbył się drugi Festiwal Polskiej Piosenki w Australii. Festiwal ten, tak jak i poprzedni, urządzony został przez Stowarzyszenie Polaków Wschodnich Dzielnicy Melbourne. Widownia festiwalowa zgromadziła ponad osiemset osób a artyści i zespoły (poza miejscowymi) przyjechali z Adelajdy, Brisbane, Canberra i Sydney. Był to więc festiwal na skalę ogólnaustralijską. ■ W związku ze świętem Dnia Australii odznaczony został przedstawiciel polskiej społeczności, prezes Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii (z siedzibą w Adelajdzie), Andrzej Szczygielski. Otrzymał on Medal of the Order of Australia

(OAM). ■ W dniach 27-29 sierpnia br. odbędzie się na Melbourne University doroczna konferencja naukowa APSA (Australian Political Studies Association). W ramach tej konferencji zorganizowana będzie specjalna sesja na temat Polski, zatytułowana „Poland under Jaruzelski”, która wejdzie w skład szerszego sympozjum pt. „Socialist Countries”. Do sesji polskiej zgłoszonych zostało 10 referatów, wśród ich autorów są wybitni naukowcy z różnych australijskich uniwersytetów, jak prof. Andrzej Walicki, prof. John Besmeres, dr Wojciech Sadurski. W listopadzie ub. roku odbyła się naukowa konferencja pt. „Polska po stanie wojennym” na Narodowym Uniwersytecie w Canberze, którą otworzył federalny minister sprawiedliwości senator Gareth Evans. Organizatorem konferencji był profesor Jerzy Zubrzycki, założyciel katedry socjologii na uniwersytecie w Canberze, inicjator i pionier polityki wielokulturowej w Australii, znany także z szeroko prowadzonej kampanii przeciwko dyskryminacji rasowej, przez szereg lat przewodniczący Australijskiej Rady do Spraw Etnicznych. ■ Z okazji urodzin królowej Elżbiety II zostało przyznane wysokie odznaczenie: Order Australii (Officer of the Order of Australia) prof. Jerzemu Zubrzyckiemu oraz Order of Australia (general division) inż. Zbigniewowi Sudułowowi, działaczowi polonijnemu w Brisbane. ■ Trzeci Festiwal Polskiej Kultury i Sztuki w Australii odbędzie się w Melbourne, od 27 grudnia br. do 2 stycznia 1985 r. Gospodarzem festiwalu jest Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii, a protektorat przyjęła Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii. W festiwalu udział wezmą teatry amatorskie, zespoły muzyczne i folklorystyczne, aktorzy, chóry i piosenkarze z całej Australii. W przygotowaniu są także wystawy polskiej książki, filatelistyki, rękodzielnictwa, malarstwa i rzeźby. ■ Celem zwrócenia uwagi opinii publicznej i władz australijskich na sytuację więźniów politycznych w Polsce odbyły się w czerwcu br. głódówki-protesty w śródmieściu Melbourne oraz przed ambasadą PRL w Canberze. Akcje te zorganizowane zostały przez członków „Solidarności” w Melbourne i Sydney. W wyniku głódówek-protestów sprawa więźniów politycznych w Polsce przedłożona została w australijskim senacie. ■ W związku z trzydziestą rocznicą istnienia w Wellingtonie, w Nowej Zelandii, polskiej szkoły sobotniej, w Domu Polskim w tym mieście Komitet Rodzicielski urządził wystawę zdjęć oraz prac dziecięcych i innych eksponatów, związanych z życiem szkoły. ■ Bardzo dobrze przyjęta była przez publiczność w Domu Polskim w Wellingtonie sztuka teatralna „Dzień gniewu” Romana Brandstaettera, którą reżyserował Jan Spychalski. ■ Istniejący w Wellingtonie od 2 lat Polski Zespół Pieśni i Tańca „Lublin” (około 30 osób) wystąpił już ponad 50 razy przed publicznością polską i nowozelandzką. Zespół prowadzony jest przez małżeństwo Annę i Jacka Śliwińskich.

Jerzy GROT-KWASNIEWSKI

KRONIKA FRANCUSKA

W dniu 1 lipca odbył się tradycyjny doroczny, polski Zjazd Katolicki w podparyskiej miejscowości Osny, zorganizowany przez Księży Pallotynów. Zjazdowi przewodniczył ksiądz arcybiskup Henryk Gulbinowicz, metropolita wrocławski, ponadto udział wzięli m.in. ks. biskup André Rousset, ordynariusz diecezji Pontoise, ks. prałat Zbigniew Bernacki, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji i ks. superior Zenon Modzelewski. Zjazd odbywał się pod hasłem: „Łączność z Ojczyzną i Kościołem w Polsce”, przybyło około 8 tysięcy osób. ■ Funkcję ambasadora PRL w Paryżu objął Janusz

Stefanowicz, działacz PAX-u, były redaktor naczelny *Słowa Powszechnego*. Poprzednio funkcję tę pełnił Eugeniusz Kułaga. ■ 24 lipca sekretarz generalny chrześcijańskiego związku zawodowego CFTC — Guy Drilleaud przeprowadził w Paryżu konferencję prasową z udziałem dziennikarzy kilkunastu pism i agencji prasowych. G. Drilleaud wrócił z kilkudniowej podróży do Krakowa, gdzie odbył szereg spotkań z przedstawicielami RKS Małopolska, organizacji zakładowych Solidarności i prasy podziemnej. Podczas spotkania podpisano umowę o wzajemnej współpracy i pomocy pomiędzy RKS Małopolska i CFTC.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Zmarł nagle w Toronto 19 lipca 1984, w wieku 38 lat, Andrij Bandera, jedyny syn zamordowanego w Monachium w 1959 roku przez agenta sowieckiego Stefana Bandery, przywódcy Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UOW) później OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów). Andrij przybył do Kanady w 1961 roku. Tutaj, po szkole średniej, studiował nauki polityczne w University of Manitoba w Winnipeg biorąc czynny udział w życiu młodzieżowych organizacji ukraińskich. Po studiach przeniósł się do Toronto i rozpoczął pracę w tygodniku *Homin Ukrainy*, organie nacjonalistów Ligi Wyzwolenia Ukrainy. Był łącznikiem do organizacji młodzieżowych, nie tylko ukraińskich. Ułatwiał i nawiązywał kontakty polityczne z różnymi środowiskami, w tym z polskimi. Bardzo żywo działał w społeczności ukraińskiej na rzecz poparcia „Solidarności”. Redagował miesięcznik w języku angielskim *Echo*, wydawany przez *Homin Ukrainy*. *Echo* ma charakter kanadyjsko-ukraiński i odbiega od profilu innych periodyków ukraińskich. Będąc zdecydowanym i programowym wyrazicielem niepodległościowych idei narodu ukraińskiego *Echo* równocześnie formułowało postulaty polityki wewnętrznej Kanady, cele i zadania społeczności ukraińskiej itp. ■ Powszechne wybory parlamentarne odbędą się 4 września br. Zasadnicza walka toczyć się będzie między Partią Liberalną a Postępowo-Konserwatywną, gdyż trzecia — socjalistyczna Nowa Partia Demokratyczna — nie ma żadnych szans na zdobycie takiej ilości mandatów, która uprawniałaby ją do formowania rządu. Oba rywalizujące stronnictwa idą do wyborów pod kierownictwem nowych przywódców. Liberalowie na konwencji w czerwcu wybrali Johna Turnera, który ustąpił z gabinetu Trudeau przed 8-miu laty. Ubiegał się on o przywództwo partii obok Trudeau w 1968 roku i wówczas odpadł dopiero w przedostatnim głosowaniu. Konserwatyści idą pod wodzą młodego, energicznego Briana Mulroney'a, wybranego ubiegłego roku. W akcji wyborczej dominują problemy gospodarcze. Jak wskazują badania ankietowe Gallupa nastroje wyborców są zmienne. Szanse konserwatystów na zwycięstwo zdają się być poważne, gdyż liberalowie będący u steru — z krótką przerwą — od 20 lat (w tym rząd premiera Trudeau od 1968 roku) obciążeni są odpowiedzialnością za sytuację gospodarczą: tj. za wzrost bezrobocia, cen, stopy procentowej i spadku wartości waluty. Deficyt budżetowy i długi państwowe osiągnęły najwyższy poziom. Jak będą głosować wyborcy grup etnicznych? O poparcie ich zabiegają przywódcy wszystkich stronnictw. Tradycyjnie grupy etniczne — z wyłączeniem znacznej części ukraińskiej — popierały liberałów. Zapewne nie bez znaczenia był fakt, że rządy liberalne rewidowały przepisy imigracyj-

ne, wprowadziły szereg zarządzeń antydyskryminacyjnych, zadeklarowały politykę wielokulturowości i dla jej realizacji stworzyły nowy urząd na czele którego znajduje się minister. Ponadto grupy etniczne, szczególnie pierwsze pokolenie wyborców, oddawały głosy na stronnictwa rządzące. Z grup słowiańskich najbardziej zróżnicowana — albo też najdojrzała politycznie — jest grupa ukraińska, gdyż ma kandydatów w trzech stronnictwach, nie raz w tym samym okręgu. Wyborca oddaje głos na reprezentanta określonego stronnictwa a nie swojej grupy etnicznej. Członkowie grup etnicznych na ogół jednak oddają głosy na kandydatów swojej grupy (o ile są tacy) niezależnie od jego przynależności partyjnej. Nie wiadomo jeszcze ilu będzie kandydatów pochodzenia polskiego. Dwaj posłowie liberalni: Flis z Toronto i Hudecki w Hamiltonie kandydują ponownie. Okręg w którym kandyduje p. Flis jest wieloetniczny przy czym odsetek wyborców pochodzenia polskiego i ukraińskiego jest w nim najwyższy. ■ Głodówka trojga osób: Grzyny Trzęsickiej, Zygmunta Augustyniaka i Władysława Śliwy przed budynkiem konsulatu PRL w Toronto zakończyła się po 39 dniach. Lech Prusiński, rzecznik głodujących, zakomunikował im, że poseł Flis otrzymał zapewnienie, że władze w Warszawie wydadzą członkom ich rodzin paszporty i w związku z tym wezwał ich do zakończenia strajku. ■ Podczas wizyty żaglowców polskich w Kanadzie dwaj członkowie załogi „Tryglawa”, studenci Szkoły Morskiej w Kołobrzegu: Wojciech Słupek i Dariusz Reiss opuścili 11 lipca statek i zwrócili się do władz o prawo pobytu. W czerwcu szesli z pokładu żaglowca „Dar Młodzieży” w Halifaxie 3-ej marynarze, których nazwisk nie ogłoszono. ■ Spotkanie Papieża z Polonią nastąpi 14 września o 6-ej po południu na stadionie Canadian National Exhibition, dwukrotnie większym od stadionu Varsity. Episkopat Kanady wypuścił medal pamiątkowy, zaprojektowany przez artystkę kanadyjską Dorę de Pedery-Hunt. Krzyż wysokości kilku metrów, który znajdzie się na płycie stadionu CNE oraz oznakę pamiątkową Polonii zaprojektował Bogusław Dygasiewicz, architekt i grafik, który przybył do Kanady przed niespełna rokiem. ■ Jerzy Rawicz, prezes KPK — okręg Quebec — wskazał w swoim sprawozdaniu na walnym zebraniu wyborczym delegatów, że rząd prowincji dał ponad \$ 2.000.000 na budowę skrzydła domu starców Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Dobroczynności, \$ 1.000.000 na Fundusz Pomocy Polsce, a ponadto Kongres otrzymał od rządu federalnego i prowincjonalnego \$ 54.000 na urządzenie biura kongresowego i pomoc imigrantom. Z pomocy państwowej federalnej i prowincjonalnej korzystają również inne okręgi KPK. Z dotacji państwowych utrzymywane są biura pomocy dla imigrantów. Okręg Quebec zebrał i przekazał dla Polski za pośrednictwem Episkopatu Polskiego ponad \$ 2.000.000. ■ Dnia 14 lipca zmarł w Toronto, przeżywszy lat 70, artysta-plastyk Eugeniusz Chruścicki. Był on wszechstronnie utalentowany jako grafik, malarz i rzeźbiarz. Wykonał m.in. ołtarz w katedrze Polskiego Kościoła Narodowego w Toronto i polichromię w kilku kościołach w USA. Trzy indywidualne wystawy ostatnich lat: listopad 1977 — „Nasze dziedzictwo”, grudzień 1981 — „Kaszuby”, kwiecień 1983 r. — „Król Sobieski pod Wiedniem” i „Portrety” — były prezentacją historycznego malarstwa Chruścickiego. ■ Zygmunt Przetakiewicz, pierwszy kierownik Biura Informacyjnego „Solidarności” w Kanadzie, obecnie współpracownik popularnego dziennika torontońskiego *Sun* wytoczył sprawę *Kronice Tygodniowej* — komunistycznemu tygodnikowi w Toronto. Pismo to zamieściło w listopadzie i grudniu 1982 oraz w styczniu 1983 roku artykuły z których wynikało, iż Z. Przetakiewicz dysponował dowolnie funduszami pochodzącymi ze zbiorów publicznych. Adwokat Z. Przetakiewicza skierował w marcu 1983 roku list do *Kroniki Tygodniowej* z żądaniem satysfakcji za obrazę i publicznego przeproszenia na łamach pisma. *Kronika Tygodniowa* na to nie zareagowała. W maju pismo otrzymało pozew sądowy i zawiadomienie iż Z. Przetakiewicz wniósł o odszkodowanie w wysokości \$ 500.000 oraz procenty od tej sumy

liczone od marca 1983, jak również o zwrot kosztów sądowych. Dopiero po otrzymaniu tego pisma *Kronika Tygodniowa* w numerze z 19 maja br. ogłosiła przeproszenie i ubolewanie. Jednak Z. Przetakiewicz sprawy nie wycofał. *Kronika Tygodniowa* zaapelowała do przyjaciół i czytelników o pomoc. Proces ten może zdecydować o losie *Kroniki Tygodniowej*.

B. H.

Toronto, 29 lipca 1984 r.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 390 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

TOM III

1980-1983

Str. 345.

Cena F. 95,00.

TOM 391 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera min. opracowania: R. Sikorskiego — *Człowiek z zewnątrz (rozmowa z Normanem Daviesem)*; N. Daviesa — *Granice Polski w czasach najnowszych*; P. Morgi — *KOR — szkoła wolności*; T. Łepkowskiego — *Myśli o historii Polski i Polaków*; O. Remigiusza Kranca — *Byłem skazany na 10 lat Syberii (dok.)*; *Aresztowani i skazani (relacje z Polski)*; K. Lenkszewicz — *Wspomnienia belwederskie oraz bogate działy: RECENZJE i OKRUCHY HISTORII.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.

NOWOŚĆ



**KSIĘGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

METRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Listy do Redakcji

Trieste, 22 maja 1984.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Chciałbym przeprosić Czytelników i Redakcję *Kultury* za kilka przykrych błędów drukarskich, które zniekształciły mój artykuł „Data Ukrzyżowania” (*Kultura* nr 5/440, maj 1984).

Na stronie 52-ej w wierszu 4-ym powinno być *Małego* zamiast jak wydrukowano, *Matego*. Na końcu drugiego akapitu na stronie 54-ej, we fragmencie wyróżnionym kursywą, powinno być *po południu* zamiast *wieczorem*. Na stronie 56-ej pierwszy akapit powinien zaczynać się 3) *Wszystkie cztery Ewangelie* a nie *Trzecie* wyjaśnienie: wszystkie cztery Ewangelie. Na stronie 57-ej, pod koniec pierwszego akapitu, zamiast od 29 do 25 A.D. winno być *od 29 do 35 A.D.* Na stronie 58-ej w ostatnim wierszu przed pierwszym akapitem zamiast 24 winno być 34. Na tej samej stronie, w ostatniej linii u dołu, tuż przed przypisem, po słowie *księżyc* opuszczono omyłkowo kilka wyrazów. Całe zdanie powinno brzmieć: *Zaćmienia Słońca i Księżyc następują wtedy, gdy Ziemia, Księżyc i Słońce ustawione są dokładnie na jednej linii prostej.* W całym artykule *Słońce*, *Ziemia* i *Księżyc* powinny być pisane konsekwentnie albo wszystkie z małej albo (lepiej) z dużej litery.

Wszystkie te (i inne, drobne) błędy przeniknęły do mego artykułu dlatego, że moja autorska korekta nie została na czas dostarczona do Paryża przez włoską pocztę.

A propos: pragnę zwrócić uwagę na świetny artykuł Pawła Czorsztyńskiego, który w *Tygodniku Powszechnym* (TP nr 16 (1816), 15 kwiecień 1984) także omawia pracę Humphreysa i Waddingtona.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrawiam

Marek ABRAMOWICZ

Sydney, 29 lipca 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytałem właśnie rozważania Leopolda Ungera na temat tegorocznej olimpiady w Los Angeles (*Kultura* nr 7/442-8/443). Z prawdziwych powodów bojkotu olimpiady przez Moskwę najbardziej przekonującym i podstawowym wydaje mi się chęć zemsty. Najmniej natomiast prawdopodobnym rzekoma niechęć Kremla do uczestnictwa w „sukcesie kapitalistycznej przedsiębiorczości”. Zważywszy regularny udział ZSSR w targach międzynarodowych itp. imprezach, a także nieuniknioną współpracę z firmami kapitalistycznymi w eksporcie towarów i usług sowieckich na Zachód, przytoczony argument wydaje się bardzo akademicki i nie mający wiele wspólnego z życiem.

Podobnie jeśli idzie o spekulacje na temat wysokich kosztów bojkotu dla Moskwy, argumenty Brukselczyka mało przemawiają mi do przekonania. Że niby Kreml poniósł „niepowetowane straty w dziedzinie propagandy”? Wydają się one niewspółmiernie małe w porównaniu np. z decyzją inwazji

w Afganistanie. Również twierdzenie, iż zmuszenie do bojkotu innych krajów bloku i sprowadzenie ich tym samym do roli także sportowych satelitów, stanowi policzek, którego tak szybko „sojusznicy” ZSSR nie zapomną — wydaje się mało przekonujące. Narody „sojuszników” mają bowiem do załatwienia z Moskwą szereg o wiele poważniejszych porachunków.

Tak więc w rachunku strat i zysków sporządzonym przez starców na Kremlu, wspomniane koszty nie miały widocznie przeważającego znaczenia. Decyzja o zbojkotowaniu I.O. w L.A. — obok cynicznego zestrzelenia koreańskiego samolotu pasażerskiego, zerwania rokowań w Genewie i Wiedniu oraz poprowadzenia „sprawy Sacharowa” — wydaje się mieć na celu aroganckie zamianifestowanie światu bezkompromisowej w tej chwili potęgi ZSSR oraz stanowić próbę wymuszenia ze strony Zachodu uznania faktu tej potęgi i spowodowania jednostronnych wobec niej ustępstw. Czy ta polityka i rachuby Kremla okażą się uzasadnione pokaże tylko przyszłość.

Czy natomiast można uratować ideę olimpijską? Czy warto ją ratować? Nie należę do kibiców sportowych i nieczęsto śledzę — choćby wyrywkowo — przebieg igrzysk olimpijskich. Jestem natomiast przekonany o ogromnej cenie w postaci siły woli, upor i wyrzeczeń, jaką musi płacić każdy sportowiec za sukces w międzynarodowym współzawodnictwie. Kiedy dziś rano oglądałem w telewizji uroczystość otwarcia igrzysk w L.A., w oczach wielu maszerujących uczestników odczytałem szczerą radość i dumę z udziału w tej kolejnej światowej próbie „wzlotów na wyższe poziomy” możliwości wyczynowych człowieka. Pomimo sztandarów narodowych niesionych przez każdą ekipę, nie odniosłem wrażenia zatrucia atmosfery bakcylem nacjonalizmu czy szowinizmu. Niezależnie od typowo (w skali i prezentacji) hollywoodzkiego charakteru widowiska, dominującym wrażeniem był rozmach i wolność Ameryki — tegorocznego gospodarza igrzysk, a także młodość i zdrowy duch współzawodnictwa uczestników. Może by więc, przed ostatecznym spisaniem na straty, warto jeszcze spróbować uratować ideę olimpijską?

Osobiście nie czuję się powołany do polemizowania w tej sprawie. Natomiast czytając ten ciekawy (jak zwykle) artykuł Brukselczyka uderzyły mnie jako *novum* pojawiające się jakby u autora trudności w postęgowaniu się „naszą polską mową”. Znalazłem tam bowiem szereg „kampusów”, „dystansów”, „oficjeli”, „sniperów” i innych neologizmów (?). Czyżby to był produkt uboczny sukcesów Ungera jako współpracownika *International Herald Tribune*?

Zadając sobie to pytanie, skierowałem się do frydża, aby zrobić sobie drinka. Pomaga to, jak wiadomo, w dalszej na różne tematy refleksji.

Przesyłam najlepsze pozdrowienia

J. BONIECKI

Tanger, czerwiec 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W swym artykule „Data Ukrzyżowania”, Marek A. ABRAMOWICZ kwalifikuje Piłata, zgodnie z wielowiekową tradycją, jako „Prokuratora Judei”.

Ewangelie Mateusza i Łukasza dają Piłatowi tytuł „Hegemon”. Wulgata tłumaczy ten tytuł na „Praeses”, termin, któremu Swetoniusz przypisuje sens „gubernatora prowincji”. Flawiusz nadaje Piłatowi tytuły „Hegemon”, „Epitropos”, „Eparchos” i „Epimetes”, a Filon z Aleksandrii kwalifikuje Piłata jako „Epitropos”. Te wszystkie tytuły mogą oznaczać zarówno tego,

który rządzi jak i tego, który administruje, a zwłaszcza administratora zajmującego się sprawami skarbowymi: ściąganiem danin, opłat, podatków.

Otóż od roku 1962 wiemy, że tytuł Piłata brzmiał: „Prefekt Judei”. W muzeum w Jeruzolimie znajduje się dawny stopień schodów pochodzący z amfiteatru w Cezarei, na którym wyryty jest napis:

S. TIBERIEUM
TIUS PILATUS
ECTUS JUDA (EA) E
E

Restytucja dokonana przez uczonych, obecnie powszechnie przyjęta, daje tekst następujący:

(DIS AUGUSTI) S. TIBERIEUM
(PON)TIUS PILATUS
(PRAE)FECTUS JUDA (EA) E
(FECIT D) E (DICA)VIT

Jest oczywiste, że na budynku publicznym dedykowanym cesarzowi musiał figurować oficjalny tytuł Piłata.

Zresztą aż do reform Klaudiusza wszyscy gubernatorzy należący do stanu rycerskiego nosili tytuł prefekta.

O tym nie wiedział oczywiście późny kopista-fałszerz, który dorzucił do tekstu Tacyty a pożarze Rzymu za Nerona wzmiankę o Piłacie, dając mu tytuł prokuratora. Ale Tacyt, który był prokonsulem Azji w okresie, kiedy Judea podlegała legatowi, musiał wiedzieć, jaki był prawdziwy tytuł Piłata. Wzmianka o Piłacie pochodziła nie od Tacyty, lecz od kopisty.

Inny fałszerz, który sfabrykował pseudo-raport Piłata do Tyberiusza, znał prawdziwy tytuł Piłata i pisał o nim jako o prefekcie Palestyny i Fenicji. Ale ten fałszerz, którego raport został zredagowany względnie wcześniej (w drugiej połowie II albo w III wieku) zapomniał, że dopiero od roku 135 administracja rzymska zmieniła nazwę „Judea” na „Palestyna-Fenicja”. Ten pseudoraport był zawsze uważany za apokryf i tytuł „prefekt” został zapomniany.

Natomiast tekst Tacyty, już sfałszowany, nadal był kopiowany w klasztorach i studiowany, i w ten sposób tytuł „prokurator” przeszedł do potomności.

Łączę wyrazy szacunku,

Anatol ESTRYN

Baden, 3 lipca 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pan prof. L. Stomma w nr. 6/1984 *Kultury* twierdzi słusznie, że w argumentacji politycznej należy zachować umiar i rzeczowość. W przeciwnym razie reprezentowana przez nas idea zostanie ośmieszona, a audytorium bezpowrotnie stracone. Na zakończenie stawia tezę, że w Nikaragui dzieje się nieporównywalnie gorzej niż w Polsce. Nie wdając się we wszystkie niuanse tego wielowątkowego wywodu, chciałbym powiedzieć, że argumentacja prof. Stommy przypomina mi stanowisko pewnego mego argentyńskiego przyjaciela, który niedawno zwrócił się do mnie w ten oto sposób: „...co robi ten Wasz Papier”, spotyka się na Alasce z tym mordercą Reaganem, który zaminowuje porty w Nikaragui... i w ogóle twierdzą jeszcze raz że ZSSR i USA prowadzą zupełnie taką samą imperialistyczną politykę”.

Stąd już tylko krok do argumentacji pp. O. Palme, W. Brandta i innych, oraz do przyjęcia przez światową opinię publiczną lansowanego przez towarzyszy sowieckich równania ze Granada = Afganistan, jako pewnik.

Ośmielam się twierdzić, że gdyby w Nikaragui (za Somozy), Salvadorze lub Chile „zarządzał” gen. Jaruzelski to do żadnego przewrotu (w Nikaragui) w ogóle nie mogłoby dojść. W razie potrzeby zastosowano by metody jak w Berlinie (1953), Budapeszcie, Afganistanie, czy Kambodży (która wytrzymuje wszystkie porównania z metodami eksterminacji hitlerowskiej). Na ewentualny kontrargument, że Europa to nie Azja, a Polska to nie Afganistan, zapytuje: Dlaczego to Kościół i „Solidarność” nawoływali tylko do akcji pokojowych? Dlaczego miałby być gen. Jaruzelski gorszy od Babraka Karmala? Przecież Ludowe Wojsko Polskie przysięgało bronić socjalizmu.

W Polsce nie doszło obecnie do ludobójstwa, nie dlatego, że gen. Jaruzelski ma dobry charakter i jest patriotą, jak to chcą nam wmówić pewni nasi „przyjaciele” na Zachodzie, ale dlatego, że potencjalna opozycja w Polsce została już dawno przeczornie wymordowana i to w kilku etapach. Najpierw w toku wydarzeń, które były następstwem paktu Ribbentrop-Mołotow, gdzie jedną ze stron mordujących był ZSSR, który potwierdził ponownie swoje kwalifikacje w Afganistanie i który w okresie „Solidarności” bez przerwy ofiarowywał gen. Jaruzelskiemu swą pomoc w zgnieceniu kontrrewolucji.

Drugi etap nastąpił w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy to obaj sygnatariusze paktu Ribbentrop-Mołotow wypełnili odpowiedni punkt przyrzekający współdziałanie przeciw jakimkolwiek próbom wskrzeszenia Państwa Polskiego.

Trzeci etap nastąpił w latach 1944-1949, kiedy to już bezpośrednio poprzednicy i koledzy gen. Jaruzelskiego mordowali: AK-owców, byłych więźniów Oświęcimia, polskich oficerów, PSL-owców i wszystkich innych którzy się właśnie nawinęli.

Rodowód administracji gen. Jaruzelskiego sięga czasów stalinowskich i osławionego UB, a rozkazują im oprawcy z Katynia i ich potomkowie. Na ten rodowód powołują się chętnie obecni administratorzy PRL. Za morderstwa te otrzymali orderzy uprawniające ich m.in. do podwyżki renty. Z historii wiadomo, że z czasem każda dyktatura łagodnieje i nawet Franco po 40 latach swej władzy zatwierdzał znacznie mniej wyroków śmierci niż w czasie „limpieży”. Analogicznie ma się rzecz obecnie w Polsce.

Nie chodzi o to żeby Polacy umieli doceniać cierpienia innych. Ale chodzi o to abyśmy umieli odpowiednio przedstawić sytuację naszym gospodarzom w kraju osiedlenia.

Co do stylu J. Bierzina, to porównanie go do *Żołnierza Wolności* jest na pewno bardziej krzywdzące niż porównanie gen. Jaruzelskiego do gub. Franka. Pióro Bierzina jest piórem karykaturzysty, a pióro *Żołnierza Wolności* jest piórem kata i denuncjatora.

Styl Bierzina jest żywy i drażni pewne dobrze wychowane osoby tak jak Słówka Boya-Zeleńskiego drażniły poczciwych mieszczan krakowskich. Osobiście czytam felietony Bierzina z wielkim zainteresowaniem i będę jednym z pierwszych, który je kupi jeśli się ukazą w wydaniu książkowym.

Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz KARNKOWSKI

Nowy Jork, 10 lipca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wdzięczny jestem Panu za umożliwienie wymiany korespondencji między Leopoldem Jerzewskim i Wydawnictwem „Głos”, przeze mnie reprezentowanym (*Kultura* Nr 5/1984). Korzystając z Pańskiej uprzejmości chciał-

bym przeprosić Autora i Czytelników „Dziejów sprawy Katynia” (*Głos Publications*, 1983) za niefortunny błąd w tekście, polegający na opuszczeniu fragmentu, który poniżej cytuję (str. 31, wiersz 18 od góry).

Z poważaniem

Piotr NAIMSKI

„...kwietnia. Już po wojnie wyjaśniono, że prof. Buhtz cieszył się opinią uczciwego i niezaangażowanego politycznie, wybitnego specjalisty z dziedziny medycyny sądowej, nie mającego nic wspólnego z partią hitlerowską. Zginął niestety w rok później (1944) od bomby alianckiej, co pozbaawiło historyków sprawy katyńskiej świadka najlepiej zapewne we wszystkim zorientowanego.

Aczkolwiek nie od razu odkryto wszystkie masowe mogiły, trzeba stwierdzić, że na terenie 'Kosogór', w pobliżu willi NKWD w Katyniu, znajdowało się ogółem 8 masowych grobów polskich. Na skopanej przed laty ziemi rosły kilkuletnie sosenki i brzoźki. Badania specjalistyczne wykazały, że drzewka przesadzono w te miejsca przed trzema laty (trzy nowe warstwy słoju). Pod sosenkami ukrywała się makabryczna tajemnica.

Niemcy wiedzieli doskonale o poszukiwaniu przez Polaków w Rosji kilkunastu tysięcy zaginionych jeńców, więc skoro stwierdzili, że masowe groby zawierają zwłoki oficerów polskich pomordowanych strzałami w tył czaszki, często okrutnie spętane, niekiedy przebijane czworokątnymi bagnietami radzieckimi, natychmiast zdali sobie sprawę z propagandowego znaczenia tego odkrycia. 10 kwietnia 1943 zebrano w Warszawie i Krakowie kilkunastuosobową grupę działaczy społecznych i intelektualistów polskich, zmuszając ich do udania się do Katynia. Po powrocie do Warszawy grupa ta złożyła raport przedstawicielom Delegatury Rządu i Komendy Głównej AK. Niestety, twierdzenie Niemców miało wszelkie cechy prawdziwości. Na terenie Katynia znajdowała się spora liczba zwłok pomordowanych oficerów polskich. Wszystko wskazywało, że sprawcami zbrodni byli Rosjanie.

13 kwietnia 1943 radio Berlin nadało na cały świat wiadomość o odkryciu zwłok 'ponad 10 tysięcy oficerów polskich' w 'Kosogórach' na terenie Katynia. Liczbę 'ponad 10 tysięcy', podniesioną później do 10-12 tysięcy, Niemcy starali się utrzymać przez cały okres propagandowej ofensywy katyńskiej. Przypuszczali, że na tym terenie znajdują się groby jeńców polskich wszystkich trzech obozów wojskowych w ZSSR. W takim wypadku byłaby to zresztą liczba zaniżona, gdyż z wszystkich trzech obozów wymordowano około 14 tysięcy jeńców”.

Szanowny Panie Redaktorze,

Winien jestem uzupełnienia do mojego artykułu na temat losów Kolegium Związkowego w USA (*Kultura* nr 3/1984). Pisałem wówczas, że w najbliższym czasie specjalna Komisja Kontroli działalności nad placówkami naukowymi w stanie Pensylwania zajmie się weryfikacją poziomu nauczania oraz kwalifikacjami personelu nauczającego w Kolegium Związkowym. Kontroli takiej podlegają co 10 lat wszystkie kolegia w USA w celu otrzymania tzw. akredytacji, czyli uznania, że nauka w danym zakładzie naukowym jest na poziomie zgodnym z wymaganiami władz stanowych.

Podkreśliłem wówczas, że słaba jest nadzieja, aby Kolegium Związkowe uzyskało nową akredytację na dalsze 10 lat. Obecnie wiadome jest, że Komisja stanowa odmówiła Kolegium Związkowemu ZNP akredytacji, czyli pozbawiła placówkę prawa do wydawania dyplomu bakałarza — najniższego dyplomu, jaki wydają małe kolegia amerykańskie.

Od tej decyzji Rada Nadzorcza Kolegium Związkowego oraz Dyrekcja

Związku Zawodowego Polskiego i Komisja Szkolna ZNP złożyły odwołanie, domagając się cofnięcia decyzji o odmowie przyznania akredytacji dla Kolegium Związkowego. Komisja stanowa przyznała tymczasowe zawieszenie odmowy akredytacji tylko do 1 stycznia 1985 roku aby dać szansę Zw.N.P. dostarczenia dodatkowych danych o składzie personelu nauczycielskiego i poziomie nauczania. Czas aby ZNP podjął wreszcie decyzję o dalszych losach upadającego Kolegium i znalazł godne wyjście, zaoszczędzające miliony marnotrawnie wydawane na Kolegium, które nie spełnia swoich zadań.

Łączę wyrazy szacunku

Edward PUACZ

Cambridge, 18 czerwca 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Recenzując książkę B. Cywińskiego „Ogniem próbowane” (*Kultura*, maj 1984), p. Jerzy J. Lerski stwierdza, że książka ta jest pozbawiona „irytującego naszych pobratymców polskiego kompleksu wyższości” (mowa o Ukraińcach, Białorusinach i Litwinach). Słusznie zauważając tę irytację pobratymców, p. Lerski używa terminu „Małopolska Wschodnia”, irytującego dla Ukraińców. Jest to sztuczny, antyhistoryczny termin wprowadzony oficjalnie w Polsce w roku 1920 dla zastąpienia równie antyhistorycznego austriackiego „Galicja Wschodnia”. Do 1387 roku Galicja (tak się nazywała w łacińskich kancelariach Węgier Ruś Halicka) była Galicją, a Małopolska — Małopolską. Nawet po anektowaniu Galicji do Polski przez królową Jadwigę Galicja pozostawała województwem ruskim, a Małopolska — krakowskim i sandomierskim. Dopiero w 1772 roku Austria rozszerzyła historyczną Galicję na ziemie odwiecznie polskie, tworząc antyhistoryczne pojęcie Galicji Zachodniej. W konsekwencji właściwa Galicja stała się Galicją Wschodnią. Dla Ukraińców wprowadzenie terminu „Małopolska Wschodnia” w 1920 roku było symbolem antyukraińskiego kursu ówczesnych władz polskich. (Nawiasem mówiąc, województwa krakowskiego i kieleckiego nie przemianowano na „Małopolskę Zachodnią”, choć wymagałyby tego logika tej antyhistorii). Należy pamiętać, że irytujące są nie tylko postawy, lecz również słowa.

Bohdan STRUMIŃSKI
Harvard Ukrainian Research
Institute

KONGRES KULTURY POLSKIEJ — WRZESIEŃ 1985

pod patronatem

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
EDWARDA RACZYŃSKIEGO

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, 240 King St., London W6 ORF
Tel.: 01 741 1940

Londyn, 3 sierpnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim (7-8) numerze *Kultury* zamieścił Pan notatkę redakcyjną o przygotowywanym na wrzesień 1985 roku Kongresie Kultury Polskiej. Ponieważ zajął Pan zdecydowanie negatywne stanowisko wobec tej inicja-

tyw, pozwalam sobie prosić Pana o opublikowanie tego listu, w którym chciałbym wyjaśnić czytelnikom *Kultury* (1) dlaczego organizatorzy uważają Kongres za potrzebny i (2) dlaczego podjęte kroki organizacyjne są uprawnione i celowe.

(1) Inicjatywa zwołania Kongresu została powzięta w głębokim przeświadczeniu, że przebywający na obczyźnie polscy pracownicy nauki i kultury muszą się z sobą spotykać, porozumiewać i współpracować. Potrzeba ta może ustać dopiero wtedy, gdy wolność myśli i słowa będzie w pełni przywrócona w Polsce.

Zwołanie Kongresu w roku przyszłym jest szczególnie na czasie, gdyż umożliwi spotkanie i wymianę poglądów między trzema falami emigracji: z lat wojennych, 1968-1970 i po grudniu 1981. Swobodna dyskusja zagadnień związanych ze wszystkimi aspektami sytuacji w Kraju i z działalnością kulturalną emigracji wydaje się nie tylko konieczna, ale nawet bardzo pilna.

Nie wydaje się natomiast, aby Kongres mógł sobie postawić za zadanie przygotowanie programu działania, co sugeruje Pan w Swojej notatce. Doświadczenie uczy, że dla opracowywania programów trzeba wybierać raczej inne drogi.

(2) Komitet Organizacyjny Kongresu został powołany przez władze Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (PTNO), które jest od dawna istniejącą instytucją o zasięgu światowym. Trudno sobie wyobrazić, kto mógłby być bardziej uprawniony do podjęcia takiej inicjatywy. Pisze Pan, że organizacją Kongresu powinno się zająć „grono ekspertów”. Nie wiadomo jednak, o jakich to ekspertów chodzi i kto miałby ich powołać.

Komitet Organizacyjny składa się z członków PTNO i pokrewnych organizacji zamieszkałych w Anglii, ponieważ Kongres ma się odbyć w Londynie. Komitet zwrócił się jednak niezwłocznie do licznych pracowników nauki i kultury polskiej przebywających w wielu krajach z prośbą o wzięcie udziału w Kongresie, najwybitniejszych zaś wśród nich prosił o wygłoszenie referatów plenarnych. Prośbę taką otrzymał również i Pan Redaktor, chociaż nie zechciał Pan o tym wspomnieć w Swojej notatce.

Zaproszeniami do uczestnictwa zostały objęte znane Komitetowi zainteresowane osoby i organizacje. Jeżeli kogoś pominięto, to Komitet chętnie wyśle mu zaproszenie po otrzymaniu odpowiedniego listu, bo zależy nam na tym, aby wszystkie poglądy i kierunki były na Kongresie reprezentowane.

Łączę wyrazy poważania

Prof. dr Edward SZCZEPANIK
Prezes PTNO i Przewodniczący
Komitetu Organizacyjnego Kongresu
Kultury Polskiej na Obczyźnie

Paryż, 11 sierpnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wszyscy wierni czytelnicy *Kultury*, a zwłaszcza ci nieliczni krajowi, zdają sobie dobrze sprawę z jej roli w kształtowaniu opinii o sprawach polskich. *Kultura* dostarcza rzetelnych informacji o wydarzeniach krajowych i wszechstronną ich analizę.

Tym bardziej zdziwiły mnie braki w tym zakresie w nr. 7-8/1984. W kronice „Kraj — blok wschodni” obejmującej okres 26.4-13.6.1984 nie ma żadnej wzmianki o obchodach — rządowych i opozycyjnych — 1-go i 3-go Maja w Polsce, a przecież były one szeroko komentowane w Polsce i stały się przyczyną nowych aresztowań.

Nie ma również wzmianki o wyborach władz akademickich w wyższych uczelniach, które odbyły się właśnie w tym okresie i stały się dowodem — w większości uczelni — zdecydowanego stanowiska środowisk akademickich. Pisze o tym co prawda Robert Kaczmarek w bardzo interesującym artykule „Nie tylko podziemie”, ale czyni to w sposób niepełny.

Zupełnie inny był przebieg wyborów w uczelniach dużych i silnych, niż w małych i słabych szkołach wyższych, w małych miastach wojewódzkich. W tych pierwszych decydowała *de facto* o wyborze rektora dawna Solidarność uczelniana, która miała ogromną przewagę w wybranych demokratycznie kolegiach elektorów. Pełne wściekłości ataki partii na kandydatów niepartijnych, wydawanie nakazów wszystkim elektorom-członkom partii głosowania przeciw kandydatowi wysuniętemu przez środowisko akademickie (*vide* Politechnika Warszawska) odnosiły nieraz skutek wręcz odwrotny od zamierzonego i jak wynika z liczby głosów nawet niektórzy elektorzy partyjni nie głosowali na kandydata partii. Zaangażowanie studentów w sprawę wyborów i ich entuzjazm w przypadku wyboru rektora — kandydata dawnej Solidarności — przypominał lata 1980-1981.

Natomiast w małych uczelniach na prowincji (przepraszam za to określenie), które powstawały jak grzyby po deszczu w epoce Gierka (przeważnie wyższe szkoły inżynierskie i wyższe szkoły pedagogiczne) na skutek zabiegów wojewodów, z których każdy chciał mieć „swoją” uczelnię, „swoją” teatr i — szczyt marzeń — „swoją” operę, które to uczelnie odznaczają się brakiem autorytetów naukowych w gronie swych wykładowców, niewielką liczbą studentów i stosunkowo niskim poziomem nauczania. Wynika to m.in. z tego że większość docentów i doktorów rekrutuje się w nich spośród tych, którzy nie mogli dać sobie rady w uczelniach o wyższym poziomie.

Obecnie, przy zmniejszonej znacznie liczbie młodzieży przyjmowanej na studia, niektóre z tych uczelni powinny być zlikwidowane, a studenci i to co najwartościowsze w danej szkole — w postaci pracowników naukowych i laboratoriów — przeniesione do najbliższej dużej i silnej uczelni tego typu. Takie myśli świtają nawet w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego i tzw. „małe uczelnie” czują się zagrożone. Toteż głównym argumentem ich organizacji partyjnych przed wyborami było: „jeśli nie wybierzemy rektora partyjnego, to zamkną naszą szkołę”. No i w wielu WSI i WSP wybrano rektorami członków partii.

Humorystycznym, ale żalonym przykładem stała się Wyższa Szkoła Pedagogiczno-Rolnicza w Siedlcach, której rektor — typowy partyjny aparatczyk — w strachu przed utratą stanowiska w razie zamknięcia szkoły — wystąpił z projektem nadania jej imienia Georgi Dymitriewa. Senat tej Szkoły szybko wnioski uchwalił, równie szybko zatwierdził tę uchwałę Sejm PRL, no i cała Polska się z tego śmieje, ale towarzysz rektor jest pewien nietykalności szkoły, mającej takiego patrona. Jak już powiedziano, w większości uczelni rektorami zostali jednak wybrani ludzie właściwi. Minister — choć niechętnie — na ogół nie zgłaszał sprzeciwu — poza ogólnie znanymi wyjątkami (m.in. Uniwersytet Warszawski i Poznański). Jak dalece władze pozwolą niechcianym przez siebie rektorom pracować dla dobra uczelni — czas pokaże. A sytuacja jest trudna z wielu powodów, m.in. z powodu oplakanej sytuacji bazy materialnej właśnie tych starych, liczących się w nauce światowej uczelni. Kredyty i limity inwestycyjne zostały na ogół wstrzymane, wyposażenie laboratoryjne jest z roku na rok gorsze i bardziej przestarzałe, a brak dewiz nie pozwala na sprowadzanie nawet części zamiennych.

Pogarsza się sytuacja młodych pracowników naukowych, którzy często nie mają możliwości wykonania nowoczesnej pracy doktorskiej lub habilitacyjnej, a ich zarobki (mimo dokonanych podwyżek) są ciągle poniżej średniej płacy krajowej. Projekt utworzenia Komitetu d/s Postępu Naukowego

(odtworzenie KNIT-u niesławnej pamięci) stwarza możliwość dalszej centralizacji sterowania nauką i manipulowania środkami na badania.

Jedynym rzeczywistym przedstawicielem polskiego środowiska naukowego jest wybrana demokratycznie Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jej ożywiona i niezawisła działalność zdobyła prawdziwe uznanie środowiska akademickiego. Ale stosunek władz do Rady Głównej wyraźnie się pogarsza w ostatnich miesiącach i przysługujące jej — zgodnie z ustawą o szkolnictwie wyższym z 1982 roku — uprawnienia są w miarę możliwości neglowane.

Kończąc ten przydługi list pozostaję z szacunkiem

J. TRZEBIŃSKI

New Haven, 3 sierpnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym opóźnieniem przeczytałem czerwcowy numer *Kultury*, zawierający dość niewybredną napaść p. Jacka Bierzina na profesora Adama Bromkego. Lektura ta wywołała u mnie uczucie niesmaku. Nie podzielam poglądu profesora Bromkego na użyteczność schematu „realizm-idealizm” w interpretacji naszej przeszłości i teraźniejszości, czemu dawałem już publicznie wyraz. Odnoszę się bardzo krytycznie do jego wywiadów i występów na terenie Polski. Krytykę jego poglądów i działalności uznałbym za uzasadnioną pod warunkiem, iż byłaby ona celna, cięta a nawet jadłowita, ale na pewnym poziomie.

Niestety rapier polemiczny zmienił się w rękę p. Bierzina na kłonicę, która ma swe zastosowanie, ale nie w takim wydawnictwie jak *Kultura*. Dość demagogiczne uwagi na temat kariery naukowej Adama Bromkego nie trafiają do przekonania naukowcom, którzy doceniają jego osiągnięcia na polu pisarskim i organizacyjno-zawodowym. Wysyłanie prof. Bromkego na katedrę Marksizmu-Leninizmu jest tanim chwytym wiecowym. Uwagi o „gangsterstwie humanistycznym” odbiegają od poziomu, do którego przyzwyczailiśmy się w *Kulturze*.

Nie świadczy to najlepiej o kulturze polityczno-publicystycznej p. Bierzina, iż musi się uciekać do takich chwytów. Uderzenia poniżej pasa nie przynoszą zaszczytu polemście, niezależnie od tego z kim walczy i jak dobrą sprawę reprezentuje.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę,

Piotr WANDYCYZ

Monachium, 20 czerwca 1984.

Drogi Panie Redaktorze!

Z listu p. Ludwika Stommy (*Kultura* nr 6/441) odnoszę wrażenie, że Jerzy Urban nie jest odosobniony w funkcji rzecznika satrapii gen. Jaruzelskiego. Z faktu, że w PRL „nie uprawia się ludobójstwa, nie przeprowadza eksterminacji mniejszości narodowych, nie rozstrzeliwuje ludzi na ulicach etc.” p. Stomma wyciąga wnioski, jakoby wszelkie porównania gen. Jaruzelskiego do gubernatora Franka lub wydarzeń w PRL do sytuacji w Nikaragui było wyrazem braku proporcji („Znajdę proporcję mocium panie!”) przy równoczesnym nadmiarze impotencji.

„Tępotę i ordynarność” pozostawiam bez komentarza; zajmę się proporcją, konkretnie stosunkiem ilości do jakości. Panu Stommie znane jest niewątpliwie prawo przechodzenia ilości w jakość. Klasycznym przykładem ope-

ratywności tego zjawiska w PRL jest np. los Grzegorza Przemyska czy też to co spotkało Kazimierza Świtonia. Jak wiadomo, musiał się poddać operacji usunięcia jednego jądra zmiążdżonego w czasie przesłuchań. (Por. depesza UPI, Warszawa, 4 maja 1984). Ciekaw jestem, czy p. Stomma, mając podobny problem, mociułpaniłby z równą potencją na temat proporcji i impotencji?

Panu, Panie Redaktorze, pozwalam sobie przekazać słowa uznania za zamieszczenie listu p. Stommy. Zawsze to pożytecznie, choć niezbyt przyjemnie dowiedzieć się, jakie to wyżyny politycznego myślenia osiąga się w paryskiej Ecole Pratique des Hautes Etudes.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Kazimierz ZAMORSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

RAK, RFN. — Na proponowane materiały nie reflektujemy.

Grupa 21 osób, Dortmund, RFN. — Książki, które Panów interesują dawno zostały wydane. Znajdą je Panowie w katalogach większych księgarni polskich, jak np. Librairie LIBELLA, 12, rue St-Louis-en-l'Île, 75004 Paris. Wydania luksusowe uważamy za zbędne.

Dr Maciej K.K., Nowy Jork. — W PRL jest tak wiele afer walutowo-przemysłowych, że podawanie ich do wiadomości zajęłoby zbyt wiele miejsca w *Kulturze*. W związku z tym nie widzimy powodu, aby poświęcać strony naszego pisma bliżej nieznanemu sekretarzowi partyjnemu — Gajewiczowi.

J.M., Lubartów. — Pana propozycja świadczy o najlepszych intencjach, ale jest całkowicie nierealna.

Ks. Czesław Nowak, Carlsberg, RFN. — Listu nie zamieścimy. Jest to litania obraźliwym epitetów i inwektyw, a nie rzeczowa odpowiedź na informację o działalności Księdza, podaną w „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 7/8 z bież. roku, str. 132). Informacja powyższa została nam podana przez godnego zaufania polskiego dziennikarza, który z Księdzem przeprowadził dłuższą rozmowę w maju 1984.

Prawdziwa Polka z Polski, Ottawa, Kanada. — Nie zamieścimy. Pani twierdzenia dotyczące więźniów politycznych i roli Kościoła w ich sprawie nie są ścisłe.

GRODNO. Kto z Grodnian może udzielić informacji o rodzinie TUMIEL, szczególnie o Romualdzie Tumiel, wywiezionej w latach 1939/1940 do Rosji sowieckiej.

Bardzo serdecznie proszę kierować wiadomości pod adresem:
O. Deutsch, Jordanstr. 4., D-8502 Zirndorf, RFN.

Serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci
SARY BLUMSZTAJN
składają Jej mężowi i dzieciom Sewerynowi i Róży
PRZYJACIELE

Ewa M. Buch, Libertyville, IL (USA) — \$ 74,00	F. 644,00
C. Czuchwicy, Panorama, SA (Australia)	F. 405,00
E.M., Paryż — na przesładowanych w Polsce	F. 200,00
E.M. z Kalifornii — w trzecią rocznicę śmierci Ojca, czcząc pamięć o moim wielkim Przyjacielu — \$ 40,00	F. 348,00
Benedykt Heydenkorn, Toronto, Ontario — na pomoc dla rodzin aresztowanych w Polsce	F. 150,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego — na wydawnictwa podziemne w Kraju — \$ 50,00	F. 435,00
Koło Akademików w Brisbane (Australia) — dla uczczenia pamięci Gajki Kuroń — na pomoc dla przesładowanych — \$ A. 122,00	F. 900,72
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na fundusz samopomocy społecznej — po raz 30-ty i 31-szy — po \$ 50,00 = \$ 100,00	F. 870,00
Jerzy Kopczyński, Toronto, Ontario (Kanada) — zamiast kwiatów na grób Marii Pruszyńskiej, wdowy po Ksawerym, zmarłej w Toronto — na fundusz wydawnictwa „Niepodległość” — \$ c. 25,00	F. 165,00
Kazimiera Lenkszewicz, Sztokholm — na pomoc dla więźniów — Krs 300,00	F. 315,00
Waldemar Strzelecki, Overath (RFN)	F. 76,64
W. Szwed, Niddrie, Melbourne (Australia)	F. 146,53
A. Szybiak, Eschborn (RFN) — na lekarstwa dla uwięzionych w Polsce	F. 307,49
Marek Tokar, Bloomfield, NJ (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych — \$ 36,00	F. 313,00
D. Tubielewicz, Uppsala (Szwecja), honorarium otrzymane za referat „Struktury polityczne w Polsce”, wygłoszony 8 lutego 1984 na sympozjum w Uppsali — na niezależną działalność wydawniczą w Polsce — Krs 200,00	F. 210,00
Zamiast kwiatów na grób Haliny Przetakiewicz — przyjaciele Jej syna Zygmunta z Toronto na fundusz wydawniczy KOS — \$ c. 50,00	F. 330,00
Rzekoma amnestia to bluff Jaruzelskiego, czyli ZSSR. Zwolnieni z więzień będą dalej przesładowani tym bardziej, że przez zniesienie amerykańskich sankcji ciemniejąca wzmocni swoje siły. Dla bohaterów w Polsce chociaż \$ 300 — w pierwszą rocznicę śmierci inż. Walerego Starczewskiego przekazuje — wdowa	F. 2.610,00

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Edward Gil, Toronto, Ont. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 25,00 + F. 100,00	F. 265,00
Czesław Kiendys, Göteborg (Szwecja) — w „podziękowaniu” za odmowę 11-dniowej wizy przez „właściwe władze polskie” — równowartość przymusowej wymiany dewiz — Krs 440,00	F. 460,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, na rzecz „Solidarności” Podziemnej wpłacili: W. Ostrowski — \$ 10,00; b. internowani M. Butkiewicz, Z. Padzik, W. Szypszak, J. Kosjan, R. Górski, T. Daniszewski, T. Wojdakowski — po \$ 5,00 oraz Bezimiennie, B. Fusiek, F. Dziadul,	

Z. Wallek, A. Biedak, P. Janik i W. Wołyński — po \$ 5,00 — razem: \$ 80,00; W. Szypszak i Z. Padzik — po \$ 10,00; P. Daniszewski, R. Górski, J. Kocjan, W. Wojdakowski i M. Butkiewicz — po \$ 5,00 oraz E. Ostrowska, W. Ostrowski, W.B. — po \$ 10,00; A. Biedak, B. Fusiek, P. Janik, Z. Wallek, W. Wołyński, M. Stankiewicz — po \$ 5,00 — razem: \$ 105,00; ponadto L. Zimny z Colchester na pomoc rodzinom więzionych działaczy „Solidarności” — \$ 5,00. Ogółem: \$ 190,00	F.1.653,00
K. Skielfoss (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób śp. Wandy Eweliny w Seattle (USA) — matka i siostra — Krs 100,00	F. 105,00
Solidarity Support Committee of Western Massachusetts, West Springfield, MA (USA) — \$ 239,46	F.2.085,00
Jadwiga Szabunia, Langen (RFN)	F. 45,97
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada) — na pomoc „Solidarności” Podziemnej (nadesłała sekr. Bożena Felsz) — \$ c.200,00	F.1.269,00
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada) — na „Solidarności” Podziemną — sumę zebraną 13 lipca 1984 w czasie organizowania protestu przeciwko rozpoczynającemu się procesowi czterech działaczy KOR-u doradców „Solidarności” (petycję o ich zwolnienie wraz z pozostałymi więźniami politycznymi, którą podpisało 600 osób, Towarzystwo przesłało do Amb. PRL w Toronto i do Rządu kanadyjskiego)	F. 770,00
Barbara Toruńczyk, Paryż — zamiast kwiatów na grób Ouzasza Szechtera w drugą rocznicę Jego śmierci	F. 100,00
Stowarzyszenie „Solidarności” w Seattle, WA (USA) — na „Solidarności” Podziemną w Kraju — \$ 300,00	F.2.610,00
(Stowarzyszenie prostuje tekst podany przez T-wo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada), odnotowany na stronie 160 <i>Kultury</i> Nr 6/441 z br.: wpłata F. 640,00 na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego pochodząca od T-wa Przyjaciół „S” w Vancouverze i od Stow. „Solidarności” w Seattle, a nie — jak podano — od Grupy Internowanych).	

WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — dwa razy po DM 100,00 = DM 200,00	F. 614,00
Fundacja Centrum Informacyjne Polska 13 Grudnia (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December), Amsterdam — Flh 1.000,00	F.2.717,76
Ola Łaskiewicz, Hyde Park, S.A. (Australia)	F. 250,00
Dr Bolesław J. Marcinek, Ottawa, Ont. — w rocznicę śmierci śp. Marii Czapskiej — \$ c.10,00	F. 66,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA) — \$ 36,50	F. 318,00
NYT — miesięcznik Komitetu Stot „Solidarności” w Kopenhadze — z okazji Dnia Podziemnego Drukarza — przekazuje (w tym 1/3 dla drukarzy studenckich NZS-ów)	F.2.507,10

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 200,00	F.1.740,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — dwa razy po Fr.szw. 30,00 = Fr. szw. 60,00	F. 216,00



Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłali dyr. K.P.A. i przewodniczący Komitetu Bonawentura Migala oraz Jan Jurewicz — skarbnik) — \$ 5.000,00 + \$ 4.000,00 — razem: \$ 9.000,00 z czego:	
— na „Solidarności” Podziemną w Kraju — \$ 3.000,00	F.26.100,00
— do dyspozycji TKK w Kraju — \$ 3.000,00	F.26.100,00
— na Fundusz „nagłej pomocy”, do dyspozycji Redakcji <i>Kultury</i> — \$ 1.500,00	F.13.050,00
— na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego — \$ 1.500,00	F.13.050,00



Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych, Nowy Jork — na pomoc rodzinom osób aresztowanych i nadal ukrywających się — \$ 2.500,00	F.21.750,00
— na pomoc wydawnictwom NSZZ „Solidarności”, według dyspozycji TKKK NSZZ „Solidarności” — \$ 2.500,00	F.21.750,00

(Najmocniej przepraszamy za spóźnienie w ogłoszeniu tego daru. Byliśmy przekonani, że dar został odnotowany, ale okazało się to pomyłką. Nasz zespół jest bardzo mały i przeciążony pracą).



Wojciech Prohaska, Nottingham (Wielka Brytania) — ku czci niezapomnianego dowódcy i przyjaciela płk. pil. Stanisława Cwynara — na pomoc uwięzionym członkom KOR-u — £ 100,00	F.1.130,00
--	------------



Pieniądze zebrane na spotkaniu z p. Zbigniewem Byrskim, zorganizowanym przez Klub dyskusyjny Polskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów „Colloquium” w Nowym Jorku — przekazał npr działalność pisma <i>Niepodległość</i> w Kraju Tadeusz Zachurski — \$ 70,00	F. 609,00
---	-----------

Dokumenty

STAN ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ

PRÓBA OCENY — KIERUNKI ODDZIAŁYWANIA (opracowanie Rady Programowej KIK)

Rada Programowa Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie podjęła dyskusję na temat stanu świadomości społecznej. Wymianę poglądów na ten temat uznaliśmy za naszą własną potrzebę, a sam temat za kluczowy u początku pracy Rady, przede wszystkim zaś za niezwykle doniosły w chwili obecnej we wszelkiej działalności.

Rozpoznanie społecznego stanu świadomości, którego nie można oderwać od oceny samej sytuacji, w jakiej się jako naród znajdujemy, stanowi próbę uzmysłowienia sobie czym ten stan świadomości się dziś przede wszystkim charakteryzuje, jakim uległ zmianom, jakie przedstawia wartości i jakie są jego zagrożenia. Zadaliśmy sobie równocześnie pytanie jakie w chwili obecnej powinny być podstawowe kierunki chrześcijańskiego oddziaływania.

Opracowanie niniejsze stanowi syntetyczne ujęcie problemów, które były przedmiotem dyskusji na czterech posiedzeniach naszej Rady. Traktujemy to opracowanie jako próbę, która ma uświadomić znaczenie podjętych w nim problemów dla dalszej pracy. Sądzymy, że podobne oceny stanu świadomości społecznej i kierunki poszukiwań są dziś przedmiotem analiz i dyskusji prowadzonych w różnych gronach i że dyskusja taka ma podstawowe znaczenie dla kształtowania dzisiejszych stanowisk i dla przyszłości.

Część I. Podstawowe elementy diagnozy

1. Jesteśmy społeczeństwem, które przeżyło niedawno wielki przypływ nadziei; społeczeństwem, które stało się świadome moż-

liwości urzeczywistnienia przysługujących mu praw i wartości uznawanych za podstawowe. Wydarzenia o niezwyklej skali intensywności ogarnęły najszersze warstwy narodu, a zwłaszcza robotników. Objęły też inteligencję, pewne kręgi chłopów, młodzież studencką, pracującą i uczącą się. Przeżycie wolności i realnej współodpowiedzialności za sprawy narodowe — wywarło powszechny i trwały wpływ na postawy i świadomość społeczną. Zmiana ta wydaje się nieodwracalna na czas życia kilku najbliższych pokoleń.

2. Niepełne 16 miesięcy legalnego istnienia „Solidarności” odczuwane jest jako okres przywrócenia podmiotowości społeczeństwa. Od 13 grudnia 1981 przeżywamy ponowne odebranie nam tej podmiotowości i zablokowanie wszelkich perspektyw.

Tak jak okres „Solidarności” najsilniej przeżyły pokolenia młode — roczniki znajdujące się w pełni aktywności społecznej i młodzież — tak i obecnie pokolenia te najżywiej reagują na wytworzoną sytuację. Fenomen „zniewolonego umysłu” pokoleniom tym nie zagraża. Wzrastać natomiast mogą inne zagrożenia wynikające z utraty nabytego w ciągu tych 16 miesięcy poczucia uczestnictwa w tworzeniu historii.

3. Kryzys obecny przeżywany jest inaczej niż wszystkie poprzednie kryzysy PRL. Jakościowej zmianie uległ stosunek do systemu. Odczuwany jest on jako psychicznie nie do zniesienia: jako system źle funkcjonujący, niesprawiedliwy (bo dzielący ludzi na mały krąg rządzących i resztę nie mającą na nic wpływu), narzucony i obcy. Można wnioskować, że to co w systemie naprawdę jest nie do zniesienia, to jest jego aspekt totalitarny i wszystkie wynikające z niego konsekwencje. W świadomości dużej części społeczeństwa żywe są idee egalitarystyczne, nie widać też tendencji do reprivatyzacji przemysłu. Wielkie rozczarowanie znacznej części społeczeństwa polega na utracie nadziei, że w systemie dokona się rzeczywiste uspołecznienie. A zarazem z datą 13 grudnia wiąże się odrzucenie przez sam system możliwości samonaprawy.

Tak odczuwany stan rzeczy rodzi w świadomości społecznej różnorodne konsekwencje. Najbardziej widoczną z nich jest brak wiary w możliwość jakiegos porozumienia między władzą a społeczeństwem, a gdyby taka możliwość się otworzyła — w trwałość takiego porozumienia. System w odczuciu wielu ludzi jest tak zły — zły w samej swej istocie — iż jest nie do naprawienia.

Refleksja szersza wskazuje, iż pod naciskiem społecznym i w wyniku różnych kryzysów — Polska zachowała istotne odmienności: silną pozycję Kościoła, indywidualne rolnictwo, własną tożsamość kulturalną, że zatem we współistnieniu z systemem społeczeństwo pewne wartości ocaliło, a sam system też ulegał zmianom. Po każdym kryzysie coś ważnego dla społeczeństwa zostawało; tak jest i teraz. Te fakty, jak również świadomość

położenia geopolitycznego brane są oczywiście pod uwagę, jednakże nie przeczy to temu, iż w świadomości społecznej nastąpiła zmiana jakościowej natury: nie odczuwa się żadnego związku z systemem, w jego naprawie nie lokuje się żadnej istotnej i trwałej nadziei.

To poczucie, iż „system jest nie do zniesienia”, a także poczucie braku perspektywy zmiany wewnątrz systemu i zmiany systemu — tworzy sytuację psychicznie znacznie bardziej dolegliwą niż przedtem. Równocześnie jednak jest to sytuacja bardziej klarowna pod względem moralnym, a fakt, że ta klarowność jest dziś znacznie większa, niż w poprzednich okresach, jest również odczuwany.

4. Jakościowa zmiana dokonała się także w stosunku władzy do społeczeństwa. Nastąpiła jakby zmiana kodu operacyjnego władzy. Dotychczas zabiegała ona o poparcie społeczne, teraz rządzi tak, jakby to poparcie było dla niej rzeczą obojętną, nie liczącą się w rachunku politycznym. O ile dotąd władza szukała pozytywnych punktów stycznych ze społeczeństwem, od stanu wojennego tych pozytywnych punktów już nie szuka, albo szuka tylko pozornie poprzez tworzenie w każdej dziedzinie tylko fikcyjnych i fasadowych reprezentacji społecznych. Związek między władzą a społeczeństwem, jaki się ukształtował od czasu stanu wojennego, jest ściśle negatywny, w tym sensie, iż władza mówi wyraźnie: jeśli nie my, to oni, jeśli nie my, to będzie gorzej.

Ten nowy kod operacyjny jest może przejściowy, jednakże stanowi dziś istotny fakt, z jakim świadomość społeczna ma do czynienia: pogłębia rozdział między władzą a społeczeństwem i utrwała poczucie ubezwłasnowolnienia społeczeństwa.

5. Istnieje poczucie, że system nie tylko „jest nie do zniesienia”, lecz również deprawuje samo społeczeństwo. To poczucie — choć często nie nacechowane samokrytycyzmem społecznym — jest dziś wyraźniejsze niż dawniej.

Odnosi się to do sfery zakłamania, do niezgodności słów z prawdziwym ich znaczeniem, do czynienia z tej niezgodności czegoś zwyczajnego, do czego człowiek przywyka. Jaskrawe jednak zafałszowania aktualnej rzeczywistości i przeszłości — nie uchodzą uwadze społecznej.

Odnosi się też — i to chyba w znacznie większym stopniu niż dawniej — do dziedziny pracy i stosunków w pracy. Coraz więcej ludzi nie znajduje zadowolenia w pracy, ma poczucie marnotrawienia czasu i wysiłku. Coraz częściej też rezygnuje z naprawiania stosunków pracy i przestaje sobie zdawać sprawę z ogromnych szkód społecznych powodowanych załamaniem się etyki pracy.

Istnieje też świadomość degradacji, jakiej ulega środowisko naturalne, cywilizacja materialna oraz nauka i kultura polska. Pogłębia się poczucie trudnych warunków życia.

6. Okres rozpoczęty 13 grudnia 1981 spowodował załamanie się zbiorowych nadziei. Jednakże okres ten nie stał się okresem załamania się samego społeczeństwa. Jest to okres bolesnego, ale solidarnego przeżywania wspólnego losu zbiorowego.

Samoobrona społeczna zrodziła się odruchowo, spontanicznie, pierwszej nocy stanu wojennego. Ma ona od początku zarówno formy niejawne jak i formy legalne. Wyraża się zarówno istnieniem niejawnych struktur związkowych „Solidarności”, prasy i wydawnictw, jak i formami bardziej luźnymi, ale stanowiącymi ideową i społeczną kontynuację okresu „Solidarności”, dyskusjami w różnych gronach i akcją samokształceniową. Wyraża się też w oporze społecznym, odmowie uczestnictwa w oficjalnych strukturach. Wyraża się pomocą uwięzionym i ich rodzinom, solidarnym oczekiwaniem i domaganiem się uwolnienia więźniów. Szerokiego zasięgu nabrała praca odczytowa w duszpasterstwach. Uświadomione zostało „zapotrzebowanie na świadomość”, czego wyrazem jest właśnie zasięg pracy odczytowej.

Od pewnego czasu przesuwają się głównie akcent tej szeroko rozumianej samoobrony społecznej. Oczekiwanie na szybką zmianę, na cofnięcie się władz, ustąpiło miejsca zrozumieniu, iż trzeba się nastawić na długie trwanie, w związku z czym bardziej niż przedtem doceniana jest praca długofalowa. Okres „Solidarności” poddawany jest też krytycznej analizie. Jednakże ciągle mocno i żywo odczuwana jest potrzeba świadectwa, świadectwa wobec ludzi i wobec wartości, którym jest się wiernym, świadectwa, które podtrzymuje zachowania i postawy ludzkie. Odczuwane jest też zapotrzebowanie na myśl programową, która określałaby jakiś sposób bycia w istniejącej sytuacji, w której tak często to, co oficjalne, jest nie do przyjęcia, a wiele z tego, co upragnione, spychane jest w podziemie. Przede wszystkim odczuwana jest potrzeba myśli programowej, która przywracałaby nadzieję nie tylko w wymiarach religijnych i moralnych, lecz i historycznych.

Obok tego, co nazywamy tu samoobroną społeczeństwa, występuje zjawisko inne: zwiększanie się zaangażowania w sferę życia prywatnego wobec tego, że ani oficjalne życie publiczne ani tak często praca zawodowa nie daje poczucia sensu życia. Ma to oczywiście różny charakter, bądź czysto „konsumpcyjny” w postaci urządzania się, bądź stanowi rodzaj azylu w życiu rodzinnym traktowanym odpowiedzialnie i zobowiązująco.

Nie można też pominąć nastawień i zachowań tej części społeczeństwa, która wchodzi w struktury oficjalne, ale to wymagałoby szczegółowej analizy tak co do przyczyn jak i zasięgu. Faktem jest utrzymywanie się wzajemnej izolacji a nawet wrogości wobec tej grupy, jak również częste ukrywanie motywacji postępowania przez jej przedstawicieli.

Zdecydowana większość społeczeństwa zajmuje postawy odmowy, oporu, samoobrony lub krytyki istniejącego stanu rzeczy.

Jako całość społeczeństwo polskie „stwardniało”, a zarazem pod pewnymi względami wzrosła jego dojrzałość.

Nie oznacza to jednak, by w społeczeństwie kształtował się jednolity zespół poglądów i postaw. Często odczuwa się znaczny stopień polaryzacji stanowisk. Występują tu odmienności doświadczeń różnych generacji, różnice tradycji, diagnoz i motywacji. A także odmienności sytuacji różnych grup społeczeństwa w rozmaitych regionach kraju, w wielkich miastach, mniejszych ośrodkach czy na wsi. Można obserwować tendencje do obrony różnych wartości społecznych, często wysoce rozbieżnych. O co innego gotowe są walczyć różne grupy i środowiska społeczne, a w konsekwencji granice ustępliwości przebiegają inaczej np. w środowiskach chłopskich, inaczej zaś wśród miejskiej inteligencji zawodowej. Nie można również nie zauważyć, że równoległe do braku poważnych programów pozytywnych w niektórych środowiskach społecznych pojawia się lub pojawiać się może niebezpieczeństwo podatności na różne hasła o charakterze demagogicznym i skrajnym.

Bliższa orientacja w całej społecznej i geograficznej mapie poglądów, postaw i stanowisk jest jednak utrudniona brakami w empirycznej wiedzy społecznej.

7. Zjawiskiem o wielkim znaczeniu, które znajduje poważne odbicie w społecznym stanie świadomości, jest stosunek do Kościoła i do wartości chrześcijańskich. Wyraża się w tym stosunku zaufanie i oczekiwanie. Można by mówić, że nastąpił powszechny zwrot ku Kościołowi i wartościom chrześcijańskim. Pojęciem tym określamy powiększenie i pogłębienie znaczenia Kościoła i wartości chrześcijańskich w sytuacji, jaką przeżywamy — w sytuacji odczuwanego dramatu narodowego.

Kościół widziany jest nie tylko jako największa, legalnie działająca, siła społeczna, lecz jako podstawowy czynnik zaufania publicznego. Wartości chrześcijańskie postrzegane są jako podstawowe dla zachowania tożsamości kulturalnej i narodowej, dla wychowywania młodego pokolenia oraz dla utrzymania opartych na zdrowych fundamentach więzi społecznych. Wreszcie, co sięga najgłębiej, dzisiejszy los zbiorowy znajduje odbicie w poruszeniu religijnym jakie nastąpiło tak w świadomości ludzi z dawna wierzących, jak i obecnie wchodzących w sferę oddziaływania wiary i Kościoła.

Szczególne zaufanie otacza osobę papieża Jana Pawła II, a jego głos ma dla Polaków, w istniejącej sytuacji, znaczenie bezcenne, jest głosem najwyższego autorytetu moralnego, a zarazem kogoś bardzo bliskiego, na czyje zrozumienie naszych przeżyć, sytuacji i dążeń można zawsze liczyć.

Stosunek do Kościoła jako instytucji życia narodowego kształtowany jest aktualnie zarówno przez ocenę jego pozycji i zaufanie, jakie posiada, jak i przez to, czego się od niego w dzisiejszej sytuacji oczekuje.

Często nie rozróżnia się między zasadniczym zadaniem Koś-

cioła a jego zadaniami wtórnymi i w szczególnych sytuacjach zastępczymi. Brakuje też jasnej świadomości co jest zadaniem hierarchii, a co własnym obowiązkiem świeckich.

Odczuwa się żywo, że Kościół stanowi instytucję, która niesie pomoc, broni ludzi, że kościoły są miejscem, w którym pada słowo prawdy i w którym ludzie odzyskują i pogłębiają poczucie swej godności, także godności obywatelskiej obrażanej przez kłamstwa propagandy i nieautentyczne życie oficjalne, jakie ich otacza. Odczuwa się wartość duszpasterskiego i kulturalnego oddziaływania Kościoła. Widzi się w nim rzecznika społeczeństwa, który w stosunkach z władzą mówi za społeczeństwo, pozbawione od 13 grudnia tego rzecznika, jakim była „Solidarność”.

Równocześnie stosunek do Kościoła jako instytucji — nie jest bezkrytyczny; jest raczej oczekujący i wymagający. Kościół nie może zawieść społeczeństwa — ta troska znajduje również odbicie w społecznym stanie dzisiejszej świadomości.

Zwłaszcza wypowiedzi oficjalne Kościoła w sprawach publicznych nurtujących społeczeństwo są przedmiotem wielkiej i krytycznej uwagi. Są one przedmiotem żywej reakcji i wielu dyskusji, niejednokrotnie uznania, a w pewnych przypadkach ostrych krytyk. Podział opinii nie przebiega przy tym między ludźmi dalekimi od Kościoła, a głęboko wierzącymi.

Oczekuje się, że Kościół, będąc w życiu narodowym jakby mandatariuszem społeczeństwa, nie ustąpi z domagania się przywrócenia społeczeństwu zabranych mu praw i możliwości działania. Pragnie się, aby Kościół bronił krzywdzonych i jasno wypowiedział moralną ocenę tego, co społeczeństwo boli i nurtuje. Pragnie się tego tym silniej, im silniejsze i powszechniejsze jest zaufanie do Kościoła i im większa staje się w istniejącej sytuacji jego ogólnonarodowa rola.

W tych ramach widzieć należy również oczekiwania kierowane do instytucji i środowisk katolickich o charakterze opinotwórczym czy formacyjnym. Są one obdarzane zaufaniem. Nie są jednak dostatecznie wyraźnym punktem odniesienia. Odbierane są bardziej jako czynnik przetrwania — niż świadectwa i inspiracji.

Część II. Kierunki oddziaływania

1. Punktem wyjścia w szukaniu chrześcijańskiej odpowiedzi na sytuację i społeczny stan świadomości musi być uznanie trwałości zmiany, która nastąpiła w społeczeństwie polskim po sierpniu 1980.

Istotne jest bowiem, czy się traktuje ten okres jedynie jako przejściowy epizod, który w pewnym momencie naszych współczesnych dziejów się wydarzył i zakończył, czy też widzi się w nim głęboko sięgającą cezurę, zmianę społeczną i moralną, która pozostawiła coś niezwykle ważnego i trwałego w świadomości i postawach ludzkich, na czym można budować. Są to dwa różne

punkty widzenia, które tworzą odmienny klimat nie tylko emocjonalny, lecz i moralny we wszelkim oddziaływaniu na postawy i świadomość społeczną.

Spółceństwo zdobyło jakby nowe poczucie swej podmiotowości. Nie można dziś więc po prostu wrócić do czasów sprzed okresu „Solidarności”. Tym bardziej nie można przystać na zafałszowanie go i wymazanie z historii i kultury narodowej i ze świadomości ludzkiej, z czym mamy do czynienia w oficjalnej propagandzie. Temu procesowi zafałszowywania i wymazywania przeciwstawiamy nastawienie na utrzymanie i trwanie obudzonej po sierpniu 1980 samoświadomości społecznej.

Oparciem dla takiego stanowiska może być postawa Jana Pawła II podczas drugiej pielgrzymki w Polsce. Zwracał się on do Polaków nie tylko w pełnym zrozumieniu tego, iż przemawia do narodu głęboko zranionego przez wydarzenia stanu wojennego, lecz i w świadomości, że „to, co wartościowe, co się w ostatnich latach ujawniło” — nie zaginęło. Uznanie jakościowego charakteru zmiany, jaka się w społecznej świadomości dokonała i trwałości tej zmiany, wynika zatem zarówno z realizmu w ocenie postaw, nastrojów i zachowań społecznych, jak i z opowiedzenia się za wartościami, które znajdują odbicie w tych postawach. Chodzi bowiem nie o to, aby społeczeństwo pogodziło się z istniejącym stanem rzeczy, lecz aby zachowało to nowe, silne poczucie swej podmiotowości i umiało znajdować drogi rozszerzania przestrzeni swej wolności. Postawa, o której tu mówimy, polega na wyborze takiego celu i kierunku oddziaływania.

2. Ciężkie doświadczenia, przez jakie przechodzimy, mają swój wymiar duchowy. Odczytanie tego, czym jest i na czym polega to, iż nasz los zbiorowy przeżywamy wspólnie w kategoriach religijnych, stanowić winno istotny element samoświadomości chrześcijańskiej.

Taki wysiłek jest dzisiaj konieczny dlatego, by religijność nie była tylko ozdobnikiem manifestowania się — w chwili trudnej — naszego patriotyzmu, nadając mu mesjanistyczne zabarwienie. Jest konieczny dla refleksji i samokontroli, dla obrony przed triumfalizmem światopoglądowym czy narodowym. Przede wszystkim jednak jest konieczny po to, by szukać właściwych i pogłębionych odpowiedzi na dręczące ludzi pytania: jaki jest stosunek między nadzieją, którą chrześcijaństwo niesie i którą przeżywa zawsze, także w czas kłęski, a nadzieją, której pragniemy w wymiarze historii; między nadzieją eschatologiczną, a nadzieją polityczną; między zwycięstwem moralnym, a zwycięstwem historycznym; czym jest wolność wewnętrzna człowieka i jakie znaczenie ma jej zachowanie dla wolności politycznej narodu.

Język wiary, język Kościoła stał się równocześnie językiem, w którym odpowiada się na pytania polityczne i moralne narodu. W tej sytuacji istotne jest, by nie dawać odpowiedzi religijnych w miejsce odpowiedzi politycznych, gdy są one oczekiwane, a

równocześnie by ukazywać związek między historią świętą a historią świecką, między przeżyciem wiary a przeżyciem naszego ludzkiego losu.

3. Zasadniczy kierunek chrześcijańskiej odpowiedzi na sytuację określają homilie Jana Pawła II z drugiej pielgrzymki do Polski. Wraz z tym co zostało nam zostawione podczas pierwszej pielgrzymki i co nie przestało być aktualne — przemówienia te stanowią skierowany do narodu i Kościoła w Polsce kodeks wartości podstawowych, społeczny katechizm na nasze czasy.

Słowa Papieża są często cytowane i omawiane w kościołach i na różnych spotkaniach. Trzeba jednakże wyrazić obawę o losy recepcji nauczania Jana Pawła II. W zbyt małej mierze przedstawiane jest ono problemowo. Grozi mu zbanalizowanie, głębia wymowy tego nauczania w małym stopniu dociera do ludzi.

Upowszechnienie tekstów Papieża — to tylko część problemu. Istota sprawy tkwi w tym, czy to nauczanie rzeczywiście staje się przyjętym i wcielonym w życie katechizmem społecznym na nasze czasy. To bowiem zakłada zasadnicze wybory moralne. One to określają istotę i horyzont tej myśli, świadczą o jej zakorzenieniu w wierze, o jej przejrzystości moralnej i solidarności z ludzkim losem.

4. W świadomości wielu środowisk pojawia się przeświadczenie o konieczności budowania nowego społeczeństwa. Chodzi tu o budowę wzajemnych odniesień, powiązań i struktur społecznych tworzonych oddolnie, samorządnie, często bez konieczności ich instytucjonalizacji. Takie odniesienia i powiązania tworzone w małych grupach, w grupach rodzin, na terenie parafii, w różnych działaniach samopomocowych i samokształceniowych stanowią o podmiotowości społeczeństwa i o tworzeniu jego własnej kultury. Stwarza to też szansę wnoszenia wartości chrześcijańskich w życie społeczne.

W budowie takich powiązań i struktur dużą rolę mogą odegrać Kluby Inteligencji Katolickiej.

Jednocześnie istnieje konieczność działania w instytucjach publicznych nauki, kultury i gospodarki, w których trzeba współpracować z ludźmi o różnych poglądach i postawach, starając się o budowanie polskiego potencjału cywilizacyjnego i kulturowego, a także o podtrzymywanie na każdym odcinku etyki pracy.

5. Czy będziemy umieli z nauczania Jana Pawła II czerpać inspirację do własnej myśli, do własnej pracy i do własnych wyborów moralnych? Czy będziemy zdolni tworzyć nowe społeczeństwo, społeczeństwo, które broni istniejących autentycznych form życia społecznego i tworzyć je wszędzie tam, gdzie się da?

Są to podstawowe pytania, które muszą pozostać otwarte.

Są one istotne ze względu na rzeczywiste potrzeby społeczne. Na pokonywanie powszechnego dziś poczucia bezradności. Są to

pytania istotne również z uwagi na pustkę ideologiczną, którą pozostawia realny socjalizm. Nauka Papieża, doświadczenia duchowe czasów „Solidarności”, które budziły tak wielkie zainteresowanie w świecie właśnie dlatego, że przekraczały antynomie Wschód-Zachód, kapitalizm-socjalizm — wszystko to stworzyło także szansę rzeczywistego zakorzenienia się myśli społecznej opartej o wartości chrześcijańskie, a zarazem otwartej i oddziałującej szerzej.

W jakimś zakresie podjęciem tej szansy może być próba prze-myślenia wyrastającej z naszych doświadczeń polskiej teologii wyzwolenia. W innym — próba formułowania w Polsce takiej myśli politycznej, która kieruje się perspektywą pokojowej walki, pokojowego wyzwolenia społecznego, jak określa się program moralny Jana Pawła II.

Ethos tej walki pokojowej, która się w Polsce już toczy, musi być ethosem bez nienawiści i pogardy, musi być ethosem dialogu, otwartości i szacunku dla każdego człowieka. Siła moralna katolicyzmu polskiego sprawdzać się będzie zarówno w podtrzymaniu zdobytego poczucia podmiotowości społeczeństwa, jak i w kształtowaniu takiego ethosu.

Warszawa, 30 czerwca 1984

RADA PROGRAMOWA

Stanisława GRABSKA, O. Aleksander HAUKE-LIGOWSKI OP, Adolf JUZWENKO, Andrzej KIJOWSKI, Jerzy KŁOCZOWSKI, Krzysztof KOZŁOWSKI, Tadeusz MAZOWIECKI, O. Stanisław OPIELA SJ, Andrzej PASZEWSKI, Jadwiga PUZYNNINA, Jerzy S. SITO, Zygmunt SKÓRZYŃSKI, Krzysztof SLIWIŃSKI, Hanna SWIDA-ZIEMBA, Andrzej TYC, Wojciech WIECZOREK, Stefan WILKANOWICZ, Jacek WOŹNIAKOWSKI.

Otrzymuje Zarząd Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie.
Opracowanie niniejsze przekazane zostaje zarazem Prymasowi Polski.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1984.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 6547

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
Ceny na rok 1984			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Steige/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Randomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vilssingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176.	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00	\$ Can. 35,00 DM 70,00	\$ Can. 60,00 DM 130,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ..	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Geneve 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21 West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 392 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983

(fragmety powieści)

Tom prozy wybitnego poety i eseisty z Kraju. Autor opowiada o wakacjach spędzonych latem 1983 nad jeziorami w okolicy Suwałk. Bliskość Litwy, jej stare legendy i mity, przeszłość historyczna Rzeczypospolitej i polska teraźniejszość, problemy moralne i wyznania Autora przeplatają się w tej prozie z wakacyjnymi dialogami i scenami, nieraz pełnymi gorzkiego humoru.

Opowieść bardzo polska i bardzo współczesna.

Str. 160.

Cena F. 60,00.



TOM 393 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESZCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: M. Peszczyńskiego: *Przyczynki do historii ZET-u Akademickiego lat 30-tych*; T. Boguszewskiego: *Odtwarzanie dziejów Narodowych Sił Zbrojnych*; Al. An. Myszkowskiego: *Słownik biograficzny komunistów polskich, represjonowanych w ZSSR*; Z. S. Siemaszki: *Rozmowy z Wehrmachtem w Wilnie, luty 1944*; B. E. Podhorskiej: *Osada Krechowicka*; Wł. Żeleńskiego: *W cieniu Stefana Otpińskiego* oraz działy: CI, CO ODESZLI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 394 — MICHAŁ HELLER (Adam Kruczek)

POLSKA W OCZACH MOSKWY

Analiza wypowiedzi prasy sowieckiej w ostatnich trzech latach.

Str. 208.

Cena F. 75,00.

1984



9

MD

XLII

IV

RD

AD

444